

HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 47 / 2025



Kaja Solecka, „Uziemienie”, olej na płótnie 100x100 cm

• Joanna Krupińska-Trzebiatowska Słowo od Redaktora	3
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska XXXV-lecie ST POLART	5
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska Koncert XXXV-lecia ST POLART	10
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska XIII Międzynarodowy Festiwal "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg" - Koncert Inauguracyjny Recital Chopinowski - Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska	12
• Joanna Warchoł Wystawa malarstwa Kaja Solecka-Katarzyna Zawierucha i rzeźby Krystyna Nowakowska	15
• Jacek Romański Ikonografia boschowskich piekieł - od skrajnego sceptycyzmu ku kontyngentnej możliwości nadziei.	19
• Agata Olenderek Ola Watowa	23
• Anna Adamus-Matuszyńska Pierwotwór Ochockiego, Julian Ochorowicz w poszukiwaniu tajemnicy człowieka	27
• Edward Kurleto Wielowymiarowy Eros. Eksploracja seksu w literaturze	34
• Józef Czechowicz Eros i Psyche	38
• Bolesław Faron Moje spotkania z Władysławem Orkanem	39
• Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska "Through the Prism of Chopin" Międzynarodowa konferencja muzykologiczna	43
• Małgorzata Karolina Piekarska Drzewo Maurycyego	47
• Marek Sołtysik Umieranie mężczyzny po przejściach	52
• Mirosław G. Majewski Everyman	57
• Małgorzata Felicka Zadośćuczynienie	59
• Barbara Korta-Wyrzycka Droga do San Lucar	61
• Vojislav Karanović Wiersze	64
• Olga Lalić Krowicka Wiersze	66
• Agata Stawska Pięc z sześciu	67

• Barbara Borkowska Klepsydra	68
• Jakub Ciećkiewicz Ucieczka z Tangeru w Królestwie Maroka	69
• Krystyna Habrat Za wielki stół na Wigilię	71
• Irena Kaczmarczyk Wywiad z Krystyną Milewską	73
• Anna Maria Mickiewicz Wiersze	76
• Juliusz Bolek Anna Maria Mickiewicz 40-lecie Pracy Twórczej	77
• Michał Piętniewicz Ironia i gruzy	78
• Michał Piętniewicz Kartograf tajemnicy	81
• Wojciech Antoni Sobczyński Kraków-Londyn, ale zaczynając od Wenecji	85
Koncert In Memoriam Profesor Józef Lipiec	87



Krystyna Nowakowska, *Estymacje*

SŁOWO OD REDAKTORA



Szanowni Państwo,

w 85. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej i 80. rocznicę zrzucenia przez Amerykanów bomby atomowej na Hiroszimę i Nagasaki jesteśmy świadkami już nie tylko toczącej się od kilku lat wojny w Ukrainie, ale również niebezpiecznych posunięć na arenie międzynarodowej, przegrupowywania się sił politycznych i tworzenia nowych układów. Prezydent Donald Trump optuje za pokojem, ale przyglądając się uważnie jego poczynaniom trudno oprzeć się wrażeniu, że w rzeczywistości dąży do skłócenia Europy, podzielenia jej na dwa bloki i oddania państw tzw. dawnego bloku wschodniego w sferę wpływów Rosji.

Deja vu! Pamiętamy co zgotował Polsce prezydent Franklin Roosevelt do spółki z premierem Wielkiej Brytanii Winstonem Churchillem na konferencji jałtańskiej. Ale sytuacja była wówczas inna. Jakkolwiek wojna nie została jeszcze zakończona nic nie zagrażało bezpośrednio Ameryce. Dlaczego więc przywódcy Wielkiej Trójki ulegli wówczas żądaniom Stalina?

Churchill nie ukrywał wyrzutów sumienia i pisał: "Polska była w rzeczywistości najbardziej pilną przyczyną zwołania konferencji jałtańskiej i stała się pierwszym z wielkich powodów, które doprowadziły do rozpadu Wielkiej Koalicji". (W. Churchill "Druga Wojna Światowa")

Roosevelt ich nie miał. Posiadał wiedzę o zbrodniach Sowietów w pierwszej fazie wojny, kiedy Stalin współdziałał z Hitlerem, bo w lutym 1940 r. wystosował znaną wypowiedź, w której podkreślał, że Rosja sowiecka to „dyktatura tak absolutna jak żadna inna dyktatura na świecie”, a pomimo to stworzył możliwości ekspansji Stalinowi, nie do końca wierząc, że sprawy sporne można załatwić ugodowo.

13 lutego 1945 r. Rząd RP na uchodźstwie wydał oświadczenie, w którym stwierdzał: "Decyzje Konferencji Trzech dotyczące Polski nie mogą być uznane przez Rząd Polski i nie mogą obowiązywać Narodu Polskiego. Oderwanie od Polski wschodniej połowy jej terytorium przez narzucenie tzw. linii Curzona jako granicy polsko-sowieckiej Naród Polski przyjmie jako nowy rozbiór Polski, tym razem dokonany przez sojuszników Polski".

Nie kto inny, ale właśnie W. Churchill zarzucał Polakom, że "nierozsądnie i uparcie odmawiają oddania połowy swego kraju". Ale Stalin był wtedy bliski zwycięstwa, bo jego armia stała na linii Odry i była o krok od zdobycia Berlina. Gdyby Amerykanie się pośpieszyli byłoby zgoła inaczej, ale to właśnie George Marshall oświadczył: "bardzo nie chciałbym narażać życia Amerykanów dla czysto politycznych celów". (F.C.Pogue, George C. Marshall. Statesman 1945-1959, New York 1987). Był to pierwszy widomy znak rozpadu koalicji alianckiej i zapowiedź zimnej wojny.

Można pomyśleć, że Donald Trump kompletnie nie zna historii i powielił błąd popełniony onegdaj przez Roosevelta, ale ma w tym widoczny interes, aczkolwiek paradoksalnie nie zauważa, że z chwilą zakończenia wojny w Ukrainie, najprawdopodobniej dojdzie do

nawiązania stosunków handlowych pomiędzy Rosją a Niemcami i ponownie popłynięcie na Zachód rosyjski gaz zamiast amerykańskiego. Nie zauważa też, że zerwanie długoletniego sojuszu może mieć katastrofalne następstwa dla obu stron i że bez Europy Ameryka nie zdoła przeciwstawić się potęgze sił skonsolidowanych wokół Chin i nie zdoła obronić Japonii, choć ta pozostaje kluczowym sojusznikiem USA w Azji i Pacyfiku. Tymczasem Chiny prężą mięśnie, jawnie naruszając wody terytorialne innych państw i nikt nie ma wątpliwości, że ostrzą sobie zęby na Tajwan.

Putin wspierany przez Trumpa, ani myśli wycofać się z Ukrainy i co raz grozi państwom wspierającym Ukrainę...wojną. Trudno przewidzieć też, jak zareaguje na kolejne europejskie sankcje i co zrobi w związku z zamrożeniem aktywów Banku Centralnego Rosji w Unii Europejskiej na czas nieokreślony, zwłaszcza że mogą zostać przeznaczone na pożyczkę reparacyjną dla Ukrainy w przyszłości.

Rodzi się pytanie, który ze światowych przywódców jest bardziej nieprzewidywalny? Jedno jest pewne, że działania Trumpa na rzecz pokoju, to *de facto* działania otwierające Putinowi drogę do dalszej ekspansji.

Wystarczy przywołać Hitlera. Uderzył raz i uderzał raz za razem..., a "sowiecka ropa płynęła, aby zasilać wojenną maszynę Hitlera". (Norman Davies "Europa Walczy", s 81).

Ten skrót myślowy pokazuje, jak wątki były podstawy polityki Stalina opartej na pakcie Ribbentrop-Mołotow. Podobnie Amerykański sen zakończył się z chwilą ataku Japończyków na Pearl Harbor.

Trudno nie zauważyć, że polityka Trumpa, a w szczególności rozpętanie wojny celnej, zagroziła dalszemu istnieniu współpracy i sojuszu Australii, Indii, Japonii, Korei Południowej i Filipin z USA. Jednocześnie Trump śni sen o potęgze USA i stwierdza podczas wizyty w Japonii: "Jeśli znajdziemy się w stanie wojny, to ją wygramy".

Ale Ameryka dawno przestała być hegemonem w regionie. To zamierchła przeszłość. USA nie wygra w starciu z Chińczykami, a w każdym razie nie bez pomocy Europy. Podobnie Europa nie zdoła stawić czoła potęgze Rosji bez wsparcia ze strony Ukrainy. Koło się zazębia, ale niestety Trump tego nie zauważa. Jego przekonanie, że swoimi działaniami powstrzyma Rosję przed zbliżeniem się do Chin jest co najmniej śmieszne, od dawna bowiem Rosja i Chiny tworzą układ strategiczny mający głównie na celu osłabienie dominacji USA. Jeśli uderzą wspólnie, świat znajdzie się znowu na granicy zgłady. Już druga wojna światowa, podczas której ZSRR wspierał Chiny w wojnie z Japonią, pokazała, że Rosja i Chiny mogą iść ramię w ramię.

Warto też przypomnieć w tym miejscu, że Trump popełnia identyczny błąd, jaki popełnili przywódcy Stanów Zjednoczonych stawiając w pierwszej fazie wojny na izolacjonizm. Gdyby po ataku Hitlera na Polskę udzielili poparcia Francji i Anglii, najprawdopodobniej udałoby się zapobiec ogólnoświatowej tragedii. Niech więc pan nie mówi, panie Trump, że wojna w Ukrainie to nie problem Ameryki!

Jednocześnie nie wolno zapominać, że wojny i wojenki rządzących krajem polityków nie wróżą krajowi nic dobrego, zupełnie tak, jakby historia zatoczyła koło i wskrzesiła te siły, które doprowadziły onegdaj do upadku Rzeczypospolitej i rozbiorów.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to nie miejsce na tego rodzaju polityczny wywód, bo Hybryda jest pismem artystyczno-literackim, ale to właśnie nam artystom nie wolno przymykać oczu na to, co się wokół nas dzieje. Przykładem właściwej reakcji niech będą działania na rzecz silnej, skonsolidowanej Europy – po stronie polskiej, niemieckiej i francuskiej – zaprzyjaźnionego z ST POLART Weimarer Dreieck. Przenoszą się z płaszczyzny politycznej w sferę kultury. Siła oddziaływania kultury jest nie do przecenienia, dość przywołać postać niezłomnego w walce o przywrócenie Polsce niepodległości pianisty Ignacego Jana Paderewskiego, przed i w czasie pierwszej wojny światowej.

I choć rysuje się przed nami niezbyt jasna przyszłość, życzę Państwu radosnych Świąt Bożego Narodzenia i pomyślności w nadchodzącym roku.

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

XXXV-LECIE ST POLART



Od lewej: Joanna Krupińska-Trzebiatowska, Janusz Trzebiatowski, za nim Andrzej Pollo, dalej Jolanta Trzebiatowska, Eugenia Zdebska, Agata Trzebiatowska, Anna Berg, Zbigniew Zdebski, z tyłu Wiesław Trzebiatowski - 1992

Wszyscy pamiętamy gorącą atmosferę w jakiej przez dwa miesiące toczyły się w 1989 roku obrady Okrągłego Stołu, kiedy to po jednej stronie zasiedli przedstawiciele strony rządowej i trzech partii politycznych – Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego – a po drugiej opozycji tj. Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Pamiętamy też związane z tym emocje i nadzieje. Dla wszystkich było jasne, że jesteśmy świadkami wielkiego politycznego przełomu, na który ludzie z pokolenia moich rodziców przestali już liczyć, pogodziwszy się dawno z tym, że nie zjawi się w Polsce generał Anders na swoim białym koniu i nie wyrwie Jęz z rąk sowieckiego protektoratu. Patrzyli więc na to, co się dzieje wiosną 1989 roku z niepozabawionym nuty sceptycyzmu zdumieniem, ale i euforią i trudno im było uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Obrady zakończono porozumieniem z 5 kwietnia 1989 roku wprowadzającym szereg fundamentalnych zmian ustrojowych. Notabene wśród obradujących znaleźli się aż trzech przyszłych prezydenci Lech Wałęsa, Lech Kaczyński i Aleksander Kwaśniewski.

Nie zamierzam w żaden sposób odnosić się do tego, co dzisiaj dzieje się na arenie politycznej kraju, a jedynie chcę przywołać

historię Stowarzyszenia Twórczego POLART z pierwszej dekady jego istnienia, gdyż było ono odpowiedzią środowisk twórczych na wezwanie swego czasu do budowania nowego jutra.

A zaczęło się jesienią 1989 roku, kiedy Janusz Trzebiatowski, artysta malarz i były prezes dopiero co zawieszono stowarzyszenia Grupa Nowa Huta zwołał w swojej pracowni meeting towarzyski, z zamiarem powołania do życia nowego stowarzyszenia, tym razem o charakterze interdyscyplinarnym. Wymarzył sobie, że będzie ono skupiać nie tylko malarzy, grafików, rzeźbiarzy, ale również ludzi pióra, teatru, muzyków, a co więcej, rozmiłowanych w sztuce wybitnych przedstawicieli świata nauki, a przy tym niejednokrotnie będących artystami w swoim zawodzie. Od nich też zaczął, zapraszając na to pierwsze oficjalne spotkanie parę znakomitych krakowskich profesorów medycyny: Eugenię i Zbigniewa Zdebskich, od lat sekundujących artystom.

Wśród członków założycieli znalazł się też prof. Ryszard Czarniecki, ówczesny szef Katedry Farmakodynamiki Akademii Medycznej w Krakowie, pisarze: Julian Kawalec wraz z małżonką Ireną Wierzbanowską-Kawalec i dziennikarka Jadwiga Rubiś, stała bywalczyni wszystkich wernisaży ze swoim nieodłącznym aparatem fotograficznym. Listę założycielską, oprócz

Agaty i Zbigniewa Trzebiatowskich, podpisali również Andrzej Pollo, Anna Berg, Teresa Chomik, Stanisław Kaszyński, Jerzy Orkus, Marek Zmuda Trzebiatowski, Bogdan Wiśniewski.

W dniu 29 maja 1991 roku Sąd Wojewódzki w Krakowie Wydział I Cywilny po rozpoznaniu wniosku Komitetu Założycielskiego wydał postanowienie sygn NS Rej.St 72/91 o wpisaniu Stowarzyszenia Twórczego POLART im. Trzebiatowskich do rejestru stowarzyszeń. Na tej podstawie POLART uzyskał osobowość prawną, a w skład Zarządu weszli: Janusz Trzebiatowski, Agata i Zbigniew Trzebiatowscy, Wiesław Trzebiatowski i ja.

Już w maju 1991 doszło do ponownego zwołania Członków Założycieli w atelier Janusza Trzebiatowskiego, gdzie w wyniku dokonanych wyborów ukonstytuował się nowy zarząd, którego prezesem został Janusz Trzebiatowski a wiceprezesem Eugenia Zdebska.

Zgromadzenia POLARTU odbywały się dwa razy w roku:

• u Zdebskich 1992

Po zebraniu założycielskim przyszła kolej na następne a idea Janusza Trzebiatowskiego, by łączyć sztukę i naukę, stopniowo urzeczywistniała się za sprawą kardiochirurga dziecięcego prof. Eugenii Zdebskiej, która 30 kwietnia zaprezentowała swoje osiągnięcia w zakresie operacji serca u najmłodszych pacjentów. Wtedy też wprowadzono zasadę prezentowania dokonań artystycznych bądź dorobku naukowego poszczególnych członków podczas kolejnych wiosennych i jesiennych spotkań.

• na Woli 1993

26 lutego odbyło się drugie oficjalne zgromadzenie członków Stowarzyszenia Twórczego POLART u Jolanty i Wiesława Trzebiatowskich. Wiesław Trzebiatowski, doskonale grający na skrzypcach absolwent szkół muzycznych i Politechniki Krakowskiej, prowadzący firmę projektowo-budowlaną, opowiedział o swoich pasjach.

• w Lipniku 1993

W październiku podejmował Polartowców w swojej letniej siedzibie w Lipniku Andrzej Pollo – historyk sztuki, wykładowca Akademii Sztuk Pięknych, uprawiający malarstwo oscylujące wokół nauk tajemnych. Zjechał z Wrocławia Zdzisław Olszowski, dyrektor tamtejszego Muzeum Medalierstwa wraz z małżonką, Eugenia i Zbigniew Zdebscy, pełniący funkcję sekretarza Stanisław Kaszyński i wielu znakomitych artystów. Andrzej Pollo, pasjonat astrologii, był też autorem barwnych horoskopów cieszących się zainteresowaniem w kraju i za granicą.

• w Trzebiatówce 1994

Istotną datą dla POLART-u był czerwiec 1994 roku, kiedy to Janusz Trzebiatowski zaproponował zmianę nazwy stowarzyszenia poprzez wyeliminowanie z niej „imienia Trzebiatowskich”, gdyż POLART stał się w międzyczasie organizacją ogólnopolską, a nie – jak pierwotnie planował – rodzajem rodzinnej fundacji.

• w Kalwarii 1994

Nadal napływali do stowarzyszenia członkowie rodziny Trzebiatowskich a między innymi córka Agaty i Zbigniewa Trzebiatowskich Bożena wraz mężem Markiem Łuczakiem. Jesienią odbyło się w ich rezydencji w Kalwarii Zebrzydowskiej kolejne zgromadzenie członków, którym zaprezentowali efekty

własnej działalności architektonicznej i projektowej w zakresie architektury wnętrz.

• I Salon Poezji w Trzebiatówce 1995

Kilka miesięcy później, jesienią Walne Zgromadzenie Członków odbyło się ponownie w Przegorzałach w nowo otwartej galerii autorskiej Janusza Trzebiatowskiego. Tam też odbył się pierwszy w historii POLART-u Salon Poezji, a Krzysztof Litwin – drugi obok Jerzego Treli aktor przyjęty do stowarzyszenia – czytał moje wiersze. Był postacią niebywale barwną. Przede wszystkim malarzem obdarzonym wieloma różnymi talentami, a przy tym niekwestionowaną duszą towarzystwa.

POLART w Trzebiatówce zgromadził wiele znakomitości. Przybyli rzeźbiarze: prof. Jerzy Nowakowski z małżonką wybitną rzeźbiarką Krystyną, prof. Antoni Porczak z zajmującą się malarstwem sztalugowym małżonką Haliną Kicińską-Porczak, prof. Bolesław Faron z małżonką Barbarą i również z małżonką kanclelem Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie Franciszek Gałuszka. Obradowano przy blasku świec płonących w kandelabrze pamiętającym czasy, kiedy tego rodzaju spotkania nie były rzadkością, lecz codziennością, co podkreśliła Jadwiga Rubiś pisząc o polartowskim salonie na łamach "Dziennika Polskiego". Dość powiedzieć, że na przestrzeni zaledwie pięciu lat stowarzyszenie podwoiło liczbę swoich członków.

• w Willi Lorenzów w Lanckoronie 1995

/przyciągającej artystów i polityków, m.in. Józefa Piłsudskiego/ 10 czerwca 1995 roku podejmował Polartowców prof. Ryszard Czarnecki. Pojawił się, witany owacyjnie, jako przedstawiciel świata muzyki, Tadeusz Strugała.

Z Lanckorony, jeszcze tego samego dnia, POLART przeniósł obrady do krakowskiej pracowni Porczaków przy ulicy Emaus, by wśród rzeźb Antoniego (w tym wielkiej metalowej zapałki) i obrazów jego żony Haliny, dyskutować o sztuce i nie tylko.

Kilka dni po tym spotkaniu, światowej sławy dyrygent, Tadeusz Strugała, zaprosił członków stowarzyszenia do Filharmonii Krakowskiej, gdzie poprowadził m.in. *IX Symfonię* Ludwika van Beethovena.

• u Zdebskich 1996

Wiosną 1996 roku POLART zgromadził się ponownie w mieszkaniu Eugenii i Zbigniewa Zdebskich, gdzie w pięciu profesorskich pokojach pojawił się wielki tłum Polartowców i zaproszonych przez gospodarzy miłośników sztuki.

Stowarzyszenie nabierało wyraźnie elitarnego charakteru, ale jednocześnie opierało się na starej jak świat zasadzie, że przyjaciele naszych przyjaciół stają się naszymi przyjaciółmi. Dołączył kolega z lat młodości Eugenii Zdebskiej, Henryk Sołga, niedysyjszy Prokurator Okręgowy, a na ten czas szef Komisji ds. Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie, autor wielu książek dotyczących ścigania zbrodniarzy wojennych.

Nowo przyjęty do POLART-u prof. Antoni Działkowiak prezentując serię diapozytywów stwierdził: "obraz czerwonych ludzkich tkanek w makroskopowych przekrojach sam w sobie jest sztuką stworzoną przez naturę". Odbywało się to spotkanie w entourage'u rzeźb Krystyny i Jerzego Nowakowskich, ustawionych na sztalugach obrazów: Anny Berg, Stanisława Batrucha, Janusza Trzebiatowskiego i Andrzeja Pollo, który jednocześnie oprowadzał zgromadzonych po tej jednodniowej wystawie. Przeszła ona do historii POLART-u jako trzeci z kolei Salon Sztuki.

- **w Pałacu Radziwiłłów w Balicach 1996**

W roli gospodarza jesiennego Walnego Zgromadzenia wystąpił Jędrzej Krupiński, profesor Akademii Rolniczej w Krakowie. Mówiąc o swoich osiągnięciach naukowych poruszył aspekty moralne klonowania zwierząt.

W pałacowych wnętrzach pokazano też dwie wystawy rzeźby: Jerzego Nowakowskiego i Antoniego Porczaka.

- **w Izbie Przemysłowo-Handlowej 1997**

Wiosną 1997 roku Andrzej Zdebski, do niedawna adiunkt w Katedrze Prawa Międzynarodowego Publicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, wprowadził zgromadzonych w arkana działalności przemysłowo-handlowej w warunkach wolnorynkowej gospodarki.

Jolanta Zdebska natomiast jako współwłaściciel, a zarazem szef Wydawnictwa Agat Print, wystąpiła w roli wydawcy promując książkę „Muzyka moja miłość” Teresy de Laveaux.

- **w Jamie Michalika 1997**

Historyk literatury prof. Bolesław Faron, niedysyjszy Minister Edukacji Narodowej i późniejszy dyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu, a na koniec rektor Akademii Pedagogicznej w Krakowie, jesienią 1997 wystąpił w roli Gospodarza Walnego Zgromadzenia w Jamie Michalika, jako że historii tego legandernego miejsca skupiającego cały artystowski świat początków ubiegłego wieku, poświęcił jedną ze swoich najnowszych książek „Jama Michalika – Przewodnik Literacki”.

W trakcie tego uroczego spotkania w sali zaprojektowanej w 1910 roku przez Karola Frycza, opowiedział kilka znakomitych anegdot związanych zarówno z historią założonej w 1895 roku Cukierni Lwowskiej, jak i z powstałym tu nieco później kabe-
retem Zielony Balonik.

- **V Salon Sztuki POLARTU w NCK 1998**

W wystawie zbiorowej wzięli udział: prof. Stanisław Batruch, Krzysztof Litwin, Krystyna i Jerzy Nowakowscy, Andrzej Pollo, Anna Berg, Ryszard Otręba, Antoni Porczak i Halina Kicińska-Porczak, Jadwiga Rubiś, Janusz Trzebiatowski i Anastazy B. Wiśniewski, Anna Jelonek-Socha, Jacek Dworski, Kiejstut Bereźnicki, Teresa Chomik i Oganies Kazarian.

W trzech wystawach indywidualnych pokazali swoje prace: Waldemar Świerzy, Antoni Porczak i Andrzej Pollo.

- **VI SALON SZTUKI we Wrocławiu 1999**

Snując opowieść o historii POLART-u lat 1990-2000 nie sposób nie odnotować Walnego Zgromadzenia w Kamienicy pod Złotym Słońcem - siedzibie Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu, gdzie w roli Gospodarza wystąpił jego dyrektor Zdzisław Olszanowski. Otworzono dwie wystawy: "Zapiski tajemne i muzyczne", której autorem był Andrzej Pollo, oraz wystawę unikalnych batut Tadeusza Strugały. Wernisażowi towarzyszył koncert znakomitej sopranistki Bożeny Hauszman, której towarzyszył Jan Oberbek.

- **w Zamku Królewskim w Niepołomicach 1999**

Okazało się, że POLART może być atrakcyjny również dla prawników i bankowców aspirujących w połowie lat dziewięćdziesiątych, po przełomie ustrojowym, do roli mecenasów sztuki. Moda na budowanie kolekcji sztuki przyszła z Zachodu, a zapoczątkowały ją w latach 80. ubiegłego wieku

banki niemieckie: Grupa ING i Deutsche Bank, które postanowiły wspierać artystów kupując ich prace. W Krakowie działalność taką podjął Bank Współpracy Regionalnej oraz Real Bank. Jego prezes adwokat Józef Mędrala w maju 1999 roku wystąpił w roli Gospodarza Walnego Zgromadzenia POLART-u w Zamku Królewskim w Niepołomicach, które otworzył wykładem "Ekonomiczne aspekty współczesnej sztuki w Polsce", uświadamiającym tym, co jeszcze tego nie ogarnęli, że opiekunem państwa nad twórcą i jego dziełem skończyła się bezpowrotnie. Zgromadzeniu towarzyszyła Wystawa jednego dzieła – rzeźby znakomitego rzeźbiarza z Bielska-Białej Bronisława Krzysztofa oraz koncert Jana Oberbeka niezrównanego mistrza gitary klasycznej.

- **II Salon Poezji w Trzebiatówce 2000**

z udziałem Józefa Barana, Adama Ziemanina, Jana Poprawy, Juliana Kawalca, Lidii Żukowskiej, Janusza Trzebiatowskiego i moim odbył się 20 maja 2000. Wystąpiłam już nie tylko w roli Gospodarza Zgromadzenia, ale również redaktora drugiego autorskiego wydania Pisma Artystyczno-Literackiego Hybryda.

- **VII Salon Sztuki w NCK 2000**

Działalność wystawiennicza należąca do głównych zadań statutowych nabrała rozmachu dzięki staraniom dyrektora NCK Ferdynanda Nawratila. 21 października w Galerii Centrum pokazano VII Salon Sztuki oraz trzy towarzyszące wystawy indywidualne: Janusza Trzebiatowskiego, Krzysztofa Litwina i Jerzego Nowakowskiego.

W 2001 roku POLART wkroczył w drugą dekadę swojego istnienia ze sporym bagażem doświadczeń tak w sferze działalności wystawienniczej – prezentowania dorobku artystycznego swoich członków (1992, 2x1995, 2x1996, 1998, 2000) – , jak i literackiej, na którą złożyły się dwa salony poezji (1995 i 2000). Jednocześnie rozpoczęła się trzecia kadencja władz stowarzyszenia, na czele których od 1990 roku trwał niestrudzenie prezes Janusz Trzebiatowski. Poszerzał się też zakres oddziaływania stowarzyszenia, do czego bez wątpienia przyczyniała się aura pewnej tajemniczości i elitarności zarazem. Jako prężnie działające blisko stuosobowe stowarzyszenie, zaczął POLART wydawać własne pismo - HYBRYDĘ, której pierwszy numer ukazał się w 1998 roku pod redakcją Andrzeja Pollo.

Lata 2001-2010 przyniosły wiele spektakularnych wydarzeń. Oprócz salonów poezji zaczęto promować też prozę

- **w Grand Hotelu 2001**

I Salon Prozy – Benefis Profesora Adama Zielińskiego

- **I Salon Nauki w Galerii Piano Nobile 2002**

Profesor Jerzy Haber w roli gospodarza kolejnego polartowskiego zgromadzenia powołał do życia Salon Nauki, zapraszając trzech znakomitych panelistów: fizyka z zacięciem filozoficznym prof. Andrzeja Staruszkiewicza i dwóch wybitnych historyków sztuki: profesora Kalinowskiego oraz prof. Krzysztofa Skórczewskiego.

- **Galerii Piano Nobile 2002**

III Salon Poezji – Joanna Krupińska-Trzebiatowska
Recital Andrzeja Sikorowskiego

- **w Śródmiejskim Ośrodku Kultury 2002**

III Salon Poezji – Lidia Żukowska



Zbigniew Świąch (z lewej) Janusz Trzebiatowski

- **VIII Salon Sztuki w NCK 2003**
z udziałem kilkunastu artystów malarzy i rzeźbiarzy
- **POLART w Magistracie 2003**
- II Salon Prozy – Zbigniew Świąch
- **w Klubie Dziennikarzy Pod Gruszką 2004**
- III Salon Prozy – Jan Poprawa
- **IV Salon Poezji 2004 w Galerii Kocioł Artystyczny**
– twórczość Józefa Barana
- **IV Salon Prozy w Łoży Aktora 2005**
– Stanisław Dziedzic, Bolesław Faron, Jan Pieszczachowicz, Tadeusz Skoczek.



Od lewej: Janusz Trzebiatowski, Wowa Brodecki, Joanna Krupińska-Trzebiatowska

- **I Aukcja dzieł sztuki.**

Szukając źródeł finansowania organizował POLART aukcje dzieł sztuki. Pierwszą w podczas balu Rotary w Hotelu Europejskim, kolejne przynoszące spory dochód, podczas własnych eventów.

- **XV-lecie ST POLART w Łoży Aktora 2005**
w roli Gospodarza Walnego Zgromadzenia wystąpił Franciszek Gałuszka – Wystawa Malarstwa Adriana Poloczka

- **X Salon Sztuki w Katowicach 2006**
– Renata Bonczar, Adrian Poloczek, Agata Poloczek

- **w Ratuszu we Wrocławiu 2007**
Wystawa Sztuki „Czterykroć po Mistrzowsku”

- **w Galerii Stefana Dousy 2007**

- **Salon Muzyczny w Łoży Aktora 2007**
– Jubileusz Tadeusza Strugały

- **Na Skałce 2008**
– Koncert Organowy Macieja Zborowskiego

- **na Wawelu 2009**
– Jubileusz 80-lecia Adama Zielińskiego

- **w Dworku Białostradnickim 2008**

"Filozofia a sztuka" – w roli Gospodarza Walnego Zgromadzenia w dniu 15 listopada 2008 r. wystąpił profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, filozof Józef Lipiec



XVI POLART ART EXHIBITION – WERNISAŻ W WIEDNIU 2013

z udziałem artystów (od lewej) Władysława Talarczyka, Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej – dyrektora festiwalu, Krystyny Nowakowskiej, Romana Banaszewskiego, Bronisława Krzysztofa, Kai Soleckiej, Ryszarda Kaczmarek, Jerzego Nowakowskiego, Stefana Dousy

- **w pracowni Krystyny i Jerzego Nowakowskich 2009**

- **w NCK 2010**

POLART Oddał Władzę Kobiecie pod takim tytułem ukazał się artykuł Wacława Krupińskiego w „Dzienniku Polskim”
<https://dziennikpolski24.pl/polart-oddal-wladze-kobieciel/ar/2729324>.

Wraz ze mną na czele Zarządu w roli wiceprezesów stanęli profesorowie Jerzy Nowakowski, Andrzej Ziębliński i Stefan Dousa. Funkcję skarbnika objął Franciszek Gałuszka, sekretarza Ferdynand Nawratil,

- **w Piwnicy Pod Baranami 2010**

XIV Salon Sztuki - Jubileusz 75-lecia prof. Wincentego Kućmy
 recital wokalny Wlżbiety Wojnarowskiej

- **w Muzeum Narodowym Oddział w Sukiennicach 2011**

- **w Salonie Towarzystwa Muzycznego Im. Haliny Czerny-Stefańskiej i Ludwika Stefańskiego 2011**

- **w Kawiarni Literackiej 2012**

wykład prof. Ewy Okoń-Horodyńskiej
 recital Leszka Wójtowicza

- **w Rubinstein Residence 2012**

recital Bożeny Zawislak-Dolny i Renaty Żelobowskiej

- **XVI Salon Sztuki w Domu Polonii 2013**

- **II Aukcja Dzieł Sztuki**

- **XVI POLART Art Exhibition w Wiedniu 2013**

Salon poezji w Galerii Takt – Józef Baran, Joanna Krupińska-Trzebiatowska, Kazimierz Świegocki

Trzecia dekada lat 2010 -2020 rozwinęła szeroko zakrojoną międzynarodową działalność festiwalową, a w tym Międzynarodowy Festiwal "Związki pomiędzy kulturą Poludnia a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze", o czym piszemy na kolejnych stronach. Seria koncertów kameralnych i symfonicznych, między innymi z udziałem pięciu zagranicznych orkiestr, towarzyszyła kolejnym wystawom sztuki. Wielkim Salonom skupiającym szerokie grono artystów malarzy, rzeźbiarzy, grafików i fotografików, jak również wystawom indywidualnym.

Działalność wystawienniczą oparto na placówkach muzealnych, a m.in. Muzeum Niepołomickim oraz Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce, a także, dzięki Tadeuszowi Skoczko, Muzeum Niepodległości w Warszawie. Współpracowano z Willą Decjusza, Klubem Dziennikarzy Pod Gruszką i wieloma innymi instytucjami. Spektakularny efekt osiągnięto prezentując sztukę współczesną w Komorze "Drozdowice" Kopalni Soli Wieliczka w 2014 roku.

W 2019 roku nakładem stowarzyszenia ukazała się Monografia XXX-lecia. "Polart moja miłość"

Czytaj dalej str.12=13-14

KONCERT XXXV-LECIA ST POLART W FILHARMONII IM.KAROLA SZYMANOWSKIEGO W KRAKOWIE



Andreas Winnen

Jubileusz XXXV-lecia Stowarzyszenia Twórczego Polart obył się bez fanfar i raczej skromnie, jeśli nie liczyć koncertu w Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie, gdzie 14 października 2025 wystąpiła Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska wraz z niemiecką orkiestrą symfoniczną Akademische Orchester Bonn prowadzoną przez Andreama Winnena. Ten znakomity dyrygent, wyspecjalizowany w pracy z zespołami akademickimi, przyjechał w tym roku do Krakowa po raz piąty.

Warto przypomnieć, że po raz pierwszy zjawił się tutaj jesienią 2018 roku wraz z orkiestrą Sinfonieorchester TH Köln, a rok później wraz z Junge Kammerphilharmonie Freiburg, by wziąć udział wraz z Izabelą Jutrzenka-Trzebiatowską w Festiwalu Lubomirskich, najpierw w Filharmonii Lubelskiej, a następnie w Zamku w Łańcucie. Zagraли wówczas *I koncert Fortepianowy* polskiego kompozytora Franciszka Lessla, wspieranego przez Lubomirskich ucznia Haydna.

Współpracę polskiej pianistki z niemieckim dyrygentem przerwał wybuch pandemii i dopiero latem 2022 roku udało im się znowu wystąpić wspólnie w Bonn wraz z młodzieżową orkiestrą Bonner Jugendsinfonieorchester – BJSO. Zagrany wówczas *III Koncert fortepianowy* Ludwiga van Beethovena Bonner Jugendsinfonieorchester - BJSO powtórzyła we

wrzeźniu 2023 roku w Filharmonii Krakowskiej wspierana przez towarzyszących jej muzyków z orkiestry Sinfonieorchester TH Köln, a na koniec w Muzeum Muzyki w czeskiej Pradze. Kiedy Sinfonieorchester TH Köln zjechała do Krakowa ponownie wiosną 2024 roku, by zagrać kolejny koncert wraz z Izabelą Jutrzenka-Trzebiatowską w Zamku Królewskim w Niepołomicach, a potem w Kościele św. Piotra i Pawła w Krakowie, wszyscy zastanawiali się czy młodzi Niemcy ulegli magii naszego miasta czy też sile przyciągania polskiej pianistki, coraz częściej zapraszanej z chopinowskimi recitalami do Niemiec.

Tak czy inaczej, Konsul generalny Niemiec Holger Mahnicke podkreślał w swoim wystąpieniu 7 kwietnia 2024 w Kościele św. Piotra i Pawła znaczenie polsko-niemieckiej współpracy oraz artystycznych przyjaźni wyrosłych na gruncie muzycznego dziedzictwa obu narodów.

Z kolei Wicekonsul Niemiec witając członków Akademisches Orchester Bonn w Zamku Królewskim w Niepołomicach 13 października 2025 nawiązała do zburzenia Muru Berlińskiego oraz Świąta Zjednoczenia Niemiec (1990) i wynikłych stąd możliwości polsko-niemieckiej współpracy ponad wszelkimi podziałami i na wszystkich płaszczyznach. Nie ulega wątpliwości, że współpraca ta nie byłaby możliwa, gdyby nie fakt, że w tym samym czasie również w

AKADEMISCHES ORCHESTER BONN

ANDREAS WINNEN I IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA



Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

Polsce doszło do przemian ustrojowych, po których zaczęły wyrastać rozmaite fundacje i stowarzyszenia, jak choćby POLART, obchodzący właśnie trzydziestopięciolecie swojego istnienia.

Wracając *ad rem*, trzeba podkreślić, że Akademisches Orchester Bonn, założona w 1985 roku i działająca pod egidą Reńskiego Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Bonn, jest czwartą z kolei orkiestrą niemiecką, która pojawiła się w Krakowie, jeśli nie liczyć ubiegłorocznego występu orkiestry Collegium Musicum Bonn pod batutą Rebekki Zastrov, w ramach naszego ubiegłorocznego Międzynarodowego Festiwalu "Kreatywne kobiety". Festiwal ten został zamknięty wiosną tego roku i powróciliśmy do prowadzonego od wielu lat Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze", gdyż znalazł źródło finansowania w konkursie na "Upowszechnianie kultury" Starostwa Wielickiego.

Akademisches Orchester Bonn zagrała więc dwa koncerty:

13 października 2015 Koncert Inauguracyjny XIII Międzynarodowego Festiwalu w Zamku Królewskim w Niepolomicach, a dzień później Koncert XXXV-lecia Stowarzyszenia

Twórczego POLART w Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie, któremu notabene tak władze miasta jak i marszałkowskie odmówiły wsparcia. Finansowanie działalności organizacji pozarządowych, a w tym organizacji takich jak nasza, działających *non profit* w sferze kultury, to temat szroki jak rzeka i nie będziemy go łączyć z naszym wielkim świętem, które przyciągnęło do filharmonii nie tylko naszych członków, ale również szerokie grono sympatyków a co ważniejsze krakowskich melomanów.

I tym razem bowiem wraz ze znakomitym niemieckim dyrygentem Andrease Winnenem powrócił do Krakowa Ludwig van Beethoven i jego bravurowo zagrany przez polską pianistkę jego *I Koncert fortepianowy C-dur op.15*.

W drugiej części koncertu krakowska publiczność usłyszała *I Symfonię C-dur op. 21* tego samego kompozytora, przyciągającego zazwyczaj do filharmonii tłumy, a całość poprzedziła Uwertura do Opery "Laskawość Tytusa" KV 621 Wolfganga Amadeusa Mozarta.

Gratulowano artystom znakomitego wykonania, a Stowarzyszeniu jubileuszu z pewnym zadziwieniem pytając, jakim cudem udaje się podejmować kolejne wyzwania we wszystkich niemal obszarach sztuki.

XIII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MÁLARSTWIE I LITERATURZE

W ZAMKU KRÓLEWSKIM W NIEPOŁOMICACH

Polartowski festiwal, jak łatwo policzyć, wszedł w drugą dekadę istnienia. Narodził się w Arendal w Norwegii, gdzie wyładowałam w styczniu 2013 roku w związku z udziałem Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej w tamtejszym Festiwalu Młodych Talentów.

– Skoro oni mogą mieć swój festiwal, dlaczego my nie – pomyślałam zasiadając do negocjacji, toczących się wokół przyszłej międzynarodowej współpracy Polartu z tamtejszym Konserwatorium Muzycznym. Na horyzoncie majaczyły granty nie tylko z funduszy bilateralnych, ale również europejskich. Nazwa narzucała się sama. Izabela grała w Arendal utwory Chopina, a zaproszona do Krakowa z recitalem fortepianowym Małgorzata Jaworska Griega.

W Domu Polonii w Krakowie, gdzie zorganizowaliśmy też XVII Salon Sztuki, pojawili się nasi przyjaciele z Westfalii wraz z mieszkającym wówczas w Hamm poetą Karolem Grenzlerem. W ten sposób wykształciła się formuła festiwalu łącząca różne dziedziny sztuki, literaturę, muzykę i malarstwo, w jedną całość i nawiązująca tym samym do pierwotnej platońskiej jedności, czyli dążenia do doskonałej harmonijnej całości i uniwersalnego języka, jakim posługują się artyści w myśl zasady, że wszystkie sztuki są odbiciem jednego Prawdziwego Bytu – Idei. Celem więc było uzyskanie poczucia jedności i ponadczasowości, o jakim pisał wielokrotnie Andre Malraux.

Marzyło się nam dzieło totalne i być może taki właśnie efekt uzyskaliśmy podczas II Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert–Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" prezentując wiosną 2014 roku w Komorze "Drozdowice" Kopalni Soli "Wieliczka" XVIII Salon Sztuki – wielkogabarytowe obrazy i ponadnaturalnej wielkości rzeźby, którym towarzyszyła muzyka. Recital fortepianowym Kathrin Buczak i kwartet Bogusława Hubisz-Sielskiej.

III Festiwal w 2015 przyniósł wystawę malarstwa Kai Soleckiej w Rubinstein Residence w Krakowie oraz wystawę malarstwa Jolanty Darowskiej-Dousa i rzeźby Stefana Dousy w Galerii Takt w Wiedniu.

Zawiązanie współpracy w 2016 roku z Zamkiem Królewskim w Niepołomicach pozwoliło na zaprezentowanie w Muzeum Niepołomiczkim w ramach IV Międzynarodowego Festiwalu XIX Salonu Sztuki oraz zrealizowanie spektakularnego w tym miejscu koncertu Sinfonietty Cracovia pod dyrekcją Tadeusza Strugały, z którą wystąpiła Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska. Wystawie towarzyszył też cykl koncertów kameralnych: Bogusława Hubisz-Sielska i Mariusz Sielski, Renata Żelobowska i Mariusz Pędziałek.

V Międzynarodowy Festiwal w 2017 roku w Muzeum Niepołomiczkim łączył jubileuszowy XX Salon Sztuki – ponad dwudziestu artystów malarzy i rzeźbiarzy – z koncertem Malwiny Lipiec (harfa) i Marii Ołdak (skrzypce).

W kolejnym roku Stowarzyszenie Twórcze POLART poszerzyło działalność o współpracę z Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka, gdzie odbył się XXI Salon Sztuki POLART oraz dwa koncerty: Elżbieta Stefańska (klawesyn) i Mariko Kato (klawesyn) oraz kwartet Europa Quatuor z Hiszpanii. Jednocześnie w Zamku Królewskim w Niepołomicach zrealizowano trzy wystawy: Tkaniny artystycznej, Ceramiki, Rzeźby Monumentalnej na Krużgankach, którym towarzyszyły koncerty: 1. Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska (fortepian) oraz duet Agnieszka Kuk (sopran), Tomasz Kuk (tenor) i Joachim Kołpanowicz (fortepian) 2. orkiestra kameralna pod batutą Sebastiana Perłowskiego i Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska (fortepian); 3. Wiktoria Zawistowska (mezzosopran) i Ewa Markuszewska (fortepian).

Zwieńczeniem VI Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert–Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" stał się koncert niemieckiej orkiestry Sinfonieorchester TH Köln pod batutą Andreasa Winnena, wraz z którą wystąpiła Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska (fortepian) w Pijalni Wód Nowy Dom Zdrojowy w Krynicy oraz w Zamku Królewskim w Niepołomicach.

Na zakończenie szóstej edycji festiwalu Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska zagrała recital fortepianowy w Europeum – Oddział Muzeum Narodowego w Krakowie – dedykowany znakomitemu dyrygentowi Tadeuszowi Strugałowi. Z kolei w Muzeum Biskupa Erazma Ciołka wystąpiła Malwina Lipiec-Rozmysłowicz (harfa) i Maria Ołdak (skrzypce).

VII Międzynarodowy Festiwal 2019 roku przyniósł w Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka XXII Salon Sztuki wraz z wydanym katalogiem oraz inaugurujący festiwal recital chopinowski Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej. Na zakończenie XXI Salonu Sztuki odbył się koncert kameralny – Bogusława Hubisz-Sielska (altówka) i Mariusz Sielski (fortepian). Jednocześnie w Zamku Królewskim w Niepołomicach zorganizowano trzy wystawy malarstwa – Andrzeja Borowskiego, Renaty Bonczar i Adriana Poloczka – oraz koncerty: brazylijskiego pianisty Arthura Mullera, recital fortepianowy Jerzego Stryjniaka z Nowego Jorku, a ponadto koncert kameralny Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej z udziałem Cracovie Ensemble pod dyrekcją Pawła Wójtowicza. I tu też na zakończenie VII Festiwalu wystąpiła Jungen Kammerphilharmonie Freiburg, pod batutą Andreasa Winnena wraz z Izabelą Jutrzenka-Trzebiatowską (fortepian).

VIII Festiwal w 2020 z racji pandemii ograniczył się do Zgromadzenia Członków w Willi Decjusza w Krakowie, gdzie wystąpiła z recitalem fortepianowym Renata Żelobowska.

W ramach IX Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert–Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" w 2021 roku pokazano wystawę malarstwa "Saturacja" Kai Soleckiej w Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka oraz

KONCERT INAUGURACYJNY AKADEMISCHES ORCHESTER BONN ANDREAS WINNEN I IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA



w Dworze Konopków w Mogilanach wystawę jednego dzieła Janusza Trzebiatowskiego "Katedra", której towarzyszył recital chopinowski Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej.

X Festiwal w 2022 roku powrócił do Zamku Królewskiego w Niepołomicach z wystawą malarstwa Eckeharta Fuchsa (Niemcy) oraz Paoli Alborghetti (Włochy), której towarzyszył recital fortepianowy Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej. Jednocześnie w Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce zaprezentowano XXIII Salon Sztuki POLARTU i recital Renaty Żelobowskiej

XI Festiwal w 2023 roku przyniósł Wystawę Malarstwa Ludwiga Angerera (Niemcy) pokazaną najpierw w Muzeum Niepodległości w Warszawie, a następnie w Muzeum Niepołomiczym, gdzie towarzyszył jej recital fortepianowy Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej. W ramach festiwalu pianistka wystąpiła również wraz z Bonner Jugendsinfonieorchester – BJSO pod batutą Andreea Winnena w Filharmonii im. K. Szymanowskiego w Krakowie, a następnie w Zamku Królewskim w Niepołomicach. Jednocześnie w Muzeum Żup Krakowskich pokazano XXIII Salon Sztuki, któremu towarzyszył recital fortepianowy Renaty Żelobowskiej.

XII Festiwal rozpoczął się wiosną 2024 roku koncertem Sinfonieorchester TH Köln pod batutą Andreea Winnena, z którą wystąpiła Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska (fortepian) najpierw w Zamku Królewskim w Niepołomicach, a następnie w kościele

św. Piotra i Pawła w Krakowie. Jesienią pokazano w Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce XXIV Salon Sztuki.

W 2024 r. zorganizowano również I Międzynarodowy Festiwal "Kreatywne Kobiety" z wystawą malarstwa czterech artystek w Muzeum Niepodległości w Warszawie i w Muzeum Niepołomiczym i towarzyszącym jej koncertem: Wiktoria Zawistowska (sopran) i Renata Żelobowska (fortepian). Ponadto wystąpiła w ramach tego festiwalu orkiestra Collegium Musicum Bonn pod batutą Rebeki Zastrow wraz z Izabelą Jutrzenka-Trzebiatowską (fortepian) – w Filharmonii im. K. Szymanowskiego w Krakowie, w Filharmonii Śląskiej oraz w Zamku Królewskim w Niepołomicach. Odbyła się też Jubileuszowa wystawa rzeźby Krystyny Nowakowskiej wraz z recitalem fortepianowym Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej w Willi Decjusza w Krakowie.

Także i w tym roku, na Koncert Inauguracyjny XIII Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert–Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze", w poniedziałek 13 października 2025 nie tylko zjechali do niepołomiczkiego zamku członkowie Stowarzyszenia Twórczego POLART z Krakowa, ale również przybyli tutejsi miłośnicy muzyki klasycznej. Koncert symfoniczny nie zdarza się tu często, a z udziałem orkiestry zagranicznej prawie nigdy. Pojawiający się więc po raz piąty z rzędu Andreas Winnen z kolejną orkiestrą niemiecką zadziałał na okolicznych mieszkańców jak magnes, podobnie jak doskonale znana tu od lat pianistka Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska.

XIII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MÁLARSTWIE I LITERATURZE

RECITAL CHOPINOWSKI IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA W ZAMKU KRÓLEWSKIM W NIEPOŁOMICACH



Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

Zwieńczeniem tegorocznej edycji Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert–Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" był recital chopinowski Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej w Zamku Królewskim w Niepołomicach, poprzedzający 26 października 2025 roku Wystawę Malarstwa i rzeźby zorganizowaną przez Stowarzyszenie Twórcze POLART w Muzeum Niepołomickim. Pianistka zagrała *Scerzo b-moll* i kilka innych utworów Fryderyka Chopina, a w tym polonezy i walce, a zakończyła koncert porywającym *Pour le piano* Claude Debussy'ego, zdobywając należny aplauz licznie zgromadzonej publiczności.

Ta szeroko zakrojona, jak wyżej wykazano, działalność festiwalowa zaledwie stuosobowego Stowarzyszenia Twórczego POLART, działającego *non profit* w sferze kultury i opartego wyłącznie na wolontariacie, rysuje się imponująco i pomimo

że nie przynosi żadnych dochodów stanowi bogatą ofertę kulturalną nie tylko dla swoich członków, ale również dla mieszkańców Krakowa, Wieliczki i Niepołomic. Może nadeszła więc pora, by na Międzynarodowy Festiwal "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert–Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" zwróciło uwagę Krakowskie Biuro Festiwalowe i otoczyło go należytą opieką. Z drugiej jednak strony nie należy zapominać, że Kraków jest miastem festiwalowym i rok rocznie pojawia się tutaj około 80 rozmaitych festiwali, z których najstarszy Festiwal kultury Żydowskiej istnieje od 1989 roku i wciąż przyciąga tłumy. Nic dziwnego skoro Kraków jest miastem kultury UNESCO...

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA



Katarzyna Zawierucha i Kaja Solecka

XIII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE W MUZEUM NIEPOŁOMICKIM WYSTAWA MALARSTWA KAJA SOLECKA I KATARZYNA ZAWIERUCHA RZEŹBY KRYSZYNA NOWAKOWSKA

Trzy artystki i trzy różne, bardzo indywidualne spojrzenia na kobietę, jej ciało i duchowość, wyrażone poprzez rzeźbę i malarstwo.

Motyw kobiety w sztuce jest bardzo popularny, różnorodny i obecny w sztuce od zawsze, zarówno w malarstwie i rzeźbie, literaturze i poezji. Zmieniał się na przestrzeni wieków, obejmując zarówno idealne wizerunki w postaci muzy czy anioła, jak i bardziej realistyczne portrety, a także symboliczne przedstawienia. Artyści ukazywali kobiety w kontekście ich ról społecznych, relacji, piękna cielesnego, a także jako symbolicznego uosobienie cnót, grzechów lub tajemnic. Jednak wizerunek kobiety nigdy nie był jednolity, zwłaszcza w czasach, kiedy to głównie mężczyźni kreowali jej obraz – w ten sposób kultura przez wieki powieliała pewne utarte schematy. Taki sposób postrzegania motywu kobiety w sztuce przyczynił się do odzwierciedlenia autentycznego statusu społecznego kobiety w danym czasie.

Wystawa zorganizowana przez Stowarzyszenie Twórcze Polart i otwarta 26 października 2025 roku w Zamku Królewskim w Niepołomicach zaprezentowała trzy współczesne artystki, w których twórczości temat kobiety jest bardzo ważny.

Krystyna Nowakowska, Kaja Solecka i Katarzyna Zawierucha – pierwsza z nich to rzeźbiarka, dwie kolejne malarki. Łączy je zainteresowanie motywem kobiety, nie tylko w warstwie jej fizyczności, ale przede wszystkim odrębności, psychiki, wrażliwości i duchowego piękna, zmagającego się z rzeczywistymi realiami.

Kaja Solecka artystka malarka, absolwentka Wydziału Architektury Wnętrz Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie w 1998 roku obroniła dyplom z malarstwa w pracowni prof. Janusza Tarabuły. Od tej pory zajmuje się malarstwem, grafiką i fotografią. Jej twórczość charakteryzują motywy kobiece – portrety i akty, ale również tworzone równoległe prace abstrakcyjne, wszystkie oscylujące pomiędzy odcieniami błękitu, sepii i oranżu.



Od lewej: Elżbieta Achinger Wicewojewoda Małopolski, Ewa Praszniak Wicestarosta Wielicki, Joanna Warchoł Prezes ZPAP, Janusz Trzebiatowski, Joanna Krupińska-Trzebiatowska Prezes ST POLART, Franciszek Gałuszka Skarbnik ST POLART, Andrzej Ziębliński Wiceprezes ST POLART, Katarzyna Zawierucha i Kaja Solecka



Od lewej: Krystyna Nowakowska, Aleksandra Kopacka Dyrektorka Muzeum Niepołomickiego, Elżbieta Achinger Wicewojewoda Małopolski, Franciszek Gałuszka Skarbnik ST POLART - wręczenie Krystynie Nowakowskiej Medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis



Od lewej: Joanna Warchoł, Janusz Trzebiatowski, Joanna Krupińska-Trzebiatowska, Franciszek Gałuszka, Andrzej Ziębliński, Katarzyna Zawierucha i Kaja Solecka

W jednym z katalogów artystki Zyta Misztal v. Blechinger napisała:

Kaja Solecka to artystka, której malarstwo kryje w sobie zarówno sensualną cielesność jak i opowieść o naturze w wymiarze intelektualnym. Malarka pracuje z elementami geometrii oraz z symbolem, za pomocą których odnosi się zarówno do przetworzonych psychicznie zdarzeń, jak i do rozmyślań nad nimi. Ogromną rolę w jej twórczości odgrywa kolor oraz jego parametry takie jak saturacja – subiektywna intensywność barwy – czy jasność, dzięki którym artystka buduje nastrój prac.

Katarzyna Zawierucha, artystka malarska urodzona w Gdańsku, od lat związana jest z Krakowem, gdzie mieszka i tworzy. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, gdzie studiowała na Wydziale Malarstwa, uzyskując dyplom w 2006 roku w pracowni prof. Leszka Misiaka. Od tego czasu konsekwentnie rozwija własny, rozpoznawalny język malarski, w którym łączy subtelność koloru z poetyckim niedopowiedzeniem.

Jej twórczość, to malarstwo nastroju, w którym odkrywamy samych siebie – jak wspomnienie, które powraca, lub zapomnienie. To sztuka, która nie komentuje

rzeczywistości, lecz tworzy własną prywatną, wewnętrzną przestrzeń spotkania z tym, co uniwersalne i ponadczasowe. Każdy obraz jest tu próbą uchwycenia tego, co ulotne.

Prof. Andrzej Szarek napisał:

Katarzyna Zawierucha siada na brzegu swojego życia w miejscu, w którym dyskretnie nie narażając się na odkrycie, wyczarowuje obrazy pełne pozytywnych napięć. Wpędza nas w błękity podszycie zieleni i szarości. Niektóre elementy w obrazach są pobudzone, rozedrgane, nazwane. To one rysują opowieść. Katarzyna je wyostrza jak w aparacie fotograficznym, decyduje, co ma interesować odbiorcę. Wszystko to sprawia, że pojawia się zaufanie i od tej pory bez przeszkód miesza świat bajki, snu i osobistych tajemnic czyniąc obraz.

Krystyna Nowakowska, artystka rzeźbiarka, która swą artystyczną przygodę rozpoczęła w 1973 roku studiami na Wydziale Rzeźby krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych ukończonymi dyplomem w pracowni prof. Jerzego Bandury w 1979 roku. Kolejne lata zaowocowały powstaniem szeregu prac rzeźbiarskich, często ujętych w tematyczne cykle, ze szczególnym upodobaniem do unikatowych kompozycji tworzonych w wosku i odlewanych w brązie techniką wytapianych modeli zwaną również techniką traconego wosku.



Od lewej: Krystyna Nowakowska i Ewa Ptasznik Wicestarosta Wielicki

Twórczość Krystyny Nowakowskiej ma swe korzenie w sztuce antyku, lecz z biegiem lat rozwijała się i ewoluowała, łącząc wzorce klasyczne z nowoczesnością, przeobrażając się wraz z nabywanym doświadczeniem, które kierowało ją w stronę poszukiwania wciąż nowych rozwiązań twórczych i formalnych.

Dorobek artystki jest bardzo bogaty i wciąż powiększający się o nowe prace. Wszystkie urzekają finezją, subtelnością i doskonałą formą – jest w nich wysublimowana estetyka i elegancja, ale też dramatyzm, podkreślający szczególną empatię na otaczający świat i ludzi, na ich obecną egzystencją, nieznaną przyszłością i nieuchronną przemijalnością.

Bardzo ważnym podsumowaniem twórczości artystki stała się wielka wystawa Krystyny jej męża, rzeźbiarza prof. Jerzego Nowakowskiego zatytułowana „Introwersus – Extrawersus – Ukryty wymiar”, zorganizowana w 2023 roku przez Nowohuckie Centrum Kultury w Krakowie w ramach projektu „Przestrzeń dla sztuki” oraz programu Open Eyes Art Festival. Wchodzące w skład projektu trzy duże wystawy stanowiły retrospektywny ogląd dotychczasowej działalności rzeźbiarki, dając tym samym świadectwo jej wielkiego, artystycznego dorobku, aktywności twórczej i talentu.

Za osiągnięcia artystyczne i zasługi dla sztuki polskiej, Krystyna Nowakowska została uhonorowana Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, wręczonym podczas wernisażu wystawy w Zamku w Niepolomicach przez Panią Wicewojewodę Małopolski Elżbietę Achinger.

W obecnych czasach kobieta jest wszędzie – na obrazach, fotografiach, plakatach i w rzeźbie. Jest również niezmiernie aktywna w tworzeniu sztuki, a jej wrażliwość, dar obserwacji i głębia przeżyć powodują, że dzieła tworzone przez kobiety-artystki sięgają wyższego wymiaru – ukazują nie tylko portret i ciało, ale zmysłowość i duchowość, są przepełnione uczuciowością, tajemnicą, intelektem i emocjami. Dotykają rzeczywistości i posiadają wątki ponadczasowe i metafizyczne.

Te właśnie cechy charakteryzuje twórczość Krystyny Nowakowskiej, Kai Soleckiej i Katarzyny Zawieruchy.

JOANNA WARCHOŁ
PREZES ZPAP
OKRĘGU KRAKOWSKIEGO

JACEK ROMAŃSKI



IKONOGRAFIA BOSCHOWSKICH PIEKIEŁ OD SKRAJNEGO SCEPTYCYZMU KU KONTYNGENTNEJ MOŻLIWOŚCI NADZIEI

Lasciate ogne speranza, voi ch'intrate

Motyw piekieł zdaje się występować w historii sztuki niemal od samego jej początku. Wizje podziemnej krainy pełnej bólu i cierpienia odnajdujemy już u starożytnych Egipcjan (Księga umarłych), w Mezopotamii (epos o Gilgameszu), w Grecji (Hades), w Rzymie (Tartar). Motyw piekła pojawia się następnie w sztuce bizantyjskiej, romańskiej sztuce wczesnego średniowiecza (anonimowe tympanony i kapitele), gotyku, renesansie, baroku (obrazy ołtarzowe), romantyzmie, modernizmie i w samej współczesności. Przewija się więc od zarania ludzkości, co samo w sobie stanowi podstawę do zadania kilku pytań, których rozważenie mogłoby dać nam lepszy wgląd w istotę tego kulturowego zjawiska: skłonności do przedstawiania tej ponurej krainy udręki w postaci mitów, rzeźb i obrazów.

W niniejszym artykule nie będę zajmował się dogłębną analizą ewolucji tego motywu. Pytania, które mnie interesują, dotyczą raczej źródeł jego pochodzenia oraz typów reprezentowanych piekieł, z których wymienić można na wstępie dwa - piekło zmysłowe i psychiczne. Pogłębiona analiza odnosić się będzie natomiast do kilku dzieł Hieronima Boscha, które w szczególnie sugestywny sposób ilustrują poruszane tu kwestie. Wybór ten wydaje się oczywisty ze względu na niezwykłą siłę przekazu – być może kulminacyjny moment w historii sztuki, jeśli chodzi o wizualizację najgłębszych lęków ludzkości. Lęków, które poprzez własną ekspresję zdają się dotykać niemal samego rdzenia urzeczywistnionego a nie jedynie przedstawionego zła. Skąd zatem biorą się najpierw wyobrażenia, a następnie wizualizacje tego przerażającego miejsca? W pierwszej kolejności zdają się one odnosić do niesprzyjających warunków zewnętrznych – nacechowanych nadmiarem lub niedostatkami – które stają się przyczyną cierpienia i dyskomfortu. Cierpimy, gdy czegoś jest zbyt wiele, gdy równowaga zostaje zachwiana. Jest zbyt gorąco, zbyt zimno, piekło płonie lub zamarza, a nieszczęśnicy, którzy tam trafili, toną w podziemnych jeziorach lub przeciwnie, wystawieni pozostają na mękę pozbawiania wody. Wszystko to, co pragnęlibyśmy odczuwać tu na ziemi w odpowiedniej mierze, tam miary tej nie zachowuje, wręcz przeciwnie, zdaje się posunąć do ekstremów, które niszczą.

Zmysłowe doświadczenie owych skrajności w oczywisty sposób zostaje powiązane z takim a nie innym krajobrazem – piekło jest miejscem skrajnie nieprzyjaznym, w którym nie da się przebywać bez uszczerbku. Stanowi ono zatem ilustrację skrajnych warunków wewnętrznych, do których nie można się w żaden sposób przygotować ani zapobiec ich skutkom. Generuje cierpienie, od którego nie ma ucieczki, pozostając bezkresne w swojej zamkniętości. W pierwszej kolejności pochodzi zatem od zmysłów, a wyobrażenia bólu i cierpienia stanowią symboliczne przetworzenie reakcji na niesprzyjające bodźce zewnętrzne mogące złamać, naruszyć kruchą powłokę cielesności. Przed źródłem cierpień wywoływanych przez czynniki fizyczne osłaniać miały nas początkowo pierwotne instynkty, a później także wszelkiego rodzaju zakazy i nakazy, które z czasem stawały się tzw. skamieniałą normą – chroniącą obecnie już jedynie granice wspólnoty - kosztem jednostki. Mowa tutaj o wszelkich regulacjach religijnych, których stosowanie dzisiaj nie ma żadnego sensu, a nie stosowanie się skutkuje niejednokrotnie



Wóz z sianem

lękami, traumą, nerwicami czy psychozami – swoistymi rodzajami indywidualnych piekieł psychicznych. Oczywiście ich źródłem są nie tylko religijne zakazy, ale również w obu przypadkach szeroko pojęta przemoc - z jednej strony fizyczna, z drugiej emocjonalna. Przejawiający się w historii wachlarz tych cierpień zdawał się wymagać pewnego uniwersalnego odniesienia – miejsca, w którym wszelkie lęki, ból i cierpienie skupiały się niczym w soczewce. Miejscem takim było oczywiście piekło wraz z całym spektrum występujących w nim rekwizytów oraz aktorów. Tychże nie brakuje na obrazach Boscha. Musimy jednak zauważyć, że choć mówimy tutaj o naszej reakcji na źródła zбору fenomenów rozumianych jako zło, to ono samo na poziomie koncepcyjnym ujmowane zostaje nie bezpośrednio, lecz poprzez symbole i pojęcia¹.

Jednym z pierwszych obrazów Hieronima Boscha, na którym możemy dostrzec ów piekielny krajobraz, jest *Wóz z sianem*. Reprezentuje on pewien zasób ekonomiczny, z którego każdy chce coś dla siebie uszczknąć. Przekaz jest jasny i czytelny – chciwość, czyli chęć gromadzenia ponad miarę, jest również złamaniem naturalnej równowagi, która prowadzi do utrapień będących za nie karą. Z tego powodu dostrzegamy po lewej stronie tryptyku piekielny piec, jezioro pełne trupów, płonące w oddali miasto – wszelkiej maści demony i grzeszników – pejzaż będący ostrzeżeniem również dzisiaj, gdy eksploatuje się planetę w sposób niekontrolowany.

Piekło jest także królestwem strachu. Lęk, którym jest przepełnione, nie jest jednak jedynie lękiem przed karą, ale ponadto

pewną aktywną siłą w polu naszej psychiki, która przeczuwa źródło grzechu, lecz nie może go zracjonalizować. Owa bojaźń dotyczy zatem tego, co w żaden sposób nie może zostać poznane, a czego jedynie bolesne efekty mają na nas stały wpływ. W tym sensie piekielne krajobrazy są odbiciem najgłębszego sceptycyzmu. Czy dzisiaj po doświadczeniach obu wojen, a także po intelektualnej cezurze postmodernizmu możliwa jest jeszcze nadzieja na życie bez lęku oparte o uniwersalne wartości?

Wspomnieliśmy, że zło nie daje się ująć wprost, dlatego człowiek od najdawniejszych czasów wyraża je poprzez symbole: mit, przypowieść, rytuał, poezję. Inaczej mówiąc, gdy piszemy o zlu, to możemy robić to jedynie w sposób zapośredniczony, jego źródło zdaje się dla nas niedostępne i nieprzeniknione, jako irracjonalne zatem - może ostatecznie zostać jedynie wybrane w akcie woli i odczute poprzez swoje przejawy². Sama możliwość tego wyboru nie implikuje np. u Kanta pierwotności zła - tutaj podstawą porządku świata pozostaje rozum wraz z jego immanentną predyspozycją do dobra. Rodzi to jednak paradoksy mogące zostać przekroczone wyłącznie na drodze ucieczki w dogmat lub fideizm. Co jeżeli jednak podjęta zostaje dyskusja na temat natury samego fideizmu? Czy pozostaje nam wtedy tylko rozwiązanie zakładające istnienie jakiejś złej maksymy, czyniącej z człowieka byt ostatecznie zły i demoniczny?³ Nie chcąc w tym przypadku uciekać we fideizm ani w skrajny sceptycyzm oraz w poszukiwaniu możliwych rozwiązań Quentin Meillassoux pisze o zasadzie faktualności, czyli braku konieczności obowiązywania jakichkolwiek praw odnoszącej się nawet do



Tryptyk Lizboński - Kuszenie św. Antoniego

obowiązywania praw natury. Na gruncie tej zasady można wyobrazić sobie dowolną liczbę możliwych światów, w których przedmioty mogą się zacząć zachowywać w sposób dowolny nawet kapryśny i nieprzewidywalny. Choć racja tego, że i jak cokolwiek istnieje, jest niedostępna naszemu rozumowi (istnienie jest bez racji) pozostając dla nas zagadkowa, to jednak w tej zagadkowości kryje się jego zdaniem nadzieja, a także schronienie przed chaosem. U podstawy tej zagadkowości leży bowiem zabsolutyzowana kontyngencja (konieczność niekonieczności), która otwiera przed nami obszar nieskończonych możliwości, mówiąc nam, że jeżeli wszystko jest możliwe, to możliwa jest również rzeczywistość, w której nie istnieje zło⁴.

Jest to ten moment, w którym myśl współczesnego francuskiego filozofa oraz ta zawarta w sztuce Boscha późnego średniowiecza zdają się w tajemniczy sposób zbieżne, a to za sprawą kolejnego obrazu tego drugiego, czyli *Ogrodu rozkoszy ziemskich*. Również tutaj widzimy lewą stronę tryptyku przedstawiającą piekło. Jednak tym, co interesuje nas bardziej w tym przypadku, jest część środkowa, jakże odmienna od części centralnej omawianego wcześniej *Wozu z sianem*, gdyż nie zawierająca elementów dręczenia, demonów czy upadłych aniołów. Mamy tu natomiast, zdaniem Fraengera, do czynienia z ludzkością hipotetyczną, radosną, wolną od zła, która mogłaby zaistnieć, gdyby Adam i Ewa nie zostali wygnani z Raju za sprawą grzechu. W swoim przesłaniu ta część obrazu mogłaby być zatem koherentna ze wspomnianą teorią Meillassoux - z możliwością (gdyż kontyngencja jest niekończącym się otwarciem na wszelkie możliwości) zaistnienia świata bez lęku, grzechu, skazy i pęknięcia, gdzie żadna racja nie jest już wymagana do zaistnienia czegokolwiek, gdyż samo istnienie stawałoby się tu kompletne i pełne. Mówi się, że w historii sztuki, mało które dzieło, dorównuje temu przedstawieniu, taką posiada wewnętrzną moc i energię⁵.

Wieża z *Tryptyku Lizbońskiego*, namalowana w jego środkowej części, przedstawia pustelnię świętego Antoniego, ale symbolizuje również uderzoną błyskawicą wieżę z

figur przypominającą u niego te z Wielkich Arkanów. Z kolei postacie biblijne widoczne są tu niejako w krzywym zwierciadle, a ich znane role stają się rolami demonicznymi – to, co jasno ustalone w porządku symbolicznym, u Boscha staje się rozpleniowym kłębowiskiem nieujarzmionej wyobraźni i sensów. Mamy zatem do czynienia z przesytem chaosu symbolicznego bez odniesień do obiektywnego świata – z wielkim psychotycznym symulakrum, z diaboliadą nadmiaru sensów. Widzimy tu statki rybne, hybrydy, smoki, nietoperze, wszelkiej maści demony i diabły, a w tle zawsze dostrzegamy płonące miasta. W takim krajobrazie niemożliwe staje się odnalezienie jakiegokolwiek prawdy – oto derridańskie namnożenie sensów – postprawda symulakrum, która wylewając się z dezinformującego przekazu, zdaje się również dzisiaj coraz bardziej przybliżać nas do rzeczywistego piekła. Jednak taki świat pozostaje często naszym wyborem i aktem woli. Pascalski dylemat zdaje się wciąż obowiązywać.

Wróćmy na moment do piekieł indywidualnych, jednostkowych i psychicznych. Wspomnieliśmy wcześniej, że wewnętrzny konflikt wywołany jest tutaj poprzez oczekiwania kulturowe tkwiące w sprzeczności z pragnieniami jednostki, ale cierpienie może być również wywołane poprzez ekspozycję na długotrwały stres, czy poprzez wymagające farmakoterapii zakłócenie delikatniejszej równowagi chemicznej mózgu (które może być natywne, a może wynikać ze wspomnianych przeżyć). Dość powiedzieć, iż dróg wyjścia z owych jednostkowych, ale też często zbiorowych (trauma może być bowiem zbiorowa) schematów cierpienia poszukiwało wielu badaczy i filozofów, od Freuda zaczynając, poprzez Lacana, a na Julii Krisevej kończąc. Równocześnie postmodernizm bezustannie demaskował substancjalny sceptycyzm leżący u ich podstaw. Kilkadziesiąt lat później, choć nie sposób kwestionować jego dokonań, widzimy wyraźnie, że jeżeli ujmemy go dosłownie, skutkuje brakiem możliwości interpretacyjnej lub przyjmuje założenia, przeciwko którym sam występował. Pojawia się zatem konieczność zrobienia pojęciowego kroku na przód. Realizuje się ona właśnie m.in. w myśli przywołanego tu Quentina Meillassoux. Nadzieja zdaje się tu leżeć zatem w samej zagadkowości świata, w której zawiera się jego otwartość i możliwość zmiany, innymi słowy



Ogród rozkoszy ziemskich

w kontyngencji. Odrzucenie jej założeń skutkuje natomiast nagromadzeniem błędnych przekonań, tautologii, wszelkiego rodzaju ideologii, które posługując się wspomnianą dezinformacją, relatywizowaniem sensów i zwykłym kłamstwem – zamykają nas w skostniałym, zamkniętym, pełnym cierpienia świecie.

Zwrócenie się ku tajemnicy, gotowość do rewizji własnych przekonań i racji zdaje się podstawą możliwości wszelkich negocjacji, a także otwiera potencjał zaistnienia nowego, lepszego świata. Ich utrwalenie natomiast, podparte argumentami tzw. autorytetów, nie prowadzi nas nigdzie indziej jak do usłanych trupami lasów i pól Ukrainy, do zrealizowanej możliwości zła – przyjmującej formę już nie przedstawionego, ale rzeczywistego piekła. Wybór będący aktem woli zdaje się przynajmniej w części należeć do nas samych.

Przypisy:

1 Por. Paul Ricoeur, *Symbolika zła*, Warszawa 1986, s.13

2 ibidem s. 153

3 Por. Marek Drwięga, *Człowiek między dobrem a złem*, Kraków 2009, s.121

4 Por. Quentin Meillassoux, *Po skończoności*, tłum. Piotr Herbich, Warszawa 2015, s.121

5 Por. Virginia Pitts Rembert, *Hieronim Bosch*, Warszawa 2006, s. 21

6 Por. Ibidem s.81- 121

Bibliografia :

1. Dante Alighieri, *Boska Komedia*, tłum. Edward Porębowicz, Warszawa 1959

2. Ernst Cassirer, *Filozofia form symbolicznych*, tłum. Andrzej Karalus, Przemysław Parszutowicz, Kęty 2020

3. Izydora Dąbska, *Sceptycyzm francuski XVI i XVII wieku*, Toruń 1958

4. Jacques Derrida, *Pismo filozofii*, tłum. Bogdan Banasiak, Kraków 1992

5. Marek Drwięga, *Człowiek między dobrem a złem*, Kraków 2009

6. Julia Kristeva, *Potęga obrzydzenia*, tłum. Maciej Falski, Kraków 2007

7. Józef Lipiec, *Świat wartości*, Kraków 2001

8. Quentin Meillassoux, *Po skończoności*, tłum. Piotr Herbich, Warszawa 2015

9. Virginia Pitts Rembert, *Hieronim Bosch*, Warszawa 2006

10. Paul Ricoeur, *Symbolika zła*, Warszawa 1986

AGATA OLENDEREK

OLA WATOWA MIŁOŚĆ JEST NAJWAŻNIEJSZA



Paulina Lew

Była jedną z najbardziej wzruszających postaci w dziejach polskiej kultury. Dla swojego ukochanego męża poświęciła karierę aktorską. Potem przeżyła z małym dzieckiem ciężkie zesłanie do Kazachstanu. Następnie była świadkiem ciężkiej choroby męża i jego samobójczej śmierci w 1967 roku. Sama odeszła w 1991 roku, wspominała: „wszystko co najważniejsze wiąże się z moim mężem Aleksandrem”...

Urodziła się równo sto lat temu, 26 kwietnia 1903 roku w Warszawie w rodzinie żydowskiej, jako Paulina Lew, córka Aarona i Sary Lwów, „w domu miała doskonałe warunki, rodzice zamożni, była ulubienicą, najładniejszą ze wszystkich pięknych córek”.

Po maturze zaczęła studia w prywatnej szkole wyższej – Wolnej Wszechnicy Polskiej. W 1922 roku została studentką szkoły aktorskiej. Zrobiła to w tajemnicy przed swoimi konserwatywnymi rodzicami. Ale jej sceniczną karierę zatrzymało na zawsze poznanie wiosną 1923 na studenckim balu młodego poety Aleksandra Wata. Wkrótce było jasne, że są sobie przeznaczeni. Aleksander poprosił Olę, żeby porzuciła studia aktorskie, co ona uczyniła. Ale ich narzeczeństwo trwało kilka lat z powodu oporów jej bogatej rodziny, która awangardowego, ale ubogiego poetę, nie uznawała za dobrego kandydata na męża Oli.

Uważano ją za jedną z najpiękniejszych kobiet Warszawy. Mamy pisemne świadectwa dotyczące jej zjawiskowej urody od poety Jana Lechonia oraz pisarki Janiny Broniewskiej. Podobno awangardowy poeta rosyjski W. Majakowski nie mógł oderwać od niej wzroku podczas swojej wizyty w Warszawie...

Ola i Aleksander Wat wzięli tradycyjny ślub żydowski w dniu 24 stycznia 1927 roku, w prezencie od męża dostała tomik jego wierszy pod znamienym tytułem „Bezrobotny Lucyfer”. Na weselu bawiła się hucznie polska awangarda artystyczna wraz z zachwyconym malowniczym obrzędem poetą Julianem Tuwimem na czele. Za karę za wybór małżonka od rodziców nie dostała żadnego posagu.

Nigdy nie podawano w wątpliwość wierności Oli i jej oddania mężowi. Na tle swobodnej obyczajowo artystycznej Warszawy okresu międzywojennego, gdzie było milczące przyzwolenie na romanse pozamałżeńskie, była rzadkim wyjątkiem.

Ola trwała przy swoim mężu mimo biedy i trudności. Poeta Czesław Miłosz pisał: „miłość do Oli była „osią życia” Aleksandra Wata – wybitnego poety, eseisty, autora słynnego »Mojego wieku«. Nad nimi przewalały się burze, wojny i totalitaryzmy, a oni trwali przy sobie na przekór wszystkiemu: zsyłce na Sybir, uwięzieniu, straszliwej chorobie”. Zwłaszcza, że sam Wat narzekał: „byłem wszystkim tym, czym należy być, tylko nie we właściwym czasie. Byłem politykiem, kiedy trzeba było być poetą i byłem poetą, kiedy trzeba było być



Ola i Aleksander Watowie

politykiem. Byłem komunistą, gdy porządni ludzie byli antykomunistami, zostałem antykomunistą, gdy rozsądni ludzie szli do komunizmu”.

Aleksander Wat urodził się w Dzień Międzynarodowego Święta Pracy, 1 maja 1900 roku, był więc starszy od Oli o trzy lata. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Chwat. Pochodził ze strony ojca z rodziny żydowskiej bardzo zasłużonej dla kultury europejskiej, m. in. jego przodek Raszi z francuskiego średniowiecza napisał bardzo cenione komentarze do „Biblii”, inny był renesansowym kabalistą, to Izaak Luria. Jego przodkowie dostarczali broń i walczyli w powstaniu styczniowym. Ze strony matki jego prapradziadkiem był wielki rabin Kutna.

Ojciec poety – Mendel Michał Chwat – był bardzo dobrze wykształcony, znał świetnie zarówno Kabałę jak i współczesną filozofię europejską. Matka Rozalia była z domu Kronsilber. Wat miał aż siedmioro rodzeństwa. Jak sam wspominał wszyscy czytali bardzo dużo książek z rodzinnej biblioteki. Trzej bracia byli lewicowi, dwóch z nich zginęło w Holocauście. Trzydzieści lat starsza siostra została znaną polską aktorką. Pod artystycznym pseudonimem Seweryna Broniszówna zagrała wiele wybitnych ról w teatrze. Na początku swojej kariery grała w Krakowie, potem Arnold Szyfman zaangażował ją do swojego Teatru Polskiego w Warszawie. Grała tam duże role dramatyczne: Jokastę, Judytę, Rachelę z „Wesela”, Salome. Występowała w przedwojennych filmach i uczyła z powodzeniem aktorstwa. Zmarła w 1982 roku w Warszawie.

Aleksander Wat w liceum przyjaźnił się ze swoim kolegą z klasy, Anatolem Sternem. Wat był również w tym czasie buddystą i fascynowała go matematyka. W 1918 roku namówił kilku gimnazjalnych kolegów i uciekł z nimi do Lublina.

Planowali tam dołączenie do sowieckiej rewolucji. Na szczęście policja austriacka szybko odstawiła zbuntowanych nastolatków do rodzinnego domu. W 1918 roku Aleksander zaczął studia na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Filozofii. Jego mentorem podczas studiów na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego był sam profesor Tadeusz Kotarbiński, któremu podobno zaimponował świetna znajomością filozofii Schopenhauera i Kanta.

Wat wstąpił jako ochotnik do armii w czasie wojny polsko-bolszewickiej, ale nie uczestniczył w walkach. Był głównym w Polsce poetą-futurystą. Jego wiersze z tego okresu opublikowane w 1919 roku w tomiku wierszy "Ja z jednej strony i Ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka" były „uwolnione” z interpunkcji, gramatyki i ortografii. Już w 1918 roku założył z Anatolem Sternem ekscentryczną grupę futurystyczną, redagowali jednodniówki, organizowali szokujące opinie publiczną wieczory literackie. Napisał wtedy kilkanaście wierszy futurystycznych opublikowanych w gazetach.

Ale w połowie lat 20. miejsce awangardowej sztuki zajęła w życiu Aleksandra Wata lewicowa polityka. Wat, jak wielu polskich ówczesnych artystów, przeżył fascynację komunizmem. Gorliwie brał udział w zebraniach Komunistycznej Partii Polski i był jednym z założycieli jej organu prasowego czyli „Miesięcznika Literackiego”. Rozpoczął współpracę artystyczną z Andrzejem Stawarem. Byli rówieśnikami, obaj urodzeni w 1900 roku. Stawar był czołowym polskim przedwojennym marksistą. Pod jego wpływem Wat został komunistą. W tym okresie swojego życia wspólnie wydawali „Miesięcznik Literacki”. Dołączyli do nich Władysław Broniewski i Bruno Jasiński. Pismo było

bardzo opiniotwórcze w polskim środowisku lewicowy. Sam Wat wspominał, że kosztowało 1, 50 groszy, co było dużo jak na okres międzywojenny. Zwykle zbierało się 10 lub 20 osób, które kupowały jeden egzemplarz pisma.

Chociaż Wat nigdy nie wstąpił do partii komunistycznej, to sam siebie określał po latach jako „bardzo fanatycznego sekciarza”. Ale z drugiej strony jego dobrym przyjacielem był Witkacy, znany przeciwnik komunizmu. Wat często bywał w sowieckiej ambasadzie w Warszawie, wspominał: „długi referat o walce na wsi, na stole kawior i szampan”. Ola była sekretarką w gazecie męża. Pod koniec istnienia gazety w obawie przed ingerencjami cenzury jej proces produkcyjny był mocno skomplikowany, „numer robiłem w Warszawie, redaktor odpowiedzialny był we Lwowie, a drukowałem w Poznaniu” wspominał mąż Watowej.

23 lipca 1931 roku Ola urodziła ich jedyne dziecko, syna Andrzeja. Kiedy dochodziła do siebie po bardzo trudnym porodzie, przez miesiąc była bowiem w szpitalu, pismo zostało zamknięte po dwóch latach swojego istnienia i sam Wat trafił na trzy miesiące do więzienia. W tym czasie Ola z dzieckiem była utrzymywana przez swoich zamożnych rodziców. Oni również zapłacili kaucję, żeby zięć mógł opuścić areszt.

Potem Wat zatrudnił się jako kierownik literacki w prestiżowym wydawnictwie Gebethner i Wolff. Ich syn kiedy poszedł do swojej pierwszej szkoły w wieku 6 lat, to stał się ofiarą antysemitki napaści.

Wybuch II wojny światowej skłonił małżeństwo Watów do szybkiej ucieczki na Wschód, już szóstego dnia wojny. Jechali dwoma różnymi samochodami. Na szczęście Aleksander odnalazł żonę i syna w Łucku. Zamieszkali we Lwowie. Pisarz po latach wspominał: „trzy miesiące Lwowa, trzy miesiące trudne do wspomnienia, trzy miesiące udawania, strachu, niezręcznego kłamstwa. Wiedziałem przecież, że wszyscy związani z „Miesięcznikiem Literackim” zginęli więc nie ulegało dla mnie wątpliwości, że ja też muszę zginąć”. Już w październiku 1939 roku Wat zaczął pracę w osławionym „Czerwonym Sztandarze”. Pisał tam sprawozdania sądowe oraz nocami robił korektę. Razem z Broniewskim, Boyem-Żeleńskim i Wasilewską weszli do władz Komitetu Organizacyjnego Pisarzy Lwowskich, który 19 listopada 1939 roku wydał haniebne oświadczenie polskich pisarzy pochwalających przyłączenie zachodniej Ukrainy do sowieckiej Rosji. Swoistym opiekunem politycznym Wata został Aleksander Dan. Ale nie był zbyt uciążliwy, „miał bardzo dużo dla mnie przyjaźni, kochał się w Oli”.

W styczniu 1940 roku doszło do „demonicznego aresztowania”, prowokacji NKWD. Miejszem był elegancki klub prowadzony przez właściciela przedwojennego warszawskiego sklepu z angielskimi ubraniami. Gromadzili się tam Polacy, grała orkiestra Petersburskiego i Golda, „takie Qui pro Quo na gorszym poziomie. Wódka. Wódkę pito bardzo”. Na imprezę zaprosił scenograf Władysław Daszewski, wieloletni przyjaciel Wata. W efekcie on i min. Broniewski zostali aresztowani. Ola z dzieckiem została sama.

W nocy z 13 na 14 kwietnia została aresztowana wraz z dziewięcioletnim synem i zesłana do Kazachstanu. Podróżowali

tam aż trzy tygodnie w bydłym wagonie. Watowa została osiedlona w Iwanowce koło miasteczka Żarmy. Wykonywała ciężkie prace fizyczne, m.in. przy przerabianiu nawozu na kostki opałowe i przy wypalaniu cegieł. W roku 1941 po "amnestii" dla Polaków zamieszkała w kolchozie Antonówka koło Czimkentuu.

I wtedy nagle, jak wspominał jej mąż, objawiła stalową siłę swojego charakteru Wspominał: „byłem przyzwyczajony, że Ola jest taka orchideowa, niesłychanie wydelikaccona, neurotyczna, zresztą przed wojną przechodziła bardzo ciężkie stany metafizyczne po co się żyje, męczyła się przed wojną. Kazachstan ją z tego wyleczył. W chwili próby okazała się bardzo silna i dzielna. W najgorszych warunkach umiała ochronić Andrzeja i siebie”.

W 1942 roku cudem odnaleźli się z mężem w Kazachstanie, on wspominał: „wyglądała na sześćdziesięcioletnią kobietę, wyniszczoną zupełnie, i jak ubraną. Nie mogę zapomnieć jej spódnicy, jak rzeszoto, widać spod niej było jej koszulę”. Źle było również z ich synem, „wyglądał jak dziecko z getta warszawskiego. Miał już początki gruźlicy, trupia czaszka”. Na szczęście oboje szybko odzyskali zdrowie.

Do Polski pozwolono im wrócić dopiero cztery lata później, dotarli do Warszawy w kwietniu 1946 roku. Tutaj dowiedzieli się, że cała rodzina Oli zginęła zamordowana w Treblince w 1942 roku.

Wat został w latach 1946 – 1948 redaktorem naczelnym Państwowego Instytutu Wydawniczego. Pisał do pism: „Odrodzenie”, „Kuźnica” i „Twórczość”. Ale po swoich sowieckich doświadczeniach nie był pokorny. W efekcie, w okresie stalinowskim wyrzucono go z pracy i dostał zakaz publikowania. W 1953 roku otrzymał druzgocącą diagnozę lekarską, zachorował na chorobę neurologiczną zwaną zespołem Wallenberga. Objawiała się ona przede wszystkim bardzo ciężkimi bólami głowy. Podjął leczenie w Szwecji i na południu Francji. Mimo cierpień fizycznych wrócił do pisania wierszy. W 1957 opublikował ich nowy tom. Ponieważ uczynił to po aż kilkudziesięciu latach przerwy uznano to za jego powrotny debiut poetycki. Zdobył za niego uznanie zarówno czytelników jak i polskiej krytyki literackiej. Dostał nagrodę „Nowej Kultury”.

Kolejny tomik poetycki wydał już na przymusowej emigracji. Sześć lat po diagnozie w 1959 roku Watowie wyjechali z Polski na stypendium Fundacji Forda. Mieszkali we Włoszech, Francji i USA. W 1963 roku ostatecznie stracili polskie paszporty. Wat publikował w paryskiej "Kulturze", występował w słynnej Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Ważny był pobyt Watów w amerykańskim Berkeley w latach 1963-1965. Wat został wtedy stypendystą w Center for Slavic and East European Studies. Jego zdrowie uległo wtedy czasowej poprawie, ale pisał z trudnością.

W ramach terapii zaczął nagrywać rozmowy z pisarzem Czesławem Miłoszem. Uczestniczyła w nich także Ola Watowa. Ona zresztą była inicjatorką tego projektu. Podobno podczas jazdy w samochodzie: „Miłosz prowadził, ona siedziała z tyłu. Zarzuciła mu ręce na szyję mówiąc,



Aleksander Wat

że jeśli nie podejmie się nagrań, to Wat umrze". W efekcie powstała słynna autobiograficzna książka „Mój wiek” wydana w 1977 roku. Później Wat stworzył ostatni tom wierszy zatytułowany „Ciemne świcidło”, który dedykował swojej ukochanej żonie. Planował na podstawie swoich doświadczeń z komunizmem i stalinizmem napisanie dzieła swojego życia. Niestety nigdy ono nie powstało.

29 lipca 1967 roku Wat umęczony swoją chorobą świadomie przedawkował środki przeciwbólowe. Ola znalazła jego ciało z pożegnalnym listem, co w wstrząsający sposób opisała w swoim liście do Czesława Miłosza. Zdruzgotana odejściem męża i mimo swojej złej sytuacji finansowej opracowała jego dorobek literacki. W 1985 roku wydała tom jego wierszy, we wstępie pisała: „Przepisując całą spuściznę Aleksandra Wata, już od pierwszych chwil zdałam sobie sprawę, że w tych - przeważnie niedopracowanych i często niedokończonych - tekstach [...] żyje Jego myśl. Wyraża w nich swój stosunek do wielu zjawisk i zagadnień: literackich, politycznych, społecznych, religijnych, filozoficznych itd., więc powinnam tę myśl ratować. Że w istocie ta spuścizna - spoczywająca już od osiemnastu lat w archiwum - należy nie tylko do mnie, ale przede wszystkim do kultury polskiej."

W 1984 roku Ola Watowa wydała bardzo dobrze przyjęte swoje wspomnienia „Wszystko co najważniejsze”, które zostały już po jej śmierci sfilmowane przez reżysera Roberta Glińskiego. Film pod tym samym tytułem zdobył w 1992 roku Złote Lwy na 17. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

Ola Watowa zmarła 9 lutego 1991 roku w Paryżu. Jedyne dziecko Watów Andrzej Wat został historykiem sztuki. Pisał o Janie Lebensteinie i Auguście Zamoyskim. W czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim przyjaźnił się z pisarzem Jerzym Kosińskim. Andrzej Wat zmarł 10 grudnia 2021 roku w Paryżu.

ALEKSANDER WAT ROZMOWA NAD RZEKĄ

--- "Patrz
światło się ulatnia
jak zapach amfor."

--- "Nie trzeba poezji
poniechaj metafor."

--- "Noc nas zdybała
ugniata w łapach.
Dzień się ulotnił
"" jak zapach."

Głos ustał. Gwiazda zgasła.
Duszno parno.
--- "Bądź ufny! Wytęż oczy!"

ANNA ADAMUS-MATUSZYŃSKA

PIERWOWZÓR OCHOCKIEGO JULIAN OCHOROWICZ W POSZUKIWANIU TAJEMNICY CZŁOWIEKA



Julian Ochocki a Julian Ochorowicz

Julian Ochocki, jeden z najważniejszych bohaterów *Lalki* Bolesława Prusa, jest literackim portretem Juliana Ochorowicza. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) i Julian Ochorowicz poznali się w Gimnazjum Lubelskim w roku 1866, a potem kontynuowali swoje koleżeństwo podczas studiów w warszawskiej Szkole Głównej i przyjaźnili przez wiele kolejnych lat. Pisarz z bliska obserwował karierę i ekscentryczność naukowca.

Ochocki, podobnie jak jego pierwowzór, został przedstawiony w najpopularniejszej powieści Prusa jako „idealista nauki” – człowiek nieco oderwany od przyziemnej rzeczywistości, dla którego najważniejszy jest postęp wiedzy, a nie gromadzenie majątku czy flirty salonowe.

Najbardziej charakterystyczną cechą naukowego bohatera *Lalki* jest jego obsesja na punkcie zbudowania metalowej maszyny latającej, stanowiąc bezpośrednie nawiązanie do technicznych zainteresowań Ochorowicza, który pracował nad wieloma wynalazkami i wyprzedzał swoją epokę.

Prus uwiecznił swojego przyjaciela na kartach powieści, czyniąc go symbolem naukowego poświęcenia się dla ludzkości.

Od filozofii do empirii. Naukowa droga Ochorowicza do poznawania duszy

Julian Ochorowicz (1850–1917) był jedną z najbardziej wszechstronnych i barwnych postaci polskiego pozytywizmu. Był człowiekiem o niezwykle szerokich horyzontach: filozofem, psychologiem, pedagogiem, wynalazcą, poetą, publicystą, a także charyzmatycznym mówcą i propagatorem nauki. Jego życie to ciągła podróż – zarówno intelektualna, jak i geograficzna. Kształcił się w Warszawie, doktorat z filozofii i psychologii obronił na uniwersytecie w Lipsku. Karierę akademicką rozwijał we Lwowie, gdzie pracował jako docent na uniwersytecie, jednak jego nowatorskie i często kontrowersyjne podejście do nauki utrudniało mu zdobycie stałej katedry profesorskiej.

Znaczną część życia spędził w Paryżu, gdzie zyskał międzynarodową sławę nie tylko jako myśliciel, ale przede wszystkim jako genialny wynalazca. Pracował tam nad udoskonaleniem telefonu i mikrofonu, wyprzedzając w niektórych koncepcjach technicznych swoją epokę. Jest uważany za prekursora telewizji i radia.

W późniejszym okresie życia osiadł w Wiśle, gdzie zbudował kilka willi, w tym „Ochorowiczówkę”, która jest dzisiaj miejscem jego pamięci i Muzeum Magicznego Realizmu¹. W tej górskiej miejscowości poświęcił się badaniom z pogranicza nauki i tego, co współcześnie nazywamy okultyzmem, w tym eksperymentem z hipnozą i mediami (m.in. ze słynną Eusapią Palladino).

Jego książka napisana na konkurs na temat metod badań psychologicznych w 1869 roku pt.: *Jak należy badać duszę?* odegrała w życiu Ochorowicza rolę kluczową. Po owej publikacji powstały następne rozwijające odpowiedzi na pytania, które uznał za najważniejsze dla psychologii stulecia, w którym żył. Kolejno były to: *Miłość, zbrodnia, wiara i moralność. Kilka studiów z psychologii kryminalnej, O wolności woli, Duch i mózg*. Obok nich pisał liczne artykuły podejmujące te zagadnienia do wielu czasopism, między innymi „Opiekuna domowego”, „Tygodnika Wielkopolskiego”, później „Niwy” i „Przeglądu Tygodniowego”. Wygłaszał także odczyty publiczne, podczas których prezentował swe stanowisko wobec wielu problemów psychologicznych (np. *O pracy umysłowej w stosunku do fizycznej, O kształceniu własnego charakteru*), ciesząc się wielką popularnością i gromadząc czasem ponad tysięczną widownię.

Duch czasu i rygor nauki. Filozoficzny kontekst epoki

W drugiej połowie XIX wieku psychologia systematycznie buduje swoją niezależną pozycję w nauce. Psychologia asocjacyjna, fizjologiczna, czy psychopatologia, które rozwijały się w tym okresie, podkreślając swoją odrębność od filozofii, nie mogły zamknąć się na zasadnicze zagadnienia, które od wieków nurtowały filozofów, a teraz stały się przedmiotem

ich szczegółowych dociekań. Podejmując problem stosunku duszy i ciała czy problem statusu ontologicznego człowieka, jego świadomości (już nie duszy, jak pisano, gdy psychologia była tylko częścią filozofii) psychologia wchodziła w pole zainteresowań filozofów, niejednokrotnie posiłkując się ich ustaleniami. Podobnie sama filozofia tego okresu, będąc nauką opierającą swe twierdzenia na osiągnięciach dyscyplin szczegółowych, musiała uznać psychologię jako jedną z nich i liczyć się z jej uwagami. Tym, co zbliża do siebie filozofię i psychologię w drugiej połowie XIX wieku jest koncepcja człowieka. Obie te nauki wyznaczyły jej pewne ramy, które zostały nakreślone nie tylko przez te dwie dziedziny wiedzy, ale także przez rozwijające się nauki przyrodnicze, w tym fizykę. Co więcej, filozofia XIX stulecia, a potem psychologia jako punkt wyjścia rozważań dotyczących człowieka traktowały nauki przyrodnicze. Człowiek był istotą badań, jako podmiot poznający i jednocześnie przedmiot poznania.

Pozytywizm jako kierunek filozoficzny wypracował taką koncepcję człowieka, na jaką jego minimalizm poznawczy zezwalał. Jak pisał Bogusław Leśnodorski, pozytywizm zakładał „ (...) że istota świata jest rozumna, że wielka budowla, w której wznoszeniu uczestniczą (pozytywiści – przyp. autorka), oparta jest na działaniu praw dających się poznać, sprzyjających ludziom i ich celom, że działanie tych praw można z korzyścią dla ludzkich pragnień przyspieszyć”².

Julian Ochorowicz formułował swe poglądy w zarysowanej powyżej atmosferze filozoficznej. Odrzucenie metafizyki przez pozytywistów, ponieważ byt nie jest dostępnym zmysłom i doświadczeniu, zrodziło konieczność nowego ujęcia człowieka i jego natury. Sprowadzenie istoty człowieka do jego życia psychicznego było konsekwencją metodologicznego założenia pozytywizmu o wpływie świata przyrody na duszę i charakter człowieka. Bogata literatura fizjologów i przyrodników tego okresu pokazywała nowe źródła w rozumieniu życia wewnętrznego, wskazując jednocześnie inne, niż dotąd, drogi rozwoju psychologii. Koncepcja człowieka Ochorowicza wyrosła w oparciu o teoretyczne rozważania oraz empiryczne próby tamtych lat.

Analizując zarówno samą myśl Ochorowicza, jak i źródła go inspirujące, należy podkreślić, iż ukształtowały ją przede wszystkim te stanowiska, które podejmowały zagadnienia ducha i materii, bez względu na ostateczne rozstrzygnięcia. Polemizując i krytykując takie poglądy próbował zbudować własny obraz człowieka, sformułować wyjaśniające prawa, odkryć nowe problemy i postawić nowe pytania. Poznając koncepcje filozoficzne i psychologiczne podejmujące zagadnienie relacji życia wewnętrznego do ciała człowieka, przeżył Ochorowicz drogę od problematyki filozofii człowieka, poprzez zainteresowanie fizjologią i psychologią do zagadnień z zakresu okultyzmu. Wczesne zainteresowania filozoficzne charakterystyczne dla początku kariery badacza w miarę upływu lat ustąpiły miejsca nie tylko samej psychologii, ale także dziedzinom z pogranicza nauki i paranoi. Lata studenckie i następne spędzone na podróżach i dalszym kształceniu się w Lipsku są okresem, w którym zapoznając się z przedstawionymi powyżej stanowiskami, Ochorowicz konstruował filozoficzną podstawę do dalszych badań koncentrujących się przede wszystkim na życiu wewnętrznym jednostki.

Już jako kilkunastoletni, acz dojrzały młodzieniec, odkrył własne możliwości hipnotyczne³, co stało się bodźcem do zainteresowania się nie tylko problemem hipnozy, ale wszelkiej „tajemniczości”, tkwiącej w człowieku. Znajdując się jednak pod przemożnym naporem dzieł podkreślających konieczność doświadczalnego interpretowania zjawisk, nie uległ wpływom swej odkrytej zdolności.

Czytając prace Ochorowicza trzeba mieć świadomość jego niezwykłej osobowości, pamiętać należy o ambicji, która wypełniała całą jego naturę badacza. Dowodów na to znaleźć można w notatkach, przepełnionych nie tylko luźnymi uwagami i myślami, ale sprawozdaniami z przeczytanych lektur oraz planami wobec kolejnych; tematami do opracowania, a także zaległościami do odrobienia. Życie osobiste Ochorowicza było zgodne z jego rozumieniem potrzeby zachowania równowagi. Z jednej strony studiował, pogłębiał swoją wiedzę, dążył do uchwycenia w najszerszym zakresie interesujących go zagadnień. Z drugiej zaś – był uczonym, twórczym, co przejawiało się w propagowaniu przeczytanych przez siebie dzieł i w rozwijaniu własnych koncepcji.

W latach siedemdziesiątych XIX stulecia zbudowano obraz świata zgodny z wymogami pozytywistycznej teorii, której nauki empiryczne dostarczały argumentów. Natura przedstawiana była w swym ewolucyjnym rozwoju i jednocześnie podporządkowana określonym mechanizmom. Zasada jedności wszystkich obserwowanych zjawisk odnaleziona została przez filozofów w samej przyrodzie.

Istota człowieka, duszy, życia wewnętrznego

Zdaniem Ochorowicza życie psychiczne jest wynikiem naturalnej organizacji ośrodków nerwowych. W człowieku rozwój ten osiąga najwyższy stopień. Obserwacje fizjologiczne, psychologiczne, wśród których samowiedza jest najwartościowszą, są wskazówkami, gdzie znajduje się źródło życia wewnętrznego człowieka. „Materialne siedlisko władz duchowych w organizmie – pisał Ochorowicz – wskazuje się na podstawie związku i zależności jakie zachodzą pomiędzy widocznymi, zewnętrznymi zmianami ciała, a niewidoczną, wewnętrzną zmianą w procesach duchowych »w świadomości«⁴. Typowym przykładem jest ciśnienie krwi wpływające na sposób kojarzenia i myślenia.

Droga Ochorowicza do oznaczenia „siedliska duszy” prowadzi poprzez liczne doświadczenia fizjologów i psychologów. Odnajduje je w mózgu uważając, iż wszelkie sytuacje powodujące zahamowanie pracy tego organu wstrzymują także życie psychiczne. Głęboki sen czy paraliż mózgu wykluczają jednocześnie możliwość wystąpienia jakichkolwiek objawów myślenia, odczuwania czy podejmowania decyzji. Każda myśl, każde wyobrażenie, każde uczucie to jeden dynamiczny stan naszego mózgu. Tak, jak system nerwowy działa mechanicznie, automatycznie pobudzony jedynie przez odpowiedni bodziec, tak poprzez mózg przejawia się wyższa władza duchowa. Dla Ochorowicza pewny jest związek mózgu z życiem psychicznym, każda najmniejsza nawet fizyczna zmiana w mózgu powoduje zmianę w czynnościach duchowych. Istota jednak tej zależności pozostaje poza możliwościami poznawczymi człowieka. Wszelkie próby wykazania, na przykład zależności wielkości, wagi mózgu i inteligencji, nie

przyniosły pozytywnych rezultatów. Jakkolwiek – podkreśla Ochorowicz – jest to jedna z dróg, po której trzeba iść.

Naturalizm, monizm, mechanycyzm w interpretacji wszechświata charakterystyczny dla myśli pozytywistycznej decydowały o określonej koncepcji człowieka w pracach Ochorowicza. Zasada jedności determinuje i podporządkowuje jednostkę ludzką tym samym prawom, stawia ją w tym samym szeregu, co pozostałe elementy i zjawiska występujące w przyrodzie. Ale natura się rozwija wraz z siłą w niej występującą. To powoduje, iż człowiek będąc tylko ogniwem przyrody, znajduje jednocześnie swe miejsce w określonym etapie ewolucji. Przemiany siły dokonujące się w człowieku są dwojakiego rodzaju: mechaniczne oraz duchowe. Otoczenie działa jak bodziec na organizm ludzki i poprzez system nerwowy powoduje powstanie wyobrażeń, które stanowią podstawę życia psychicznego. Stan „przyrody jest dynamiczny, stan »ducha« będącego jedynie formą siły też charakteryzuje dynamika i rozwój.

Stawiając człowieka obok pozostałych elementów świata przyrody, chciał Ochorowicz podkreślić jego odrębność i wyższość. Świadomość stała się w jego koncepcji zagadnieniem konstytuującym istotę człowieka jako cząstki natury, ale jednocześnie go z niej wyróżniającej. Naturalizm w rozumieniu człowieka nie jest już tak jasny i czytelny. W tym właśnie obszarze swych rozważań, wszedł Ochorowicz na drogę prowadzącą nieco dalej, niż same nauki przyrodnicze na to zezwalają.

Poznanie jest procesem wewnętrznym, umysłowym, dlatego też jest procesem „duszy”, „ducha” człowieka. „Každy doświadcza – pisał – sam na sobie tego faktu, że jego umysł »dusza« w szczegółach swoich jest ciągle w ruchu: na jawie odbierając wrażenia, myśląc i pobudzając mięśnie, we śnie zaś snując marzenia itp.”⁶. Poznanie, czy raczej przede wszystkim myślenie, jest dowodem, że dusza ma swój byt, byt w człowieku, bo jedynym pewnym dowodem jest fakt, że poznaje człowiek. Stanowisko o potrzebie badania życia wewnętrznego sformułował w oparciu o niepodważalność umiejętności każdej osoby własnej, indywidualnej refleksji nad treściami życia umysłowego. Umiejętność obserwacji wewnętrznej polega na przeciwstawieniu „ja” „wiedzącego” – „ja” „widzianemu”, czyli na odbieraniu siebie samego jako tego, kto wie i jako wiedzy o sobie samym. Podmiot poznający jest istotą zmysłowo-umysłową, która poznaje świat nie tylko za pośrednictwem zmysłów, ale także za pośrednictwem „zmysłu wewnętrznego”, czyli introspekcji. Człowiek doświadcza ruchu swego umysłu, bo wie, że odbiera wrażenia i myśli, wie, że się zastanawia, przypomina sobie, wydaje sądy. Ta wiedza staje się podstawą samowiedzy oraz świadomości jednostki.

Poznanie było dla Ochorowicza faktem bezspornym, dowiedzonym poprzez możliwość obserwacji wewnętrznej, czyli uświadamiania samych czynników poznawczych. Powyższa pewność spowodowała postawienie dwóch zasadniczych pytań będących treścią pracy *Jak należy badać duszę?* Ochorowicz postawił już problem do rozwiązania w samym tytule. Zainteresowanie jego skupiało się na zagadnieniu poznawania duszy, czyli określenia dróg prowadzących do jej zrozumienia. Zadanie było tym trudniejsze, że wymagało najpierw poznania samego procesu

poznawania przedmiotów, a w tym przede wszystkim duszy jako jednego z wielu, ale w zamierzeniu Ochorowicza najistotniejszego. W ten sposób postawił sobie do rozwiązania dwa zasadnicze tematy teorii poznania: jak poznać przedmiot (w jego przypadku przedmiotem tym było samo życie wewnętrzne) oraz jak poznawać poznawanie przedmiotu (czyli jak poznać poznawanie duszy)⁶.

Człowiek i jego siła

Źródłem wiedzy jednostki o sobie samej, jest świadomość, czy raczej możliwość samoświadomości, samowiedzy. Człowiek jest istotą potrafiącą odróżnić swoje istnienie od innych przedmiotów, wśród których żyje. Fakt ten stanowi podstawę życia duchowego. Dusza ludzka bez swej świadomości jest tylko jednym z elementów przyrody, niczym się nie wyróżniającym. „Nasza instalacja w świecie zjawisk, nasze wystąpienie wśród sił przyrody jako samodzielnej siły duchowej, datuje się dopiero od chwili owego pierwszego ataku naszej samowiedzy. Od tej chwili jesteśmy obywatelami świata”⁷.

Człowiek jest elementem przyrody, jest przede wszystkim zwierzęciem. Jak wszystkie siły w przyrodzie, tak i jego dusza jest siłą „bezwiedną”, nieświadomą. Pod wpływem bodźców jednostka zaczyna odróżniać dwa światy: wewnętrzny, czyli rzeczywistość podmiotową oraz zewnętrzny – rzeczywistość poza podmiotową. To przeciwstawianie dokonuje się w człowieku, w jego „ja”, które jest „punktem centralnym” pomiędzy podmiotowością i przedmiotowością zjawisk. Koncepcja człowieka Ochorowicza koncentruje się wokół zagadnienia samoświadomości jednostki, poczucia własnego „ja”. Tylko człowiek dzięki umiejętności doświadczenia własnych uczuć, pragnień, bólu, itp. oraz umiejętności odbierania wrażeń zewnętrznych staje się elementem łączącym w przyrodzie „ducha” i „materię”. Tylko w człowieku „dusza” z siły „bezwiednej” staje się świadomą, świadomą istnienia „ja” od „nie ja”.

Pojęcie „ja” dotyczy zarówno świadomości odrębności ciała jednostki, jak i odrębności jej życia wewnętrznego. W swoich przeżyciach każdy niejednokrotnie doznaje emocjonalnego stanu walki dwóch „ja”, kiedy próbuje podjąć decyzję wyważając pomiędzy dwoma wartościami. Sytuacja taka nie dowodzi istnienia jakiejś dwoistości, jest chwilową, ma miejsce, gdy jednostka identyfikuje się z dwoma walczącymi wartościami.

Poczucie „ja” jest zmienne, gdyż ciągle inne wrażenia napływające z zewnątrz go atakują jednocześnie. Człowiek w ciągu swego życia ulega procesowi przemiany od dziecka do starca, przeżywa różnorodne stany emocjonalne, bywa głodny i syty, zły i zadowolony, zmęczony i wypoczęty, wszystkie zależą od oddziaływujących bodźców spoza organizmu, jak i z samego organizmu człowieka. W tej zmienności istnieje jeden stały element – permanentność wrażeń. Zdaniem Ochorowicza „pojęcie i poczucie »ja« jest trwałym, ponieważ wrażenia, które się na nie składają są bezustanne”⁸.

Potęga człowieka polega na jedynej w swoim rodzaju zdolności odróżnienia nie tylko samego organizmu spośród innych, ale także oddzielenia duszy, własnego życia psychicznego od własnego organizmu. Jedynie w nim skupiają się dwa

bieguny zjawisk: materialne i duchowe. Pośredniczy człowiek w oddziaływaniu materii na ducha i ducha na materię. Świat przyrody poprzez bodźce daje szansę wrażeń, jednostka swymi czynami, a więc pośrednio poprzez własne doznania psychiczne wpływa na kształt materii. Czynnikiem spajającym dwie formy ruchu: od materii i od ducha do materii jest „ja”, świadomość jednostki samej siebie, swoich wrażeń i czynów.

Podstawą do pojawienia się poczucia „ja” jest mózg oraz system nerwowy. Każda jednostka odbiera siłę przyrody poprzez „nerwy czucia”, a zwraca przetworzoną siłę poprzez „nerwy w ruchu”. Komunikacja pomiędzy tymi dwiema drogami dokonuje się za pośrednictwem mózgu. Człowiek bez niego nie osiągnąłby samoświadomości, nie potrafiłby uczestniczyć w procesie przemiany siły. To właśnie mózg wyznacza szczególne miejsce człowieka w całym świecie zjawisk materialnych. Obok wrażeń świadomych występują także nieświadome, które mają miejsce wówczas, gdy mózg jest w stanie „uspiania”, czyli mniejsza ilość krwi go zasila.

Życie duchowe człowieka tworzą świadome i nieświadome („bezwiedne”) wrażenia. Jest to pewna zebrana w mózgu siła, która przekazana została ze świata zewnętrznego duszy. „Tym sposobem – podkreśla Ochorowicz – mózg staje się zbiornikiem i kondensatorem niezmiernej potęgi utajonej, potęgi która uczuciem obejmuje ludzkość, myślą odkrywa nowe światy, czynem panuje nad przyrodą”⁹. Człowiek wraz z samoświadomością i mózgiem w oczach Ochorowicza wyniesiony zostaje na pozycję, która daje mu szansę poznania otaczającej go natury, a także zapanowania nad nią. Pozycja ta jest jednak obwarowana wieloma okolicznościami.

Każde uświadomione wrażenia stają się wyobrażeniami, dzielącymi się na właściwe – obojętne dla doznającego podmiotu oraz nieobojętne, wywołujące w podmiocie określone uczucia. Te ostatnie mają możliwość przejścia ze stanu biernego, stanu czuwania, do stanu czynnego, czyli pragnienia. W zależności od natężenia pragnienie może przemienić się w popęd, który jest uczuciem dynamicznym.

Kolejnym etapem rozwoju psychicznego jest wyzwolenie nowej władzy duszy – woli. Pojawienie się postanowienia aktu woli wprowadza do ostatniego elementu łańcucha przeobrażeń – czynu, dokonującego się poprzez nerwy ruchu.

Rozwój władz „duszy” człowieka jest formą przemiany siły natury, przekazanej w postaci wrażeń, które stają się wyobrażeniami mogącymi wywołać uczucia, potem pragnienie, następnie popęd, akt woli by w końcu oddać przetworzoną siłę przyrodzie w postaci czynu. Łańcuch ten pokazuje jak człowiek uzależniony jest od świata, w którym żyje, odbiera tylko siłę, którą natura mu daje, opór który sam stawia jest zbyt słaby, by jednostka mogła być istotą samodzielną. Podporządkowanie prawom świata powoduje, iż człowiek musi oddać całą siłę jaką wcześniej uzyskał. Potęga jego świadomości jest w myśli Ochorowicza ograniczona poprzez całkowite jej uzależnienie od prostych bodźców wywodzących się spoza jego „duszy”.

Świadomość odgrywająca pierwszoplanową rolę w życiu duchowym człowieka ulega wielu złudzeniom, których źródła tkwią tak w niej samej jak i poza nią. Przypominanie, będąc czynnością przywoływania przeszłych wrażeń zaciera ostrość obrazu niejednokrotnie go idealizując. Duże niebezpieczeństwo

tkwi w nieświadomości przyczyn wywołujących określone wrażenia. Dotyczy to wszelkich dziedzin twórczości, które są efektem złudzenia wynikającego z braku możliwości objęcia wszystkich czynników oddziałujących na jednostkę. Każdy akt tworzenia czegoś oryginalnego jest efektem kombinacji różnych bodźców oddziałujących na duszę człowieka. Pewną formą złudzenia jest zdaniem Ochorowicza sen, który bez względu na jego treść zawsze będzie odzwierciedleniem przeżytych w ciągu dnia wrażeń.

Życie psychiczne człowieka, o którym sam człowiek najwięcej powiedzieć potrafi dzięki wewnętrznej obserwacji, objawia się także na zewnątrz poprzez: fizjonomię, zachowania oraz wszelkie jego dzieła. Badania tych form stanowią winny podstawę dla psychologii osobowości i psychologii ogólnej. Obserwacja objawów „duszy” pokazuje jedną z jej ważniejszych właściwości, jej stałą aktywność. Różnorodność przedmiotów tworzonych przez człowieka, rozmaite etapy ludzkiej działalności, wielość form i stosunków, które są jego udziałem stanowią zdaniem Ochorowicza dowód rozwoju samej duszy¹⁰. Dynamika życia wewnętrznego człowieka przejawia się w dwóch formach: (1) przekształcenia siły od wrażenia do czynu oraz (2) ciągłej postępowej przemianie tej siły.

Tak jak wyobrażenia mogą przybierać postać obojętnych lub nieobojętnych, jak uczucia pozostawiać w stanie bierności lub aktywności, tak popędy mogą mieć charakter przyrodzonych lub nabytych. Do pierwszych zaliczyć trzeba ludzkie skłonności i zdolności organiczne oraz dziedziczne, drugie współtworzą: przypominanie, przyzwyczajanie i chwilowe popędy. Każdy z nich wpływa na podjęcie odpowiedniego ruchu jednostki. To z kolei dzieli Ochorowicz na ruchy bezwiedne, bierne wywołane zewnętrzną siłą mechaniczną oraz czynne wywołane pobudką zmysłową lub umysłową. Drugą grupę stanowią ruchy świadome bierne wywołane zewnętrzną siłą mechaniczną oraz czynne, mimowolne lub dowolne, każdy o charakterze zmysłowym lub umysłowym. Powyższy podział stanowi podstawowy schemat klasyfikujący wszelką ludzką działalność. Wynika z niego, iż każdy czyn człowieka poprzedzony musi być określoną wywieraną na niego siłą, czy to czysto mechaniczną, czy wyrażoną w postaci pobudki (popędu). Ruchy świadome wymagają jeszcze współdziałania obok czynników zewnętrznych także odpowiednich warunków wewnętrznych. Bezpośrednią przyczyną każdego czynu człowieka, który ma charakter dowolny (w znaczeniu Ochorowicza – świadomy) jest nasza wola¹¹.

Warunkiem każdego aktu woli, czyli postanowienia, jest wyobrażenie przedmiotu pożądanego. Jest to warunek konieczny acz niewystarczający. Obok samego wyobrażenia człowiek musi doświadczyć uczucia wobec przedmiotu, które może mieć charakter przyjemny lub przykry, by w końcu dokonało się postanowienie czynu uczucie musi być w stanie czynnym, czyli być popędem o odpowiednio mocnej sile. Ten stan to odczucie pewnego braku, to stan nienasycenia, który prowadzi do czynu, do zaspokojenia naturalnej ludzkiej skłonności. Całe życie człowieka składa się z takich momentów niezrealizowania i zrealizowania. „W naturze psychicznej zarówno jak w naturze fizycznej daje się spostrzegać owo bezustanne zrywanie równowagi i bezustanne dążenie do równowagi, nigdy nie udającej się osiągnąć w zupełności.

Wszędzie ruch, wszędzie kołysanie się, wszędzie dążenie do spoczynku nigdy niezaspokojone. Fala wahań – to cały świat zjawisk¹².

Analizując problem realizacji ludzkich postanowień podejmuje Ochorowicz zagadnienie celu ludzkich dążeń. Każdy człowiek doświadczając doznaje przyjemności i przykrości. Pojawienie się popędu związane jest z odczuwaniem potrzeby przeżycia stanu już znanego z przeszłości. Celem wszelkich postanowień jest dokonanie zmiany w aktualnym stanie duszy lub ciała na stan przyjemniejszy. Z psychologicznego punktu widzenia, zdaniem autora *O wolności woli*, każdy akt woli jest zawsze ukierunkowany, zgodnie ze znanymi wcześniej przeżyciami, na zaspokojenie potrzeb. Każdy człowiek zawsze i wszędzie dąży do osiągnięcia szczęścia. Koniecznością życiową, podstawowym prawem psychologicznym jest osiąganie stanów przyjemnych. „Żadna istota nie może się wyłamać spod tego prawa, żaden czyn nie może go zniweczyć”¹³.

Wola jest jednym z elementów życia psychicznego, jej pojawienie się związane jest bezpośrednio z wcześniejszym wystąpieniem popędu. Ona sama nie jest jakąś siłą czy władzą w człowieku. Zależy całkowicie od doświadczenia, jest jedynie kolejnym ogniwem w przemianie ruchu dokonującej się „duszy”. Ochorowicz podkreśla, iż wszelkie próby nadawania woli samoistnego bytu odrywają ją od człowieka, jego duszy i zatracają jej istotę. „Nie władza woli jest siłą popędów, lecz popędy i postanowienia są siłą woli – a władza woli w oderwaniu od popędów i postanowień jest tylko możliwością pożądania i postanowienia”¹⁴. Jednostka nie pożądając jednocześnie nie dokonuje aktu woli, ale ma możliwość jego podjęcia. W umyśle człowieka spotykają się stale napływające pojedyncze wrażenia, w wyniku których powstają odpowiednie pragnienia. Ich ilość powoduje zacieranie się pewnych różnic pomiędzy nimi oraz powstanie ogólnego „pojęcia woli”, które nie jest żadną władzą czy siłą, jedynie uogólnioną z wyobrażeń treścią w umyśle. Wola jest więc ściśle związana z życiem psychicznym człowieka, z jego jednostkowymi popędami, a nie substancją poza nim istniejącą.

Koncepcja człowieka w młodzieńczych pracach Juliana Ochorowicza nader ściśle związana jest z prezentowanym przez niego stanowiskiem naturalistycznym i ewolucjonistycznym, jakkolwiek widać w niej wyraźne już piętno oddziaływania psychologii. Związki z naturą, czy rozwój jednostki dokonuje się poprzez jej życie psychiczne. Wszelkie prawa, którym podporządkowany jest człowiek są prawami psychologicznymi, jak na przykład prawo o powszechności ruchu, rozpatruje w głębi ludzkiego życia wewnętrznego. Zrozumienie ludzkiej natury może nastąpić jedynie poprzez odkrycie wszystkich praw psychiki człowieka. Będzie to także środkiem do rozwiązania problemu „materii” i „ducha”. Pogląd ten rozbudowany został w późniejszych jego dziełach, a usystematyzowany w *Pierwszych zasadach psychologii* opublikowanych w 1916 roku. W zamierzeniu autora miał to być podręcznik zarówno dla studentów i uczniów szkół średnich, jak i dla samouków.

Droga do okultyzmu

Konsekwentnie podkreślenie stanowiska pozytywisty wraz z jego podstawą minimalizmem poznawczym i scjentyzmem umożliwiało, zdaniem samego badacza, podejmowanie prób analizy nowych, to znaczy nieznanych dotychczas,

form przejawiania się życia wewnętrznego człowieka. Jego zdaniem hipnoza, magnetyzm, mediumizm to tylko fakty życia duchowego i jako takie mogą stanowić przedmiot badań psychologii pozytywnej. Dlatego podjął wysiłek badania empirycznego tych zjawisk. Jego celem było poznanie świadomości, myślenia, duszy człowieka, a nie udowodnienie „życia po życiu”.

W działalności badawczej po 1876 roku nie rezygnuje Ochorowicz z jednej z naczelných wskazówek, mówiącej o człowieku rzeczywistym, konkretnym, posiadającym swoje własne, odrębne, jemu tylko właściwe życie psychiczne. Nadal reprezentuje pogląd indywidualistyczny, człowiek to niepowtarzalna jednostka, mająca świadomość swej odrębności od drugiego człowieka oraz świadomość odrębności gatunku. Interesuje go życie psychiczne, wnętrze, bo to ono konstruuje samego człowieka, a nie relacje z drugim człowiekiem, czy ze społeczeństwem. Przywołane w latach młodzieńczych zawołanie starożytnych „Poznaj samego siebie” jest nadal aktualne, rozbudowane o nową sferę zjawisk.

Rozpatrywanie różnorodnych objawów psychicznych doprowadziło Ochorowicza do sformułowania definicji zjawisk psychicznych rozumianych jako „przejawy wewnętrzne”, właściwe istotom organicznym, które albo są świadomymi, albo też nie będą świadomymi, posiadają jednak wszelkie inne cechy, właściwe zjawiskom świadomym¹⁶. Nie wszystkie „wewnętrzne”, to znaczy zachodzące w naszym organizmie zjawiska, mają charakter psychicznych, gdyż przejawy fizjologiczne oddziałują na jednostkę jak bodźce zewnętrzne. Głębszą cechą zjawisk psychicznych jest możliwość ich uświadamiania. Pewne czynności wykonujemy całkowicie je kontrolując, inne mechanicznie, „bezwiednie”. Świadomość ma swoje natężenie, od stanu pełnego do całkowitego braku. Na życie psychiczne każdego człowieka składają się: nieświadomość działania człowieka, czyli bezwiedność – stan pozbawiony jakiegokolwiek elementu świadomego, podświadomość, rozumiana jako forma przechowywania wrażeń odsuniętych ze świadomości oraz całkowita świadomość.

Dopełnieniem psychologicznego obrazu człowieka są zjawiska mediumiczne. Problem ten wykracza poza ramy ściśle naukowe. Poświęcił mu jednak Ochorowicz znaczną część swojego życia dlatego kilka uwag wydaje się koniecznych, tym bardziej że zagadnienie to jest podstawowym przy omawianiu wszelkich zarzutów jemu stawianych. Szereg doświadczeń, które obserwował i przeprowadził upewniły go o słuszności zainteresowania tymi zagadnieniami. Pisał, uzasadniając swój pogląd: „Niemożliwym jest tylko by 2x2=5, niemożliwym jest sprzeciwianie się tak zwanym prawom przyrody. Ale ponieważ wszystkich praw przyrody wzajemnie się ograniczających nie znamy, bezpieczniej jest najpierw zbadać fakty, a potem dopiero zastanowić się nad ich możliwością”¹⁷.

Zdaniem Ochorowicza zjawiska mediumiczne istnieją, stanowią nowy dział niezbadanych zjawisk psychofizycznych człowieka. Mają charakter anormalny, ale nie patologiczny, niezwykły, ale nie nadnaturalny. Zależą jak wszystkie inne od pewnych warunków i ulegają tym samym prawom. Zmieniają

nasze pojęcie o istocie człowieka, o zakresie wpływów psychicznych, o istocie ciał martwych. Są wyższym stopniem i nową kategorią zjawisk hipnotycznych, są potwierdzeniem zachowania energii i wzajemnej przemiany sił¹⁸.

Opierając się na doświadczeniach mediumicznych wprowadził pojęcie „ciała eterycznego” w ciele materialnym, stwierdzając możliwość ich oddzielenia jako dwóch odrębnych bytów. „Ciało eteryczne” to forma, ogólny kształt organizmu, determinujący jego rozwój, stanowiący element, który uczestniczy w procesie dziedziczenia. Problem, który gdzie indziej wydawał się Ochorowiczowi nierozstrzygalny z powodu braku empirycznych dowodów rozwiązał w oparciu o teorię mediumizmu.

Innym kontrowersyjnym poglądem Ochorowicza jest koncepcja „sugestii myślowej”, czyli możliwość przenoszenia, transmisji stanów chorobowych, bolesnych czy przyjemnych i innych ze świadomości jednej osoby do podświadomości drugiej. Liczne przykłady doświadczeń w pracach Ochorowicza udokumentować miały słuszność podjęcia takiego problemu badawczego. Świadomy niebezpieczeństwa dróg po których się poruszał pisał między innymi: „Z góry winienem zaznaczyć, że we wszystkim co mówię nie należy szukać żadnej doktryny, żadnej okultystycznej czy innej tendencji, mówię wyłącznie ze stanowiska przyrodnika i psychologa, którego wszystko co odsłania jakąkolwiek tajemnicę natury lub duszy ludzkiej w wysokim stopniu interesuje, który radby objaśnić, nie zaś krzewić zamięłowanie do cudowności, łączyć i rozumowo zestawiać fakta nie napadając na niczyje wierzenia lub narzucając mu własne. Stanowisko takie może się wydawać niezdecydowane zarówno spirytystom jak i materialistom, ale dla uznających metodę pozytywną jest w chwili obecnej jedynie usprawiedliwionym”¹⁹.

Elementem dopełniającym obraz psychicznych możliwości człowieka są zjawiska ideoplastii, czyli urzeczywistnienie wyobrażeń oraz skojarzenia ideo-organiczne. W wykładach prowadzonych w Towarzystwie Biologicznym w Paryżu w 1884 roku wyjaśnił Ochorowicz co rozumie pod tak nazwanymi pojęciami, a definicje te stały się dla niego podstawą w prowadzonych na tym polu badaniach. Jego zdaniem, istota tych zjawisk tkwi w życiu duchowym jednostki, aczkolwiek jako nie dające się zaobserwować w potocznym, codziennym doświadczeniu, pozostawały aż do czasu rozwoju hipnotyzmu, nieznanymi. Skojarzenia ideoorganiczne są rozbudowaniem teorii asocjacji o nowe formy kojarzeń stanów psychicznych z materialnymi, czyli poza duchowymi zjawiskami. Wyróżnienie ich stało się możliwe dzięki prawu odwrotności wcześniej sformułowanemu przez Ochorowicz. Jego zdaniem wiele objawów fizjologicznych i fizycznych jest możliwych dzięki skojarzeniu ich wyobrażeniami tych stanów, które mogą mieć miejsce bez konieczności wystąpienia bodźca wywołującego dany stan organiczny. Odmienność tego zjawiska polega nie tyle na fakcie asocjacji, ile na możliwości odwrócenia kierunku działania. To nie stan organiczny wywołuje odpowiednie mu wyobrażenia, a wyobrażenie na przykład bólu powoduje faktyczny fizyczny ból.

Klamrą spajającą całość poglądów na życie psychiczne człowieka jest pojęcie „jaźni syntetycznej” używane zamiennie z pojęciem „osobowości syntetycznej”. Wprowadzone na ostatnich stronach podręcznika psychologii jest końcowym

etapem w poszukiwaniu czynnika jednoczącego, scalającego „duszę”. „Dochodzimy do przekonania – podsumowuje Ochorowicz – że w tych różnych stanach, nawet takich, gdzie występuje zupełna zmiana osobowości, gdzie występują jakby całkiem inne osoby, albo gdy brak przejawów jakiegokolwiek jaźni, istnieje jednak coś co je łączy, co za nie wszystkie i ponad niemi czuwa i myśli, co im do pewnego stopnia rozdaje i wyznacza role – i nazwałem ową nieznana nam bezpośrednio jaźń: „osobowością syntetyczną”²⁰. Każdy człowiek nie zdając sobie z tego sprawy kieruje się nią w swoim życiu osobniczym i zbiorowym. Jej rola wykracza poza sferę psychologiczną i obejmuje swym oddziaływaniem całość życia organicznego. „Jej dziełem jest to, co dawniej nazywano siłą żywotną, i to, co nazywano siłą leczniczą, i to, co nazywamy popędem samozachowawczym, albo przeciwnie popędem do zachowania rodzaju”²¹. Pogląd powyższy wyrosły na bazie wieloletnich badań, doświadczeń i eksperymentów, wyolbrzymił rolę psychiki, sprowadził jego autora na stanowisko panpsychizmu. Powoduje, iż tak obraz człowieka, jak i obraz rzeczywistości powstały u progu działalności naukowej Ochorowicza, uległy zasadniczej przemianie. Jednostka będąc elementem przyrody podporządkowana zostaje wraz z nią jednoczącej sile, której status ontologiczny nie został przez Ochorowicza określony.

Dwa wyróżnione wcześniej etapy w rozwoju myśli psychologicznej Juliana Ochorowicza łączy podstawowy problem filozoficzny, którego rozwiązania poszukiwał. „W stopniowym rozwoju organizmów – pisał w „Dzienniku” – nagromadzają się coraz większe różnice, które w człowieku dochodzą wreszcie do najwyższego skoncentrowania przeciwstawności owych dwu najbardziej różnych pierwiastków, tak zwanej materii i tak zwanego ducha, przedmiotu i podmiotu, zewnątrz i wewnątrz wrażeń, owego nie ja i ja w akcie świadomości”²². Uznanie dwóch bytów ducha i materii, rozróżnienie zjawisk fizycznych i zjawisk psychicznych, w konsekwencji wprowadziło Ochorowicza na pole nader skomplikowanego zagadnienia. Nie akceptując kartezjańskiego dualizmu próbował odnaleźć drogę do pogodzenia rozdarcia pomiędzy tymi dwoma światami. Żaden ze znanych w filozofii sposobów przewyciężenia tego stanowiska ani materializm, ani idealizm (a szczególnie spirytyzm) nie znalazły uznania w jego oczach. Podstawową barierą, którą sam Ochorowicz sobie postawił, był pozytywizm. Droga, po której stapałby przełamać trudności była próbą konsekwentnego trzymania się założeń empiryzmu i scjentyzmu. Psychologia pozytywna miała pokazać jak nauka zbliżyć się może do poznania „owego nieznanego”. Człowiek będący zarówno podmiotem poznającym i przedmiotem poznawanym w psychologii Ochorowicza stał się środkiem do osiągnięcia celu jakim miało być zrozumienie relacji pomiędzy duchem i materią.

Psychologiczne ujęcie koncepcji człowieka w myśli Juliana Ochorowicza jest nieodłącznie związane z podstawowym pytaniem filozoficznym o duszę i ciało. Rozdarcie między zjawiskami fizycznymi i psychicznymi staje się główną trudnością, zwielokrotnioną przez nałożone „kajdany scjentyzmu”. Człowieka współtworzy jego wnętrze, które uzależnione zostało od otoczenia, ale także jest siłą stanowiącą ogniwo spajające łańcuch przedmiot – podmiot – przedmiot. To, co charakteryzuje tę koncepcję to psychizm, czy nawet panpsychizm, rozumiany jako środek, to odkrycia

mechanizmów łączących człowieka ze światem zewnętrznym. Każda jednostka podlega tym samym prawom natury, ale także każda ulega różnorodnym wpływom w zależności od okoliczności, w których się znajduje. Dlatego nie istnieje człowiek w ogóle, w rozwiązywaniu jego problemów dominuje indywidualizm. Życie psychiczne człowieka jest pewną strukturą, w której wyróżnić można trzy podstawowe elementy: świadomość, podświadomość i nieświadomość, współtworzące jedność duszy, a tym samym konkretnego człowieka.

Julian Ochorowicz zgodnie z przyjętymi pozytywistycznymi założeniami nie rozstrzygnął pytania o stosunek materii i ducha w psychologii, w swej psychologicznej koncepcji człowieka. Przekonany o istnieniu wewnętrznej siły wiążącej fizyczne i duchowe zjawiska, odkrywał nowe elementy życia wewnętrznego stopniowo odchodząc od naturalistycznego do coraz bardziej idealistycznego stanowiska w koncepcji człowieka i świata.

Badacz czy szarlatan?

Okultyzm, jak większość terminów stosowanych w naukach o człowieku, nie ma jednej, pewnej definicji. W szerokim znaczeniu to sposób myślenia wywodzący się z niektórych religii²³, a w węższym to próba rozważań zagadnień, które wymykają się naukowej obserwacji. Ochorowicz żył w czasach, gdy rodziła się naukowa psychologia, a jednocześnie wzrastało zainteresowanie zjawiskami spirytystycznymi, paranormalnymi, czy hipnozą. Polski psycholog, którego sposób obserwacji i interpretacji zjawisk został ukształtowany przez pozytywizm, a więc przez nauki przyrodnicze i rozwijającą się wówczas charakterystyczną dla tych nauk metodologię, nie mógł przejść obojętnie wobec zainteresowań okultystycznych w Niemczech czy Austrii, a także – choć w inny sposób realizowanych – francuskich badaniach. Jednym z tematów, którym żyło europejskie społeczeństwo przełomu XIX i XX wieku, był okultyzm.

W XIX i początkach XX wieku nie tylko Ochorowicz zachwyił się zjawiskami wymykającymi się naukowej analizie. Młody Carl Gustav Jung także studiował literaturę okultystyczną i przygotował odczyt „Granice nauk ścisłych”, w którym to, podobnie jak Ochorowicz, krytykuje ograniczoność nauk przyrodniczych i ich brak zainteresowania zjawiskami metafizycznymi. Fascynacji hipnozą oddało się wielu lekarzy, co w rezultacie spowodowało rozwój psychologii i psychoterapii, w seansach spirytystycznych uczestniczyło wiele uznanych naukowych autorytetów (w tym np. Maria Skłodowska-Curie). Potrzeba zrozumienia zasad myślenia człowieka, siła oddziaływania nauk przyrodniczych, tak znakomicie rozwijających się na przełomie wieków, badania i eksperymenty fizjologów, sprawiły, że chwytało się każdej metody, która choć w minimalny sposób przybliżyło zrozumienie niezbadanych dotąd psychicznych zjawisk. Myślenie Ochorowicza, które kazało mu podążać śladami okultystów, spirytystów i magów, było proste: człowiek myśli, poznaje, czuje, wie. Te zjawiska są, więc dlaczego nie próbować ich poznać.

Czytelnik, który zna dorobek Zygmunta Freuda, prace Daneli Kahnemana – laureata nagrody Nobla czy psychologię pozytywną Martina E. P. Seligmana, dostrzeże, że Julian

Ochorowicz w swoich badaniach wyprzedzał epokę, w której żył, ale która jednocześnie związała go swoimi ideami.

Julian Ochorowicz nie był okultystą, był badaczem, który wykorzystywał dostępne sobie środki i narzędzia, aby zbliżyć się do rzetelnej, wiarygodnej wiedzy o człowieku. Wierzył w człowieka i wierzył w istnienie siły, która łączy, a nie dzieli. Oby tej wiary nie brakło nam dzisiaj.

Przypisy:

- 1 <https://ochorowiczowka.pl/>
- 2 B. Leśnodorski, *Rozmowy z przeszłością. Dziesięć wieków Polski*. Wiedza Powszechna, Warszawa 1970, s. 361.
- 3 J. Ochorowicz, *Z dziennika psychologa*, op. cit., s. 12.
- 4 J. Ochorowicz, *Duch i mózg. Studium psychofizjologiczne*, „Niwa”, 1872 t. I, s. 6.
- 5 Ibidem, s. 10-11.
- 6 por. A. B. Stępień, *Elementy filozofii*, Lublin 1986, s. 61 i n.
- 7 Idem, *O wolności woli*, op. cit., s. 5.
- 8 Ibidem, s. 8.
- 9 Ibidem, s. 11.
- 10 zob. J. Ochorowicz, *Jak należy badać duszę?*, op. cit., s. 54 i 67.
- 11 zob. Idem, *O wolności woli*, s. 22 i następane.
- 12 Ibidem, s. 39.
- 13 Ibidem, s. 43.
- 14 Ibidem, s. 53.
- 15 J. Ochorowicz, *Miłość, zbrodnia, wiara i moralność. Kilka studiów z psychologii kryminalnej*, Warszawa 1870, s. 5 i n.
- 16 J. Ochorowicz, *Pierwsze zasady psychologii*, op. cit., s. 15.
- 17 J. Ochorowicz, *Zjawiska mediumiczne*, t. I, Warszawa 1913, s. 59.
- 18 Ibidem, s. 174.
- 19 Ibidem, t. IV, s. 69.
- 20 Ibidem, s. 337.
- 21 J. Ochorowicz, *Z dziennika psychologa*, op. cit., s. 336.
- 22 J. Ochorowicz, *Z dziennika psychologa*, op. cit., s. 197.
- 23 N. Goodrick-Clarke, *Okultystyczne źródła nazizmu*. Wydawnictwo ALETHEIA, Warszawa 2010, s. 31 i dalsze.



EDWARD KURLETO

WIELOWYMIAROWY EROS EKSPLORACJA SEKSU W LITERATURZE

Wprowadzenie – wszechobecność i złożoność: seks w fikcji

Seks jest dziś wszechobecny – w telewizji, na ekranach komputerów i w telefonach. Jednak dopiero fenomen „Pięćdziesięciu twarzy Greya”, który stał się najszybciej sprzedającą się książką w miękkiej oprawie wszech czasów, wzbudził poruszenie w świecie literatury, szokując autorów i krytyków swoją popularnością pomimo Nieliterackiego stylu (Fierro, 2013). Od tego momentu temat seksualności w literaturze znów znalazł się w centrum uwagi – jako zjawisko nie tylko estetyczne, ale i kulturowe.

Seks, w swoich niezliczonych przejawach – od subtelnych aluzji po jawne sceny – jest w literaturze tematem wszechobecnym. Jego definicja na gruncie literackim jest szeroka i obejmuje zarówno fizyczne akty intymności, jak i sugestie pożądania, napięcia emocjonalne czy psychologiczne. Choć bywa sprowadzany do funkcji sensoryjnej lub estetycznej, jego rola w konstruowaniu narracji, postaci oraz pogłębianiu sensów tekstu bywa znacznie bardziej złożona. Przedstawienia seksualności w literaturze ewoluowały na przestrzeni wieków, odzwierciedlając zmienne normy społeczne, religijne i obyczajowe danej epoki.

W literaturze klasycznej – np. mitologii greckiej i rzymskiej – seks często przybierał formę symboliczną bądź alegoryczną, odzwierciedlając namiętności bogów i herosów. Epoka wiktoriańska, naznaczona pruderią, narzuciła surowe ograniczenia – seksualność została zepchnięta do sfery tabu, sugerowana jedynie przez eufemizmy i niedopowiedzenia, co niejednokrotnie prowadziło do fascynujących ukrytych znaczeń (Marcus, 2009). Kobiety przedstawiano jako czyste, uległe, zamknięte w sferze domowej, podczas gdy mężczyźni uosabiali siłę, wolność i dominację seksualną. Przykładowo, w twórczości Lwa Tołstoja, zwłaszcza w *Annie Kareninie*, dostrzegalne są napięcia wynikające z naruszenia społecznych norm płciowych – szczególnie w odniesieniu do kobiety.

Przełom modernizmu przyniósł zerwanie z konwencjami – otwierając drogę do bardziej otwartych, psychologicznie złożonych i nierzadko subwersywnych przedstawień intymności. Pisarze modernistyczni zaczęli kwestionować tradycyjne normy płci i eksplorować alternatywne seksualności. Virginia Woolf czy James Joyce eksperymentowali z płynnymi tożsamościami płciowymi i wielowymiarową cielesnością

postaci. Marcel Proust w *W poszukiwaniu straconego czasu* subtelnie, ale rewolucyjnie przedstawiał homoseksualność i złożoność relacji międzyludzkich.

Po II wojnie światowej literatura zaczęła podejmować nowe wyzwania – pojawiła się druga fala feminizmu, redefiniująca role płciowe i kwestionująca patriarchalne struktury. Sylvia Plath i Betty Friedan krytykowały społeczne ograniczenia kobiet, a *Druga płć* Simone de Beauvoir okazała się przełomowym dziełem myśli feministycznej, głęboko wpływającym na literaturę i filozofię XX wieku (McAuliffe 2018). Rok 1969 – symboliczny dzięki zamieszkom w Stonewall – oznaczał punkt zwrotny w walce o prawa LGBTQ+ i ich reprezentację w literaturze (Ahmed 2023). Twórcy queer, tacy jak James Baldwin i Audre Lorde, nadali głos marginalizowanym tożsamościom i doświadczeniom.

Literatura postmodernistyczna oraz współczesna nadal przełamuje granice, dekonstruując binarność płciową i seksualną. Autorki takie jak Jeanette Winterson czy Alison Bechdel eksplorują queerowe i transseksualne tożsamości poprzez nowatorskie formy i narracje. W autobiograficznych powieściach, takich jak *Koniec z Eddym* czy *Historia przemocy*.

Współczesna literatura, szczególnie od drugiej połowy XX wieku, charakteryzuje się rosnącą otwartością i różnorodnością w podejściu do tematu seksualności – często poruszając go bez ogródek i z wielu perspektyw tożsamościowych. W niniejszym artykule podjęto próbę wstępnej kategoryzacji przedstawień seksualności, rozróżniając między „seksem nieuzasadnionym” – czyli takim, który służy jedynie epatowaniu lub szokowaniu – a „seksem narracyjnym”, integralnie wpisanym w strukturę utworu.

To właśnie ten drugi typ, pełniący funkcje konstrukcyjne, psychologiczne i społeczne, stanowi główny przedmiot niniejszych rozważań. Celem tekstu jest ukazanie, że przedstawienia seksualności w literaturze rzadko są jedynie elementem sensoryjnym – przeciwnie, często pełnią złożone role: służą pogłębianiu portretów psychologicznych postaci, dynamizowaniu narracji, komentowaniu norm społecznych czy ujawnianiu relacji władzy i napięć moralnych.

Analiza opiera się na bogatym korpusie przykładów literackich z różnych epok i kręgów kulturowych, a przyjęte ramy badawcze uwzględniają cztery kluczowe wymiary:



Jacques-Louis David, *Eros i Psyche*

funkcję, motywację, wpływ oraz komentarz społeczny. Artykuł zmierza do wykazania, że seks w literaturze nie jest jedynie formą estetycznego dodatku czy kontrowersji – ale istotnym narzędziem artystycznym i poznawczym, pozwalającym eksplorować najgłębsze warstwy ludzkiego doświadczenia.

Seks jako siła narracyjna, element fabuły i struktury

Seks w literaturze rzadko pełni wyłącznie funkcję ozdobnika. Częściej stanowi dynamiczną siłę napędową narracji, wpływając na rozwój fabuły, relacje między postaciami i strukturę opowieści. Intymność – jawna lub tylko sugerowana – odsłania ukryte napięcia oraz nadaje historii kierunek i psychologiczną głębię.

Napędzanie fabuły

Intymność w literaturze bywa katalizatorem dramatycznych zwrotów akcji. Często pozornie subtelne gesty – spojrzenia, niedopowiedzenia, flirty – w rzeczywistości stają się kluczowymi punktami zwrotnymi. W *Dumie i uprzedzeniu* Jane Austen napięcie między Elizabeth Bennet a panem Darcym budowane jest za pomocą słów i społecznych interakcji, a nie jawnych scen erotycznych. Podobnie literatura gotycka wykorzystuje domniemane zagrożenie seksualne do budowania atmosfery niepokoju, prowadząc do ujawnienia mrocznych tajemnic.

Seks może też działać jako detonator: z pozoru chwilowe uniesienie prowadzi do daleko idących konsekwencji fabularnych. Intymność za zgodą, jak i naruszenie cielesnej autonomii, nierzadko inicjują psychologiczną przemianę postaci, konflikt moralny lub katastrofę (Teo, 2020).

Budowanie i rozpad relacji

Intymność literacka bywa zarówno fundamentem trwałych więzi, jak i przyczyną ich destrukcji.

Siła łącząca

W wielu tekstach seks symbolizuje miłość, zaufanie i emocjonalną bliskość. Akt fizyczny pogłębia relację, stając się formą komunikacji niewerbalnej. Ukazuje spełnienie i harmonię, a często również proces wzajemnego poznania (Smith, 2011).

Siła niszcząca

Jednak równie często seksualność prowadzi do zdrady, obsesji czy upadku moralnego. W *Annie Kareninie* Tolstoja namiętność

wykraczająca poza normy społeczne doprowadza bohaterkę do izolacji i śmierci. W literaturze kryminalnej i psychologicznej obsesje erotyczne są źródłem intrygi, przemocy i wewnętrznego rozdarcia (Burge, 2017).

Sposób przedstawiania seksu zależy od konwencji gatunkowych i przyjmowanej perspektywy narracyjnej.

Erotyka i romans

W romansie seks pełni funkcję kulminacyjną emocjonalnego zaangażowania, podkreślając miłość i intymność. W erotyce natomiast dominuje fizyczna przyjemność, eksplorowana często w szczegółowy sposób. Jak zauważa Price (2023), oba gatunki konstruują seksualność jako istotny element tożsamości bohaterów, choć czynią to w odmienny sposób. Przykładem głębokiej analizy literackiej erotyzmu może być praca Kłosińskiego (2000) poświęcona przemianom prozy XX wieku.

Thriller i kryminał

W thrillerach i kryminałach seks jest często narzędziem manipulacji, szantażu lub elementem śledztwa. Może służyć demaskowaniu motywów postaci, budowaniu napięcia, a nawet prowadzić do zbrodni. Seksualność staje się tu narzędziem kontroli i dominacji (Broadribb & Holliday, 2017).

Fikcja historyczna

W powieści historycznej sceny seksualne często ukazują normy, tabu i społeczne konteksty minionych epok. Pozwalają one zrozumieć zmieniające się postawy wobec seksualności, ról płciowych czy instytucji małżeństwa. Seksualność staje się lustrem dla przemian społeczno-kulturowych i historycznych.

Seks i psyche: motywacja postaci i głębokość psychologiczna

Poza funkcją fabularną, seks w literaturze pełni rolę potężnego narzędzia do zgłębiania ludzkiej psychiki, ujawniając głębokie motywacje postaci i nadając im psychologiczną głębię. Przez pryzmat pragnień, intymności i władzy autorzy budują złożone portrety bohaterów, które rezonują z doświadczeniami czytelników.

Pożądanie jako motywator

Pożądanie seksualne stanowi jedną z podstawowych sił napędowych ludzkiego działania, a w literaturze jego rola jako motywatora jest wszechobecna. Objawia się zarówno jako dążenie do bliskości, jak i jako destrukcyjna kompulsja.

Dążenie do przyjemności i intymności

Pragnienia bohaterów związane z więzią seksualną często determinują ich decyzje i kierunek działania. Postaci mogą być napędzane prostą żądzą, głęboką miłością prowadzącą do intymności lub fundamentalnym poszukiwaniem przynależności i akceptacji poprzez cielesne zbliżenie. W powieściach romantycznych – jak choćby *Duma i uprzedzenie* Jane Austen – choć sceny seksualne są jedynie sugerowane, to wzajemne pożądanie i dążenie do małżeństwa z miłości stają się siłą napędową fabuły i

rozwoju postaci. Relacja Elizabeth Bennet i pana Darcy'ego, oparta na początkowo skrywanym, lecz silnym pragnieniu bliskości, prowadzi do ich ostatecznego szczęścia.

Kompulsja i uzależnienie

Innym, równie silnym przejawem pożądania w literaturze jest seks jako niekontrolowana siła, prowadząca często do upadku bohatera. Spotykamy postaci zmagające się z nimfomanią, uzależnieniem od seksu czy obsesyjnym zauroczeniem, w których pragnienie staje się patologiczną kompulsją, paraliżującą racjonalne myślenie. Przykładem może być Humbert z *Lolity* Vladimira Nabokova – jego obsesyjna miłość do młodej dziewczyny całkowicie przejmuje kontrolę nad jego życiem, prowadząc do zbrodni i moralnego upadku. W tego typu narracjach seks staje się przekleństwem, niszczącym zarówno życie bohatera, jak i otoczenia (Brink, 1996).

Dominacja i uległość

Seksualność w literaturze bywa również przestrzenią walki o władzę i kontrolę. Postacie wykorzystujące seks do manipulacji wpisują się w archetyp dominatora, ujawniając mroczne aspekty ludzkiej natury (Moi, 1995). Narracje eksplorujące BDSM (ang. Bondage, Discipline/Dominance, Sadism/Submission, Masochism – "krępowanie", "dyscyplinowanie"/"dominacja", "sadyzm"/"uległość", "masochizm") takie jak choćby w Pięćdziesięciu twarzach Greya (James 2011) ukazują złożoność dynamiki podporządkowania. Seks staje się w nich areną walki o dominację i uległość, często będąc metaforą szerszych struktur społecznych i politycznych.

Wrażliwość i utrata sprawczości

Drugim biegunem relacji seksualnych w literaturze jest ukazanie wrażliwości i utraty sprawczości. Doświadczenia te często prowadzą do traumy psychicznej lub głębokiej zmiany tożsamości postaci (Jones et al., 2019). Przykładem może być Celie z Koloru purpury Alice Walker – młoda Afroamerykanka, która doświadcza przemocy seksualnej ze strony ojczyma, a później męża. Seksualność staje się dla niej źródłem cierpienia i upokorzenia. Powieść ukazuje, jak trauma wpływa na jej relacje z innymi, poczucie własnej wartości i tożsamość, a zarazem śledzi jej powolne wyzwolenie i odzyskiwanie podmiotowości.

Z kolei w *Opowieści podręcznej* Margaret Atwood ukazana jest rzeczywistość teokratycznego państwa Gilead, w którym kobiety – w tym tytułowe „podręczne” – zostają zredukowane do funkcji reprodukcyjnych. Akt seksualny staje się tam rytuałem gwałtu instytucjonalnego, pozbawionym intymności i przyjemności. Bohaterka Offred i inne kobiety tracą władzę nad własnym ciałem i życiem, co prowadzi do psychicznego wyniszczenia, lecz także – w niektórych przypadkach – do buntu i poszukiwania własnej tożsamości poza narzuconymi normami.

Seksualność jako komentarz społeczny i polityczny

Współczesne ujęcia seksualności wykraczają daleko poza jej biologiczny czy intymny wymiar. Seks staje się przestrzenią, w której ujawniają się mechanizmy władzy, opresji i społecznego wykluczenia. Michel Foucault dowodził, że zachowania seksualne są silnie regulowane przez władzę instytucjonalną i dyskursy normatywne, czyniąc z seksualności narzędzie kontroli, ale również oporu (Foucault, 1995).

W tym kontekście seksualność jawi się jako narzędzie performatywnego protestu. Seks przestaje być wyłącznie aktem prywatnym – staje się językiem politycznym.

Przykładem takiego ujęcia może być analiza relacji między prostytutką a społeczną marginalizacją. Choć niektóre podejścia liberalne bronią seksbiznesu jako wyboru zawodowego, wiele badaczek, jak Kathleen Barry czy Sheila Jeffreys, wskazuje na jego systemowy związek z przemocą ekonomiczną i symboliczną (Jeffreys, 1997). Kobiece ciało, zwłaszcza w kulturach neoliberalnych, staje się produktem rynkowym – spektaklem wystawionym na konsumpcję i ocenę (Illouz, 2012).

Narracje literackie również podejmują ten temat, często z perspektywy krytycznej. W powieści *Adult Centre, or From the life of the possums* Roberta Larkena autor ukazuje historię Marka Zamorskiego – mężczyzny uzależnionego od usług seksualnych, który po dramatycznym zetknięciu z losem jednej z prostytutek doznaje wewnętrznej przemiany (Larken, 2025). Historia, mimo że osadzona w konkretnej rzeczywistości australijskich przedmieść, niesie uniwersalny przekaz dotyczący przemocy systemowej oraz możliwości moralnej korekty. Seksualność zostaje tu przedstawiona jako metafora społecznej deformacji, a zarazem impuls do zmiany.

Feministyczne podejścia podkreślają również wagę redefinicji przyjemności i autonomii. Dla autorek takich jak Butler seksualność może być formą odzyskiwania podmiotowości przez kobiety, które doświadczyły przemocy kulturowej i osobistej (Butler, 2008). Seks jako akt etyczny, wolny od dominacji, zyskuje w tych interpretacjach wartość emancypacyjną.

Podsumowując, seksualność we współczesnych dyskursach kulturowych i literackich funkcjonuje jako dynamiczne narzędzie analizy i krytyki społecznej. O ile dawniej była podporządkowana porządkowi moralnemu i normatywnemu, dziś – dzięki teorii feministycznej, queerowej i poststrukturalnej – staje się przestrzenią renegotjacji tożsamości i władzy. Seks nie jest już tylko domeną prywatności – to pole symbolicznego konfliktu i transformacji.

Rzemiosło pisania o seksie: etyka, estetyka, technika

Pisanie o seksie stawia przed autorem wyjątkowe wyzwania – wymaga balansowania między dosłownością a sugestywnością, szczerością a dobrym smakiem. Sceny erotyczne mogą służyć pogłębieniu psychologii postaci, rozwinięciu fabuły lub wzmocnieniu przesłania, lecz nieumiejętnie wprowadzone stają się pustym ornamentem lub narzędziem epatowania. Jak zauważa Stephen King, scena seksualna powinna „wynikać z emocjonalnego kontekstu postaci, a nie z potrzeby szokowania” (King, 2000).

Styl narracji erotycznej przybiera różne formy. W ujęciu poetyckim – charakterystycznym dla klasycznej liryki miłosnej – seks zostaje zasugerowany przez metafory i zmysłowe obrazy. T.S. Eliot w *Ziemi jałowej* przekształca cielesność w pejzaż emocjonalny, pełen subtelnych napięć. Przeciwnym biegunem jest język kliniczny lub brutalnie dosłowny, często wykorzystywany w literaturze ukazującej seks jako przestrzeń przemocy i wyobcowania. W *Opowieści podręcznej* Margaret Atwood opisy „ceremonii” są chłodne i beznamiętne – to zabieg celowy, służący ukazaniu dehumanizacji kobiet w patriarchalnym systemie Gilead (Atwood, 1985).

Z kolei Valérie Tasso w *Pamiętniku nymfomanki* stosuje język bezpośredni, wręcz wulgarny, by odrzec doświadczenie seksualne z tabu, ukazując jego złożoność i emocjonalny ciężar (Tasso, 2003). Taki realizm – choć kontrowersyjny – bywa formą autentyczności, zmuszając czytelnika do konfrontacji z niewygodnymi prawdami.

Równie ważny jak styl jest wybór punktu widzenia. Narracja pierwszoosobowa – jak w *Lolocie* Vladimira Nabokova – odsłania psychikę bohatera w całej jej złożoności. Wgląd w obsesyjny umysł Humberta ukazuje, jak intymność staje się narzędziem manipulacji, a jednocześnie pozwala lepiej zrozumieć moralne napięcia w powieści Nabokowa – *Lolita*. Trzecioosobowa narracja ograniczona daje dostęp do emocji jednej postaci przy zachowaniu dystansu, z kolei narracja wszechwiedząca ujawnia szerszy kontekst społeczny, choć kosztem intymności (Genette, 1980).

Pisanie o seksie to zatem nie tylko kwestia treści, ale także formy – etycznej, estetycznej i technicznej. Umiejętność znalezienia właściwego języka dla doświadczeń intymnych świadczy o literackiej dojrzałości i odpowiedzialności autora. Dobrze napisana scena erotyczna nie epatuje, lecz pogłębia – nie szokuje, lecz skłania do refleksji,

Etyczna odpowiedzialność Autora

Pisząc o seksie, zwłaszcza w jego mrocznych odsłonach, autorzy muszą zmierzyć się z kwestiami etycznymi. Chodzi nie tylko o sposób przedstawienia, ale i o wpływ na czytelnika. Szczególnie kontrowersyjne są tematy przemocy seksualnej, nadużyć czy braku zgody. Istnieje cienka granica między realistycznym przedstawieniem traumy a wykorzystywaniem cierpienia dla efektu literackiego czy sensacji.

W literaturze odpowiedzialnej, jak w *Pokoju* Emmy Donoghue, nacisk kładzie się na skutki przemocy i psychikę ofiary, nie na sam akt (Jaime de Pablos, 2022). Autor powinien zadać sobie pytanie: czy ten fragment służy zrozumieniu i pogłębieniu postaci, czy jedynie szokuje?

Sceny seksualne mają potencjał edukacyjny i mogą pogłębiać empatię, ale w niewłaściwym kontekście – szczególnie zbyt dosłownym, oderwanym od fabuły – mogą szkodzić. Literatura nie jest bezpieczną przestrzenią, ale powinna być przestrzenią odpowiedzialną.

Jak podkreśla Eco (1979) seks w literaturze ma sens tylko wtedy, gdy pełni funkcję – rozwija postaci, przesuwając fabułę lub otwiera pole refleksji. Jeśli jest wpisany organicznie w strukturę opowieści, staje się nośnikiem sensu.

Jak w większości rzeczy literackich, sposobem na pisanie „dobrego” seksu jest myślenie o czytelniku. Tak jak istnieje nieskończona różnorodność „dobrego seksu” – czynników zależnych od osób biorących w nim udział – tak samo istnieje nieskończona różnorodność pisarzy, z których każdy ma swojego idealnego czytelnika. Wydaje się, że najważniejsze jest, by literacki seks był prawdziwy.

Zakończenie: Eros jako Zwierciadło Ludzkości

Seks w literaturze to coś więcej niż cielesność – to soczewka, przez którą widać psychologię, relacje, społeczeństwo i władzę. Od subtelnych aluzji po jawne akty intymności, pełni funkcje

emocjonalne, narracyjne i symboliczne. Może cementować relacje lub je niszczyć, wyrażać pragnienie, kompulsję, kontrolę czy przebudzenie tożsamości.

Jako motyw literacki, seks staje się narzędziem diagnozy społecznej – ujawnia tabu, nierówności, struktury patriarchalne i polityczne manipulacje. Dzięki niemu autorzy prowokują do refleksji, rzucając wyzwanie cenzurze i poszerzając granice opowieści. Seksualność może być zarówno aktem wolności, jak i opresji – dlatego jej przedstawienie wymaga wrażliwości i świadomości etycznej.

Choć temat jest szeroki i niejednoznaczny, jego potencjał interpretacyjny wciąż rośnie. Przyszłe badania mogą przybliżyć wpływ seksu w literaturze cyfrowej, interseksjonalne ujęcia tożsamości czy porównania międzykulturowe.

Ostatecznie, bez względu na zmieniające się formy i konteksty, trwałe znaczenie seksu w literaturze pozostaje niezmiennie. Jest on niczym wierne zwierciadło ludzkiej kondycji, odzwierciedlające nasze pragnienia, lęki, radości i cierpienia. Literatura, poprzez swoje odważne i subtelne przedstawienia intymności, nadal będzie pełniła swoją niezastąpioną rolę w pomaganiu zrozumieniu siebie nawzajem i świata, w którym żyjemy.

Przypisy:

- Fierro, J. (2013). *A sentimental education: Sex and the literary writer. The Millions*. <https://themillions.com/2013/05/a-sentimental-education-sex-and-the-literary-writer.html>
- Marcus, S. (2009). *The other victorians: A study of sexuality and pornography in mid-nineteenth-century England*. Routledge.
- McAuliffe, A. P. (2018). *To be everything: Sylvia Plath and the problem that has no name*, City University of New York.
- Ahmed, S. M. (2023). The transformative influence of literature on LGBTQ+ rights discourse in the legal arena. *Creative Saplings*, 2(9), 55–74.
- Teo, H. M. (2020). *Love and romance novels*. W E. Selinger & J. L. Grinrod (Red.), *The Routledge research companion to popular romance fiction* (s. 454–484). Routledge.
- Smith, R. L. (2011). *Sex differences in peer relationships*. W W. M. Bukowski, B. Laursen, & K. H. Rubin (Red.), *Handbook of peer interactions, relationships, and groups* (s. 379–397). Guilford Press.
- Burge, A. (2017). *The rough guide to love: romance, history and sexualization in gendered relationship advice*. *Journal of Gender Studies*, 27(6), 1–12.
- Price, F. (2023). *The aesthetics of the romantic period and women's writing*. *W OUP Academic*. Oxford University Press.
- Kłosiński, K. (2000). *Eros. Dekonstrukcja. Polityka: Przemiany prozy XX w. Wydawnictwo Naukowe "Śląsk"*.
- Broadribb, S., & Holliday, S. J. I. (2017). *Girls on top – Sex in crime fiction. Crimetime*. <https://www.crimetime.co.uk>
- Brink, A. (1996). *Obsession and culture: A study of sexual obsession in modern fiction*. Juta.
- Moi, T. (1995). *Sexual/textual politics*. Routledge.
- James, E. L. (2011). *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Sonia Draga.
- Jones, T., Coll, T., van Leent, L., & Taylor, Y. (Red.). (2019). *Uplifting gender and sexuality education research*. Springer.

JÓZEF CZECHOWICZ

EROS I PSYCHE

Foucault, M. (1995). *Historia seksualności, t. 1: Wola wiedzy* (B. Banasiak, Tłum.). Wydawnictwo KR. (Oryginał opublikowany w 1976).
Jeffreys, S. (1997). *The idea of prostitution*. Spinifex Press.

Illouz, E. (2012). *Why love hurts: A sociological explanation*. Polity Press.

Larken, R. (2025). *Adult Centre, or from the life of the possums*. Kindle Amazon

King, S. (2000). *On writing: A memoir of the craft*. Scribner

Butler, J. (2008). *Uwikłani w płęć. Feminizm i polityka tożsamości* (K. Krasuska, Tłum.). Wydawnictwo Krytyki Politycznej. (Oryginał opublikowany w 1990).

Atwood, M. (1985). *The handmaid's tale*. McClelland and Stewart.

Tasso, V. (2003). *Pamiętnik nimfomanki*. Wydawnictwo Żywostowie.

Genette, G. (1980). *Narrative discourse: An essay in method* (Vol. 3). Cornell University Press.

Jaime de Pablos, M. E. (2022). *Becoming resilient subjects: Vulnerability and resistance in Emma Donoghue's Room*. W *Cultural representations of gender vulnerability and resistance* (s. 33–52). Springer.

Eco, U. (1979). *The role of the reader: Explorations in the semiotics of texts* (Vol. 318). Indiana University Press.

na morzach nocy odpływ szumi pianą
jak w szkło w pustkę srebrnąwą przenika poranek
chce wydobyć z topieli dom moi miasto wzgórze
słaby l bardzo szary próżno skrzydła trudzi
mimo że świt z mórz nocy świat się nie wynurza

z zorzy bez horyzontu głosy dwojga ludzi

słowa toczcie się do me)
powiedzcie znowu

serce myśl
miłuję

wracajcie jego słowa wonne
hzeptionicie mu ode mnie to samo
miłuję

jedno to jest od wieków
głód zagłada l ty
jedno to jest od wieków
głód zagłada l ty

wiatr wieje z siwej nicości
świt nieznany ma zimny oddech
aleś ty jak woda rzeźwiąca
a my razem jak miecz i dłoń

płaczę
miłość smutek wspólne to drzewo
jak chmura i grzmot
pod ręką czuję twe serce
smuci się równie

oczy ci łzami zaszły
wargi drżą tak skrzydła złamane trzepocą
to ból nie smutek

nie myśl
bo może dlatego płaczę

żeś nic widział nigdy moich łez

nie słuchaj serca
bo może goniłem ku tobie z prędkości miłowania
zmęczyło się

zapomnij o przeszłych i przyszłych
opuść błyskawice szalone
cóż że gwiazdę na której się unosimy
niebo uрони wkrótce

zapomnienie to ty
ty jesteś przy mnie
więc nie czeka mnie nic i nie żegna przede mną
ni za mną
ty wieczność
głębiej szerzej
niż sądzisz

jcsteś sprzed sił
które czas wydarły z łona bogów
mocna

miłuję
miłuję

na morzach nocy odpływ szumi pianą
jak w szkło w pustkę srebrnąwą przenika poranek
szarość stoi na ładach beznadziejną ścianą
ziemia drży chce otrząsnąć się z tej tępej krzywdy
po coś słuchał człowieka
rozmowa dwojga zgasła w konstelacjach sekund
mogłoby nic być jej nigdy

BOLESŁAW FARON



MOJE "SPOTKANIA" Z WŁADYSŁAWEM ORKANEM¹

Szanowni Państwo,

pragnę bardzo serdecznie podziękować Panu Bogusławowi Nawarze, dyrektorowi Gminnej Biblioteki i Ośrodka Kultury w Niedźwiedziu, za to, że zaprosił mnie na dzisiejszą imprezę: *Urodziny u Franka – 150 lat Władysława Orkana*. Dzięki temu mogę wspólnie z Państwem świętować tę ważną, nie tylko dla tutejszej gminy, uroczystość.

Pozwólcie Państwo, że wyjaśnię tytuł wystąpienia: *Moje „spotkania” z Władysławem Orkanem*. Oczywiście nie o bezpośrednie spotkania idzie. Stąd „spotkania” w cudzysłowie. Urodziłem się bowiem 7 lat po śmierci Orkana i rok po odejściu jego matki, Katarzyny ze Smreczaków Smreczyńskiej. Idzie zatem o moje spotkania z biografią autora *Komorników* i jego twórczością.

Z informacji o Franciszku Ksawerym Smreczyńskim (właściwe nazwisko Smaciarz, zmienione w 1898 r. na podstawie zezwolenia CK Namiestnictwa we Lwowie na Smreczyński; Władysław Orkan – jak Państwo wiecie – to pseudonim literacki) zetknąłem się dość wcześnie, tuż po II wojnie światowej. Było to bodajże w 1947 r. (miałem wtedy 10 lat), kiedy to na zaproszenie ówczesnego kierownika Szkoły Podstawowej Józefa Stefańskiego w moim rodzinnym Czarnym Potoku koło Łącka przyjechał na spotkanie z nami, uczniami IV klasy, sądecki poeta i gawędziarz Tadeusz Giewont-Szczecina. Recytował – pamiętam – swoje wiersze, recytował *Przygrywkę* Władysława Orkana, rozpoczynając się od słów: „Ukochałem lud biedny nad miarę, bom się jego pieśnią wykołysał...”, opowiadał wzruszającą historię o kobiecie, co z Gorców na plecach do Krakowa jedzenie nosiła dla synów pobierających nauki w tamtejszych gimnazjach. Dopiero później dowiedziałem się, że było to streszczenie powieści Ignacego Maciejewskiego-Sewera pt. *Matka*, poświęconej Katarzynie ze Smreczaków Smreczyńskiej, matce autora *Komorników* i *W roztokach*. Losy młodego górala z Poręby Wielkiej zrobiły na nas wrażenie. Urodził się wprawdzie jeszcze w ubiegłym wieku (w 1875 r.) w niezbyt oddalonych od Czarnego Potoka Gorcach, z których udał się do szkół najpierw do Szczyrzyca, a później do Krakowa, nie zdradził jednak rodzinnej wsi. Wrócił do niej, zbudował dom i opiewał życie jej mieszkańców w twórczości literackiej i publicystycznej.

Moją wiedzę o twórczości Orkana pogłębiła edukacja w szkole średniej, w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Długosza w Nowym Sączu. Jego *Komornicy* należeli do lektury obowiązkowej. Były to wczesne lata 50. Na przykładzie tej powieści mówiło się wówczas o rozwarstwieniu społecznym wsi, o wyzysku biednych przez bogatych chłopów (Chyba Złydaszyk), o emigracji zarobkowej. Dla obowiązującej wtedy socjologicznej interpretacji dzieła literackiego ta powieść z 1900 r. nadawała się znakomicie.

Po maturze – w nagrodę „za bardzo dobre postępy w nauce i pracę społeczną” – z podpisem Franciszka Łapki, dyrektora I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Długosza w Nowym Sączu (nazywało się w 1954 r. I Liceum TPD) – otrzymałem okazałych rozmiarów książkę w sztywnej, bordowej okładce. Był to *Wybór pism* Władysława Orkana ze wstępem Jana Błońskiego, opublikowany w 1953 r. przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, książka, która od wspomnianej *Przygrywki* w dziale poezji się rozpoczynała. Podczas lektury tego tomu poznałem inne utwory Orkana, a więc opowiadania, powieść *W roztokach*, fragmenty *Kostki Napierskiego*, *Listy ze wsi*. Zorientowałem się, że „Pieśniarz krainy kęp i wiecznej nędzy”[2] był nie tylko orędownikiem uciśnionych, ale też analitykiem duszy chłopskiej i twórcą czy współtwórcą, ruchu regionalnego na Podhalu.

Wybór pism Orkana zabrałem ze sobą jako jedyną książkę na studia polonistyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej do Krakowa. Wędrowały one ze mną po kolejnych domach studenckich, od ul. Grodzkiej 60, przez Mazowiecką 61, Karmelicką 41 i w końcu na ul. Gramatyka 10. Kiedy na trzecim roku studiów, w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej, prof. Jan Nowakowski na seminarium magisterskim, które było poświęcone naturalizmowi w literaturze polskiej, zapytał nas, czy mamy jakieś propozycje tematów, zgłosiłem autora *Komorników*. Oferta została przyjęta. *Elementy naturalizmu w twórczości Władysława Orkana* – tak brzmiał tytuł pracy. Teraz dopiero okazało się, jak mało wiem o twórczości pisarza z Gorców, jak bardzo powierzchowna jest moja wiedza, jak uproszczony wizerunek utrwałała w naszej świadomości edukacja szkolna. Lektura bogatych zasobów archiwalnych w Bibliotece Jagiellońskiej, dokumentów osobistych, obfitej korespondencji pisarza pozwoliła poznać jego osobowość, zetknąć się z problemami, z jakimi się mocał, zrozumieć atmosferę duchową, w jakiej wzrastał, dotrzeć do dramatu



Stanisław Pigoń

pisarza, który najpierw wierzył, że przyczyną wszelkiego zła na wsi jest nędza, a później – mocno rozczarowany – szukał wyjaśnień w teorii o „nierówności dusz ludzkich”.

Wówczas też odbyłem pierwsze wyprawy szlakiem jego bohaterów. Odwiedziłem Niedźwiedź (opiewany w opowiadaniu *Zemsta malarza* drewniany kościółek, spalony doszczętnie, dziś w tym miejscu stoi nowa murowana świątynia), „Orkanówkę” na Groniu (tu spotkałem krewną Bronisławy Folejewskiej, drugiej żony Orkana), Koninę, Koninki. Odbyłem pielgrzymkę szlakiem Franka Rakoczego na odpust do Ludźmierza, stwierdziłem autentyczność napisu na kamieniu na czole Turbacza „Koldrasz Lacki... 17...”[3]. Zawsze w plecaku w wędrówkach po szlakach gorceńskich obok znakomitego przewodnika Jana Nyki znajdowały się *Wybrane pisma* Orkana. Kontakt z pisarzem nie zakończył się na napisaniu i obronie rozprawy magisterskiej.

Po studiach rozpocząłem pracę w Bibliotece Głównej WSP i jako wychowawca w internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Nowej Hucie. Pewnego razu podczas popołudniowego dyżuru kierownik wzywa mnie do kancelarii, do telefonu. Dzwoni Izabela Kleszczowa, z którą spotykałem się podczas przygotowywania pracy magisterskiej w Bibliotece Jagiellońskiej. Opracowywała bibliografię dla drukowanych w Wydawnictwie Literackim *Dzieł zebranych* Władysława Orkana.

– Profesor Stanisław Pigoń zaprasza pana na rozmowę – usłyszałem głos w słuchawce.

Zaniemówiłem na chwilę. Stanisław Pigoń bowiem, znakomity znawca dorobku „dumaca” z Poręby, opublikował w 1958 r. obszerną monografię jego twórczości. Nie znałem go osobiście. Obserwowałem go nieraz w Bibliotece Jagiellońskiej, jak dostojnym krokiem zmierzał do czytelni profesorskiej z jakimiś fiszkami w ręku. Zawsze imponował mi

swoją wiedzą, erudycją i chłopskim uporem, który zaprowadził go z Komborni na katedrę uniwersytecką i do godności rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

– Powiedziała profesorowi – kontynuowała Kleszczowa – o pańskiej pracy magisterskiej. Chyba się z nią zapozna. Proszę zgłosić się do niego wraz z maszynopisem w najbliższy czwartek.

Do dzisiaj pamiętam, jak biło mi serce po przekroczeniu bramy w kamienicy przy al. Słowackiego w Krakowie, w której mieszkał Stanisław Pigoń. Do gabinetu profesora wprowadziła mnie jego małżonka. Siedział zwrócony twarzą do drzwi wejściowych, przy ogromnych rozmiarów biurku, otoczony stertami książek. Kazał mi usiąść. Rozmowa była krótka. Zapytał, skąd pochodzę, gdzie obecnie pracuję i polecił zgłosić się za dwa tygodnie. Następną pogawędką była nieco dłuższa. Pracę przeczytał.

– Jako rozprawę magisterską – powiedział tubalnym głosem – u nas, na Uniwersytecie Jagiellońskim przyjąłbym z zamkniętymi oczyma. Do druku to się jeszcze w całości nie nadaje, ale rozdział pierwszy – *Osobiste kontakty Orkana z naturalizmem* – po udoskonaleniach jako przyczynek naukowy można by opublikować. Sugerował intensywną naukę języków obcych, zwłaszcza francuskiego, jeżeli mam zamiar nadal interesować się naturalizmem, zachęcał do pracy naukowej, martwił się, że przy aktualnych zajęciach (praca w internacie i w bibliotece na uczelni) nie bardzo będzie to możliwe. Kiedy opuszczając jego gabinet, dziękowałem mu za to, że zechciał przeczytać mój maszynopis, usłyszałem wtedy słowa, które zapamiętałem na całe życie: „To jest moja powinność. Jestem polskim profesorem”.

Od rozmowy z uczonym upłynęło parę miesięcy. W lecie 1959 r. zostaję zaproszony przez dyrektora administracyjnego Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Stefana Jędrzychowskiego, na sondażową rozmowę, czy byłbym zainteresowany pracą na uczelni. Nie bardzo rozumiem, skąd ta inicjatywa... Przecież po studiach nikt mi takiej oferty nie złożył. Podjąłem więc zajęcia w Bibliotece Głównej WSP – i jak wspominałem – w internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Nowej Hucie, a od września 1959 r. w II Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Jana III Sobieskiego jako nauczyciel języka polskiego.

Dyrektor umawia mnie na rozmowę z prof. Janem Nowakowskim, moim promotorem, kierownikiem Katedry Literatury Polskiej w WSP. Podczas tego spotkania sprawa się wyjaśnia. Stanisław Pigoń spotkał się z nim, wspomniął o lekturze mojej pracy magisterskiej. Stwierdził: „Janku, talenty marnujesz. Faron pracuje w internacie”. Zasugerował mu zatrudnienie mnie na uczelni. Autor studiów o Mickiewiczu i Orkanie był dla Nowakowskiego autorytetem niepodważalnym. Od 1 października 1959 r. otrzymałem etat asystenta w Katedrze Literatury Polskiej WSP.

Jak państwo widzicie, to Władysław Orkan zdecydował o mojej drodze naukowej. Gdyby nie interwencja prof. Stanisława Pigionia u mojego promotora, prawdopodobnie nie miałbym szans na pracę w uczelni wyższej i rozwój naukowy. Byłbym zapewne nauczycielem języka polskiego, gdyż taką propozycję miałem też z Technikum Mechanicznego w Nowym Sączu.

I tak można by zakończyć historię o kontaktach z Władysławem Orkanem i o jego wpływie na drogę życiową i zawodową mówiącego te słowa, gdyby nie to, że historia ta ma również swój epilog.

Szkic o kontaktach autora *Komorników* z naturalizmem ukazał się w 1961 r. w "Roczniku Naukowo-Dydaktycznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie". Był to mój debiut naukowy wraz z notatką o dacie urodzin Orkana, którą opublikowałem w 1960 r. w „Ruchu Literackim”. Ponieważ wiele źródeł podawało mylnie rok 1886 jako rok urodzin, na podstawie wypisu z ksiąg urodzonych w parafii w Niedźwiedziu, który otrzymałem od wieloletniego proboszcza, ks. Franciszka Baradzieja, niepodważalnie potwierdziłem rok 1875. Z inicjatywy Pigionia napisałem obszerną sylwetkę pisarza do *Obrazu literatury polskiej XIX i XX wieku*, w tomie poświęconym Młodej Polsce, w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, opublikowałem *Komorników* i inne utwory; jednodniówka Związku Podhalan wydrukowała szkic o prozie narracyjnej autora *Kostki Napierskiego* z okazji setnej rocznicy jego urodzin.

Po latach znowu wróciłem do lektury tekstów Orkana. Przygotowałem m.in. biogram dla opracowywanego przez Ossolineum *Słownika*, referaty na konferencje naukowe w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie pt. *Stanisław Pigoń o Władysławie Orkanie, Pisarz chłopski wobec wielkiej wojny (Władysław Orkan)* dla Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. *Notariusz poświadczający zgodność, Stanisław Pigoń jako edytor pism Orkana* – na konferencję na UJ, a także referaty na konferencję w Koninkach o *Listach ze wsi, Czantorii i Pomorza*.

Pod koniec XX i na początku XXI wieku rozwinęła się moja intensywna współpraca z władzami gminy Niedźwiedź. Z satysfakcją obserwowałem starania o przejęcie „Orkanówki”, o jej remont. Podkreślić tu należy zasługi Janusza Potaczka, wieloletniego wójta gminy, który był niezwykle orędownikiem sprawy Orkanowskiej. Nawiązałem bliższą współpracę z Jadwigą Zapałową, na której prośbę na „Orkanówce” co roku w czerwcu wygłaszałem prelekcje dla młodzieży szkolnej z placówek noszących imię pisarza. Bywałem zapraszany na majówki „u Orkana”. Na prośbę Związku Podhalan w Niedźwiedziu wygłosiłem w „Orkanówce” i w Lubomierzu odczyty o pisarzu.

Ufundowałem płaskorzeźbę z wizerunkiem pisarza i napisem „Piewca Gorców i Podhala”. Jeden egzemplarz ofiarowałem Urzędowi Gminy w Niedźwiedziu. Twórcą był rzeźbiarz Gustaw Hadyna.

Do Muzeum Biograficznego przekazałem część moich zbiorów związanych z naszym pisarzem, m.in. oryginał pracy magisterskiej i *Wybór pism* z 1953 r. w bordowej oprawie.

Brałem udział w odsłonięciu nowego pomnika Władysława Orkana w Nowym Targu ufundowanego przez Polonię amerykańską. Spotykałem się z młodzieżą z Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Orkana w Limanowej. Na prośbę dyrekcji Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Limanowej byłem przewodniczącym Jury Konkursu Poetyckiego dla uczniów im. Córki Władysława Orkana Zofii Smreczyńskiej. Podobnie w Jury Nagrody – Konkurs Literacki



Dumac z Poręby przed "Orkanówką"

w Warszawie im. Władysława Orkana. Uczestniczyłem też w utworzeniu Nagrody im. Orkana przez Sejmik Województwa Małopolskiego. To tylko niektóre przykłady mojej aktywności w tej dziedzinie.

Telewizja Polska Oddział w Krakowie przygotowała film dokumentalny pt. *Dumac z Poręby* w reżyserii Izabeli Pieczary, w którym pełnię rolę głównego narratora. Zainteresowałem też władze gminy filmem *Kolory kochania* w reżyserii Wandy Jakubowskiej o Władysławie Orkanie. Dziś można go w każdej chwili zobaczyć w „Orkanówce”.

Osobną sprawą, o której muszę tu wspomnieć, są konferencje naukowe, które dzięki pomocy władz gminy udało mi się zorganizować w Koninkach i książki o Orkanie, które jako ich pokłosie się ukazały.

W Koninkach przygotowałem konferencję naukową na temat roli muzeów biograficznych pisarzy z uwzględnieniem „Orkanówki”. Impreza odbyła się w pensjonacie Barbary Cichańskiej.

Orkanowi były poświęcone trzy konferencje naukowe: w 2002 r. – *Orkan czytany dzisiaj*. Współorganizatorem – oprócz władz Gminy Niedźwiedź – była Podhalańska Wyższa Szkoła Zawodowa w Nowym Targu (dzisiaj ma nową nazwę).

W 2010 r. w 135. rocznicę urodzin i 80. śmierci pisarza odbyła się tutaj Konferencja Naukowa pt. *Wokół Władysława Orkana. Aspekty literackie, kulturalne i medialne*. Organizatorem była Małopolska Wyższa Szkoła Zawodowa im. Józefa Dietla w Krakowie, w której wówczas pracowałem. Wspierał nas Janusz Potaczek, wójt Gminy Niedźwiedź, Wydawnictwo Edukacyjne z Krakowa, Starostwo Limanowskie oraz Związek Podhalan Oddział w Niedźwiedziu.

W roku 2015 zbiegło się kilka rocznic związanych z Władysławem Orkanem, a mianowicie 140. rocznica urodzin i 85. śmierci, nadto 85. śmierci jego córki – Zofii Smreczyńskiej, która zmarła w szpitalu w Krakowie w kilkanaście dni po śmierci ojca. Z tej okazji w powiatach limanowskim i myślenickim odbyło się parę imprez okolicznościowych, m.in. Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Limanowej zorganizowała V Jubileuszowy Konkurs Poetycki im. Zofii Smreczyńskiej, w którym – jak wyżej wspominałem – przewodniczyłem komisji konkursowej.



"Orkanówka", tablica pamiątkowa na budynku oraz Władysław Orkan

W hotelu „Górski Raj” w Koninkach zorganizowaliśmy Konferencję naukową pt. *Władysław Orkan. Piewca Gorców i Podhala*. Przygotowali tę imprezę Niepubliczny Instytut Kształcenia Nauczycieli Wydawnictwa Edukacyjnego, przy współpracy Katedry Mediów i Badań Kulturowych UP im. KEN w Krakowie.

Jako rezultat tych przedsięwzięć ukazały się następujące książki: *Orkan czytany dzisiaj* (Nowy Targ 2003); *Wokół Władysława Orkana. Aspekty literackie, kulturowe i medialne* (Kraków, 2011) oraz *Władysław Orkan. Piewca Gorców i Podhala* (Kraków, 2015). Ta książka ukazała się dzięki wsparciu Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK.

W ten sposób staram się spłacić Władysławowi Orkanowi dług, wyrazić wdzięczność za to, że zza grobu pokierował moją drogą życiową.

Dzisiaj z nostalgią i smutkiem muszę stwierdzić, że twórczość „dumaca” z Poręby jest całkowicie nieznaną najmłodszej generacji, może za wyjątkiem tutejszej gminy. Choć, kiedy przed laty uczestniczyłem jako egzaminator w przyjmowaniu studentów na I rok polonistyki, zauważyłem kandydatkę urodzoną w Porębie Wielkiej. Zapytałem ją o Orkana i „Orkanówkę”. Nic nie wiedziała. Kiedy to opowiedziałem na którejś konferencji w Koninkach, wójt Janusz Potaczek się obruszył. „Przecież my tyle robimy dla promocji Orkana”. Uspokoił się nieco, gdy przedstawiłem ciąg dalszy tej historii. Otóż po pięciu latach jestem w komisji egzaminu magisterskiego. Rozmawiamy z magistrantką, która – jak się okazuje – z Poręby Wielkiej pochodzi. Była to ta sama, spotkana przy egzaminie wstępnym. Okazało się, że również i tym razem autor *W rozstokach* jest jej obcy. A była po wykładach z Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego, które ja prowadziłem...

Ze smutkiem stwierdzam, że twórczość Orkana jest obca córkom i wnukom mojego brata, moim wnukom też, że w Limanowej przed laty odebrano pisarzowi imię głównej ulicy.

Na pytanie, czy dorobek ten należy wyłącznie do historii literatury, czy może być istotny dla dzisiejszego pokolenia młodzieży wiejskiej – trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Sądzę wszakże, iż wiele myśli, jak choćby te ze *Wskazań dla synów Podhala* z 1922 r., które od lat leżą na moim biurku, nie straciło na swej aktualności:

Jeżeli będziesz profesorem – bądź wychowawcą. W najwyższym tego słowa znaczeniu. Kochaj młodzież jak swoje własne dzieci. [...] A cieszyłby się Bóg i Święci Podhala, gdybyś został rolnikiem – wiedzącym – gdybyś osiadł z wiedzą nabytą wśród swoich. [...] Ze wsią swoją rodzinną żyj – i daj jej, co najlepsze. Wróc braciom, coś wiedzę zdobył. Nie przecinaj korzeni łączących cię z rodzinną ziemią, choćbyś na końcu świata się znalazł. [...] A przede wszystkim: miej charakter!

Wskazania dla synów Podhala opracowałem na prośbę dyrektora Antoniego Malczaka dla Małopolskiego Centrum Kultury „Sokół” w Nowym Sączu. Ukazały się one w 2016 r. Myślę, że również wiele stwierdzeń Orkana, zawartych w jego utworach, nie straciło na aktualności, sporo dzieł, jak np. powieść *W rozstokach* może również dzisiaj inspirować do przemyśleń na temat współczesności.

¹ Tekst wygłoszony w dniu 4 grudnia 2025 r. w Gminnej Bibliotece i Ośrodku Kultury w Niedźwiedziu podczas uroczystości *Urodziny u Franka. 150 lat Władysława Orkana*. Wykorzystano w nim po części materiały ze szkicu *Orkanowskie przesłanie* drukowanego m.in. w książce: *Władysław Orkan – Rozszerzony*, Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2012, s. 7-12.

[2] Określenie Juliana Krzyżanowskiego.

[3] I odnotowanego w powieści *W rozstokach*

IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA

"THROUGH THE PRISM OF CHOPIN"

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA

MUZYKOLOGICZNA - WARSZAWA 2025

Międzynarodowa konferencja muzykologiczna „Through the Prism of Chopin: Women, Music, and Social Change in the Long Nineteenth Century” odbyła się w dniach 3–5 grudnia 2025 roku w Warszawie. W konferencji wzięło udział 26 uczestników z Polski (7), Francji (3), Niemiec (3), Hiszpanii, Austrii, Rumunii, Czech, Włoch, Szwajcarii, Holandii, a ponadto z Australii, Chile (2) i Tajwanu. Silnie reprezentowane były Stany Zjednoczone (5 prelegentów). Konferencja została zorganizowana przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, a o jej zawartości merytorycznej zdecydował komitet naukowy w składzie Halina Goldberg (Indiana University), Jeffrey Kallberg (University of Pennsylvania), Aneta Markuszewska (Uniwersytet Warszawski) oraz Kamila Stępień-Kutera (NIFC). Przedstawiciele świata naukowego spotkali się w XVIII-wiecznej rezydencji Marii z Lubomirskich Radziwiłłowej przy Długiej 26 w Warszawie, gdzie obecnie znajduje się siedziba Instytutu Sztuki PAN.

Wykład inauguracyjny wygłosiła Henrieke Rost, prowadząca badania nad muzyką i kulturą XIX wieku w Austriackiej Akademii Nauk. W swoim wystąpieniu *Writing women's history with nineteenth-century friendship albums* poruszyła zagadnienie wpisów sztambuchowych jako zjawiska społecznego i kulturowego. Jej zdaniem albumy stanowią ważne źródło dokumentujące działalność muzyczną, uwidaczniające wkład kobiet w kulturę. Szczególną uwagę poświęciła postaci Emily Moscheles (1827-1889), córce pianisty-kompozytora Ignaza Moschelesa, i jej sztambuchowi.

Podczas pierwszej sesji, którą moderowała Candance Bailey, wygłoszono dwa referaty wpisujące się w nurt badań nad sztambuchami. Fernanda Vera Malhue (Uniwersytet w Chile) w prezentacji *The musical and cultural imaginary in Isidora Zegers's "album amicorum"* zaprezentowała sylwetkę Isadory Zegers w kontekście sieci powiązań społecznych, uwidocznionej dzięki jej albumowi odwiedzin (Album Rojo, ok. 1850). Magdalena Oliferko-Storck (Uniwersytet w Bernie) w referacie *The Schumann-Album as an anthropological study of the culture of gift exchange* ukazała zjawisko wpisów sztambuchowych w szerokim kontekście społecznym. Autorka omówiła zachowany w postaci 338 luźnych kart album Clary Wieck-Schumann, w którym znalazły się manuskrypty, które młoda pianistka otrzymała m.in. od Chopina, Liszta i Mendelssohna.

Prowadzenie drugiej sesji pierwszego dnia obrad objął Jeffrey Kallberg, a tematyka referatów przesunęła się w kierunku kultury salonowej. Christine Elizabeth Wisch (Uniwersytet Southern Indiana) w referacie *'A Philharmonic Woman': negotiating music, gender, and performance in mid-nineteenth-century Spanish salons and associations* poruszyła problem oczekiwań społecznych w stosunku do kobiet, wykonujących muzykę w salonach. Na przykładzie albumu Królowej Marii Krystyny de Borbón (1806-1878) Wisch omówiła



Fryderyk Chopin



George Sand

charakter muzyki wykonywanej przez kobiety w salonach. Do „dobrze widzianych” gatunków należały walce i romanse, pisane przez mężczyzn. Ambivalentny stosunek do stale rosnącej roli kobiet w muzyce autorka ukazała na przykładzie satyry *The Philharmonic Woman*. Anja Bunzel (Akademia Nauk Republiki Czeskiej) w referacie *Nineteenth-Century Salon Culture and Hidden Women's Autobiography in Johanna Kinkel's 'Friedrich Chopin als Komponist'* zarysowała sylwetkę Johanny Kinkel, kompozytorki i autorki zapomnianej pracy teoretycznej Fryderyk Chopin jako kompozytor (*Friedrich Chopin als Komponist*). Kinkel łączy analizy teoretyczne ze wskazówkami interpretacyjnymi i odniesieniami intertekstualnymi, m.in. do poezji Heinego czy von Platen.

Sesję zamknęła prezentacja australijskiego pianisty Dylana Hendersona *'A fragrance of the freshest flowers': Chopin, Pleyel and the soprani sfogati*. Autor zwrócił uwagę na fascynającą Chopina włoskim *bel canto*, a w szczególności niuansami dynamicznymi i techniką *mezza voce*. Z perspektywy praktyki wykonawczej Henderson omówił paralele pomiędzy wysoce cenionymi przez Chopina fortepianami Pleyela, a głosem wokalnym. Autor podkreślił, że fioritury Chopina mogą być odczytywane jako wspomnienie występów wirtuozek śpiewu tego czasu, określanych mianem *soprani sfogati*.

Ostatnią sesję pierwszego dnia poprowadziła Nicole Grimes. Dwa referaty tej sesji wprowadziły zagadnienia muzyki i pianistyki jako elementu wychowania dziewcząt

w XIX wieku. Virginia Sánchez Rodríguez (Uniwersytet Kastylii-La Manchy) w referacie *Marie Mennessier-Nodier, a female amateur musician in the age of Chopin* zainteresowała się postacią Marie Mennessier-Nodier, pisarki i kompozytorki, która przez wiele lat prowadziła salon artystycznym. in. w Metz. Badaczka zaprezentowała również dorobek kompozytorski Mennessier-Nodier zestawiony w oparciu o manuskrypty i pierwodruki zachowane w Bibliotece Narodowej Francji oraz w kolekcji prywatnej Sánchez Rodríguez w Hiszpanii.

Paulina Andrade Schnettler (Alanus Hochschule für Kunst und Gesellschaft) przedstawiła krajobraz kulturowy i muzyczny Chile XIX wieku. Tytuł jej referatu – *'A profession that protects them from poverty and corruption...': Women, musical work and authorial identity in 19th-century Chile* – zawiera cytat z wypowiedzi kompozytora i dyrygenta José Zapioli, który odniósł się w ten sposób do sytuacji kobiet podejmujących studia w Konserwatorium. Ufundowane w 1850 roku Narodowe Konserwatorium w Santiago, w czasach gdy dziewczęta nie miały dostępu do edukacji w uniwersytetach, zapewniało kobietom dostęp do edukacji i możliwość zdobycia kwalifikacji do wykonywania zawodu muzyka lub nauczyciela, a tym samym chroniło osoby ubogie od wypadnięcia poza margines społeczny. W dyskusji po wystąpieniach obu prelegentek padły pytania o oczekiwania społeczne w stosunku do kobiet w XIX wieku, i na ile te przekonania i uprzedzenia mogą mieć skutki do dziś.



Clara Wieck-Schumann

Drugi dzień obrad rozpoczął wykład Katarzyny Nadana-Sokołowskiej (Instytut Badań Literackich PAN) na temat bohaterki powieści George Sand (*Female singers in George Sand's novels*). Autorka śledzi motyw śpiewaczki w twórczości George Sand (m.in. *La Prima Donna*, *Mademoiselle La Quintinie*, *Consuelo – Comtesse de Rudolstadt*) kładąc nacisk na rozwój talentu muzycznego oraz pokonywania trudności wewnętrznych i zewnętrznych wywierających wpływ na rozwój kariery.

Powiązany tematycznie z wykładem był pierwszy referat pierwszej sesji tego dnia: Anne Teresa Marcoline (Uniwersytet Houston-Clear Lake) również odniosła się do dorobku George Sand. W referacie *Attentive listening, care, and social change in George Sand's musical fiction* przedstawiła obrazy muzyczne w piśmiennictwie francuskiej pisarki. Szczególną rolę referentka przywiązuje do opisów improwizacji muzycznych jako medium relacji interpersonalnych za sprawą aktywnego słuchania.

Sesja południowa drugiego dnia konferencji poprowadzona przez Davida Kasunica koncentrowała się wokół zagadnień chopinologicznych.

Cristina Pascu (Narodowa Akademia Muzyczna Gheorghe Dima) w referacie *Marcelina Czartoryska and the afterlife of Chopin's style: informal mediation, gendered authority, and the formation of a performance tradition* omówiła rolę Marceliny Czartoryskiej w podtrzymaniu chopinowskiej tradycji wykonawczej.

Referat Laury Stokes (Uniwersytet Browna) na temat transkrypcji mazurków Chopina na głos i fortepian (*Jenny Lind and Otto Goldschmidt's transcriptions of*

Chopin's mazurkas for the concert hall) pod nieobecność autorki odczytał Joe Davies.

Laure Schnapper (Szkoła Zaawansowanych Badań w Naukach Społecznych, EHESS) w referacie *Berthe Marx-Goldschmidt (1857–1925), first female pianist to perform Chopin's complete Preludes and Etudes* zarysowała sylwetkę wybitnej francuskiej pianistki, która pomimo, że za życia zbudowała wielką karierę, to dziś wspomniana jest jedynie w kontekście współpracy kameralnej z Pablem Sarasate.

Sesję popołudniową poprowadziła najpierw Katarzyna Naliwajek, a następnie John Rink.

Działalność Wandy Landowskiej w kontekście tradycji chopinowskiej omówiła Karolina Kolinek-Siechowicz (*Against the excesses of Romanticism: Chopin's legacy as a source of Wanda Landowska's search for authenticity*), natomiast Tomasz Fatalski (Uniwersytet Warszawski) przedstawił działalność pianistki Jadwigi Brzozowskiej-Méjan (*'She is one of the best pianists we have ever heard': Jadwiga Brzowska-Méjan and her musical career*).

Renata Bittencourt de Assis Pereira (Sorbonne) zaprezentowała sylwetkę Camille Erard, która po śmierci męża, przez ponad czterdzieści lat podtrzymywała działalność słynnej wytwórni fortepianów, oraz pianistki Marie Jaëll, stałej bywalczynie salonu Erarda (*Marie Jaëll and Camille Erard: a chronicle of two Alsatian women in the Parisian musical scenario in the 19th century*). Szczególną uwagę autorka poświęciła działalności pedagogicznej Jaëll, a zwłaszcza opatentowanemu przez tę pianistkę aparatowi wspierającemu naukę gry. Po zakończonym referacie padły pytania na temat możliwości rekonstrukcji aparatu Jaëll i celowości jego wykorzystania w pedagogice fortepianowej.

Na zakończenie drugiego dnia działalność koncertową i pedagogiczną Héléne de Montgeroult przedstawił Jérôme Dorival (Conservatoire de Lyon), autor monografii poświęconej tej wybitnej francuskiej pianistce.

Ostatni dzień konferencji otworzył entuzjastycznie przyjęty wykład Candace Bailey (Centralny Uniwersytet Karoliny Południowej) na temat znaczenia Chopina w kontekście przemian społecznych w południowej części Stanów Zjednoczonych (*Chopin as signifier of social change in the Southern United States*). Wskazała ona na gwałtowne przemiany społeczne i obyczajowe związane z wybuchem Wojny Secesyjnej, a także rodzącym się ruchem sufrażystek.

Sesję poranną skupioną wokół muzyki niemieckiej poprowadziła Henrieke Rost. Dorothea Hilzinger wraz z Christine Hoppe (Akademia Sztuk w Berlinie) zaprezentowały rolę kompozytorek w kształtowaniu gatunku kwartetu w XIX wieku (*Staging gender in 19th-century string quartets: exploring female composers and performers*). Natomiast Seonhwa Lee omówiła sonaty wiolonczelowe Emilie Mayer, ze szczególnym



Hélène de Montgeroult

W ostatniej sesji, poprowadzonej przez Halinę Goldberg, znalazły się trzy referaty. Karol Rzepecki (Katolicki Uniwersytet Lubelski) omówił w oparciu o materiały źródłowe rolę kobiet w krajobrazie muzycznym XIX-wiecznego Lublina (*Musical activity of women in 19th-century Lublin – a source study*).

Katarzyna Naliwajek (Uniwersytet Warszawski) przedstawiła sylwetki pianistek żydowskiego pochodzenia, których działalność została brutalnie przzerwana przez wybuch II Wojny Światowej (*Long Nineteenth Century, Chopin's tradition and its forced discontinuation – Jewish female pianists victims of Nazism*). W swoich badaniach wsparła się na publikacji wydanej zaraz po wojnie przez Emmę Altberg pod tytułem *Pianiści Polscy (1947)*.

Tiziana Palandrani (Uniwersytet Sassari) w swoim referacie *'Votre délicieuse surprise': an unpublished letter to Chopin*

omówiła do tej pory niepublikowany liścik wysłany przez śpiewaczkę Laure Cinti-Damoreau do Chopina. Stał się on pretekstem do zaprezentowania niezwyklej postaci śpiewaczki, kompozytorki i pedagoga Konserwatorium Paryskiego.

Należy uznać, że konferencja pozwoliła na zarysowanie szerokiego horyzontu problemów i zagadnień, z jakimi mierzą się osoby badające rolę kobiet w kulturze XIX wieku. Z jednej strony wiele czasu poświęcono na działalność kobiet w sferze salonu, a z drugiej na budowanie przez artystki profesjonalnych karier i wkraczanie na wielkie estrady koncertowe. Kobiety musiały mierzyć się z różnorodnymi przeciwnościami, a także oczekiwaniami społecznymi. Wielka szkoda, że konferencji o tak wyjątkowej tematyce nie towarzyszył żaden koncert. Po wysłuchaniu referatów na temat twórczości takich kompozytorek jak Emilie Mayer, Ethel Smyth, czy też Hélène de Montgeroult, publiczność z przyjemnością wysłuchałaby również koncertu z marginalizowanym programem.

uwzględnieniem problemów wykonawczych (*Emilie Mayer's cello sonatas: creativity and reception in 19th-century Berlin*).

W kręgu muzyki kameralnej pozostał również referat Katarzyny Bartos (Akademia Muzyczna im. K. Lipińskiego we Wrocławiu) pod tytułem *Sounds without taboo – analysis and interpretation of selected violin sonatas by 19th-century female composers*. Porównała ona powstałe w latach 70' i 80' XIX wieku sonaty skrzypcowe Pauliny Viardot, Amandy Maier i Ethel Smyth.

W sesji popołudniowej prowadzonej przez Joe Davisa, referat na temat rozpowszechniania muzyki Chopina w Niderlandach wygłosił Floris Meens (Uniwersytet Radboud). W referacie *Chopin in the Netherlands during the long nineteenth century* podkreślał szczególną rolę pianistek jako wykonawczyń utworów Chopina i jako solistek w koncertach fortepianowych tego kompozytora.

Jako kolejny wystąpił Kwen-Yin Li (Uniwersytet Yang Ming Chiao Tung) w referacie *Effeminate Chopin in the eye of effeminate Orient* przedstawił swoje badania nad recepcją muzyki Chopina w Chinach i na Tajwanie z perspektywy gender studies.

MAŁGORZATA KAROLINA PIEKARSKA



DRZEWO MAURYCEGO

Rozdział trzeci: Marysieńka, czyli pierwsze śledztwo

– To jest wasza nowa koleżanka – powiedziała wychowawczyni, gdy po uroczystym rozpoczęciu roku na sali gimnastycznej piąta C wróciła do klasy.

Historyczka Halina Nowak była dość potężną kobietą, którą przed laty, ze względu na podobieństwo do aktorki grającej w filmie *Ogniem i mieczem* starsi uczniowie nazwali Horpyną. W powieści Sienkiewicza Horpyna była wprawdzie wiedźmą, historyczka zaś miała niezwykle łagodne usposobienie, ale warunki fizyczne sprawiły, że nadana jej przed laty ksywka zrosła się z osobą. Horpyna rymowało się zresztą z imieniem Halina, dzięki temu gdy ktoś przy innych nauczycielach wyrwał się z tym określeniem, udawał przejęzyczenie i zwał wszystko na rzekomo niedawną lekturę Sienkiewicza. Halina Nowak swoje przezwisko przyjęła zresztą ze stoickim spokojem. Po szkole krążyła nawet opowieść, że uznała, iż może w ten sposób skłonić uczniów do obejrzenia filmu, a może nawet przeczytania książki, i tym samym zainteresowania się literaturą lub historią.

Maurycy lubił wychowawczynię, bo potrafiła w sposób fascynujący opowiadać o dawnych czasach. Teraz stała przed całą klasą obok nowej uczennicy, a jej potężna sylwetka mocno kontrastowała z drobniutką figurą dziewczyny. Nieznajoma miała lekko falujące, jasne blond włosy i była ubrana w białą, niezwykle elegancką sukienkę z falbanką, w której wyglądała prawie jak aniołek. O tym, że aniołkiem nie jest, świadczyła mina. Patrzyła na klasę hardym wzrokiem.

– Zanim znajdziemy dla ciebie miejsce – zaczęła Horpyna, kładąc dziewczynce dłoń na ramieniu – zdradź, jak się nazywasz i skąd do nas przyjechałaś?

Nowa nie odpowiedziała jednak od razu. Przez chwilę, wydmajając wargi, wodziła wzrokiem po klasie, a potem zaczęła niby od niechcenia poprawiać wiszącą na ramieniu niezwykle elegancką torebkę. Na widok tego dodatku dziewczynki zaczęły szeptać między sobą, podając z ust do ust, jak w zabawie w głuchy telefon, nazwę jakiejś drogiej marki. Ta jednak nic nie mówiła żadnemu z chłopców, którzy zdezorientowani patrzyli to na nową, to na podekscytowane koleżanki. Maurycy chyba jako jedyny pozostawał absolutnie nieporuszony. Nowa średnio go interesowała, choć gdyby ktoś go spytał, to obiektywnie przyznałby, że jest ładna. Patrzył na nią jednak obojętnie. Wszystko dlatego, że nie miał humoru. Nagle zrozumiał, że brak w klasie Piotrka to dla niego coraz większy problem. Zawsze stanowili paczkę we cztery, bo oprócz Piotrka trzymał się jeszcze z Bartkiem i Wojtkiem, z którym Maurycy bardzo często się przekomarzał. Jednak podział był taki, że nawet jak grali w ping-ponga, to ustawiali się w pary, w których zawsze małowówny Bartek był z wyszczekany Wojtkiem, a on z Piotrkem. Tak zresztą siedzieli w ławkach. Teraz nagle został bez swojego kumpla. I o ile jeszcze w ubiegłym roku przez jakiś czas była szansa, że to się zmieni, bo Piotrek do klasy wróci, o tyle teraz stało się jasne, że takiej szansy nie będzie już nigdy. Dlatego jego paczka była wybrakowana. A on miał wrażenie, że zaczyna

w niej stanowiąc nie trzecie koło u kulawego wozu, ale piąte przy sprawnej maszynie.

Nagle z ust nowej padło zdanie:

– Nazywam się Marysieńka...

Użyte przez nią zdrobnienie imienia wywołało w klasie tak powszechną wesołość, że nawet Maurycy się zaśmiał.

– Cicho! – Wychowawczynie uderzyła pięścią w stół.

Choć to zawsze działało, tym razem powakacyjne rozluźnienie sprawiło, że klasa zamilkła dopiero po chwili.

– Marysieńka? – spytała Horpyna, jakby chcąc się upewnić, czy i ona, i cała klasa dobrze słyszeli. – Czy nie jesteś za duża na taką formę imienia?

– Nie. Imię mam po praprababce. Ją tak nazywano, gdy była dorosła. Praprababka była królową.

– Rozumiem – powiedziała powoli zdezorientowana Horpyna, unosząc przy tym lekko brwi ze zdumienia i starając się utrzymać powagę. – To jeszcze podaj nazwisko i powiedz nam, skąd jesteś?

– Sobieska – powiedziała Marysieńka, wymawiając swoje nazwisko przeciągle, po czym błyskawicznie jeszcze raz bardzo głośno powtórzyła swoje imię wraz z nazwiskiem, jakby chcąc, by wszystkim wryło się ono w pamięć: – Marysieńka Sobieska!

Najwyraźniej chciała zobaczyć, jakie wrażenie zrobiło to na koleżeństwie, bo po raz kolejny wyniosłe rozejrzała się po klasie. Dwadzieścia trzy pary oczu patrzyły na nią w zupełnej ciszy. Większość uczniów była po prostu zdumiona jej pyszałkowatym tonem.

– Aha. Przyjechałam do Polski z Francji – dodała po chwili. – Ojczyzny przodków ze strony prababki – dorzuciła znów Marysieńka, a ponieważ i to stwierdzenie nie spotkało się z żadną reakcją ze strony pozostałych uczniów, którzy milczeli jak zakłęci, więc dodała jeszcze jedno słowo: – Królów! – Co powiedziawszy, poprawiła na szyi złoty wisiorek, a na palcu jakiś pierścionek.

Po twarzy Horpyny przebiegło coś na kształt uśmiechu. Jednak lata nauczycielskiej praktyki sprawiły, że na więcej sobie nie pozwoliła. Nie chciała, by jej reakcja w jakikolwiek sposób zaważyła na przyjęciu nowej uczennicy przez resztę klasy. Dlatego z kamienną twarzą rozejrzała się po uczniach, a dostrzegłszy puste miejsce obok Maurycyego, powiedziała:

– Siądziesz razem z Maurycym. Macie takie same inicjały, więc na pewno się dogadacie. Zresztą jesteście obok siebie na liście obecności.

Marysieńka wyduła wargi i spytała:

– Takie same inicjały, czyli MS? Jak się ten chłopiec nazywa?

– Tylko Maurycy Szymczak. Nie książę – odparł Maurycy, wzruszając ramionami.

Marysieńka zareagowała błyskawicznie, wydymając wargi

i mówiąc:

– Wzruszanie ramionami oznacza brak wychowania! Nikt ci nie mówił?

– Masakra – mruknął Maurycy pod nosem, co na szczęście umknęło uwadze koleżanki z ławki.

Przez resztę lekcji nie odzywali się do siebie. Wychowawczynie poinformowała, że w tym roku to ich klasa przygotowuje Dzień Nauczyciela, o czym będą rozmawiać szczegółowo kiedy indziej, a potem ruszyła między ławki, rozdać uczniom kartki, z których pierwsza zawierała plan lekcji, a druga informacje dla rodziców wraz z terminem pierwszego zebrania. Maurycy kątem oka obserwował nową koleżankę. Podchwyciła jego wzrok, bo spytała:

– Czemu tak mi się przyglądasz?

Ale Maurycy nie odpowiedział, tylko znów wzruszył ramionami, co nowa koleżanka po raz kolejny skwitowała stwierdzeniem, że jest źle wychowany. A na końcu dorzuciła:

– W sumie nie ma się co dziwić. Szymczak! To nie jest szlacheckie nazwisko.

Ostatnie zdanie usłyszała Horpyna, która natychmiast podeszła do ich ławki i powiedziała:

– Moje brzmi Nowak i też nie jest szlacheckie – a widząc zdumioną minę Marysi, dodała po chwili: – O szlachcie i jej roli w historii Polski nieraz będziemy tu rozmawiać. Zobaczysz, że nie zawsze jest się czym chwalić. Poza tym wszyscy pamiętajcie: dumnym można być z własnych osiągnięć, a nie z zasług przodków. Na szczęście również ich grzechy to nie nasza wina.

Na Marysieńce jednak słowa nauczycielki nie zrobiły chyba żadnego wrażenia, bo gdy skończyły się zajęcia i Horpyna wyszła z sali, dziewczynka, poprawiwszy włosy, założyła na ramię tę wzbudzającą zainteresowanie koleżanek torebkę i majestatycznym krokiem ruszyła w kierunku drzwi, zamykając je za sobą dość głośno.

– Jakaś wariatka – powiedziała Ula, która zawsze w klasie wiodła prym.

– Może to forma obrony – stwierdziła Klaudia, a widząc zdumione spojrzenie koleżanki, wyjaśniła: – Czytałam ostatnio w jednym piśmie dla kobiet, że niektórzy ludzie ze stresu przybierają czasami maski i udają kogoś innego, niż są w rzeczywistości.

– Ale żeby księżniczkę? – zdumiał się Maurycy.

– Królowę – poprawił go Wojtek, ale tego z kolei poprawiła Ula, parodiując Marysieńkę:

– Królową!

– Masakra – westchnął Maurycy i noga za nogą powlókł się w kierunku drzwi.

Za nim ruszyła reszta uczniów. Gdy cała piąta C wyszła ze szkoły, okazało się, że nowa koleżanka stoi przed budynkiem z nowiutką elektryczną hulajnogą. Taką, o której większość

z nich marzyła, ale nawet nie ośmieliła się powiedzieć o tych marzeniach rodzicom. Hulajnoga była bowiem niezwykle droga. Ta trzymana przez Marysię wzbudziła powszechne zainteresowanie uczniów, zwłaszcza młodszych klas, którzy zgromadzili się wokół dziewczynki. Tymczasem Marysieńka, zauważywszy, że jej klasa jest już przed budynkiem, wskoczyła na hulajnogę i nacisnąwszy manetkę, krzyknęła głośno:

– Mój przodek był królem! Dlatego z drogi, śledzie! Królowna jedzie!

Ten okrzyk w wykonaniu Marysi sprawił w osłupienie stojących przed szkołą, poza uczniami z piątej C, którzy przecież już to wszystko słyszeli. Dlatego większość z nich popatrzyła na nową koleżankę z politowaniem. Tymczasem Marysieńka zrobiła na hulajnodze kółko, niemal wpadając pojazdem na Maurycyego.

– Masakra – wypowiedział głośno swoje ulubione słowo, myśląc przy tym, że prawdziwe królowny na pewno tak się nie zachowują. Wtedy Marysieńka zahamowała z piskiem opon i stanąwszy przed Maurycym, powiedziała wyraźnie do niego:

– Co, Szymczak! Zazdrościsz? Też byś pojechał do domu na hulajnodze. Ale nie stać cię! To jest drogi sprzęt! I ludzi z królewskich rodów na to stać!

Maurycy jednak znów wzruszył ramionami, niepomny, że ten gest może się spotkać z uwagą o złym wychowaniu. Zanim jednak Marysieńka otworzyła usta, by po raz kolejny mu to wytknąć, błyskawicznie wypalił ze złością:

– Na grzyba mi taka hulajnoga, gdy mieszkam pięćdziesiąt metrów stąd? Więcej targania tego po schodach wte i wewte! – wykrzyknął i wyminąwszy osłupiałą koleżankę, puścił się biegiem do domu, do dziadka. Był zły, że zamiast Piotrka ma w ławce taką wariatkę. Co za pech!

Wtorek, 1 września, g. 12:47

Ula Bielecka na Facebooku

(zdjęcie budynku szkoły)

Nowa w klasie to porażka. Czy ta kretynka jest na fejsie? Ktoś coś?

Statystyka: Post polubiło siedem osób.

Krzyś Mioduszeński: *To nie kretynka, to królowna... he he!*

Wojtek Smok: *Też na k.*

Ewa Borowska: *Coś sugerujesz? Co na k. masz na myśli?*

Wojtek Smok: Ewa Borowska. *Na przykład koczkodan.*

Ula Bielecka: *Albo kapucynka.*

Klaudia Karnawska: *Jednym słowem małpa!*

Maurycy Szymczak: *Dajcie spokój! Ja z nią siedzę.*

Wojtek Smok: *Smuteczek, smuteczek...*

Maurycy mieszkał już u dziadka i miał tam swój pokój. Wcześniej był to gabinet babci, ale od jej śmierci stał pusty. Dziadek wykorzystywał go jako część biblioteczną, i to z rzadziej używanymi książkami, oraz jako pokój gościnny. Stał tam rozkładany fotel, w którym kiedyś siadywała babcia, czytając, a na którym Maurycy spał, gdy mieszkał tu przed laty. Teraz ów mebel znów był jego posłaniem. A pokój stał się jego, i tylko jego, twierdzą. Na biurku, używanym niegdyś przez babcię, położył laptop. Maurycy wreszcie mógł spokojnie siedzieć i grać w gry, czytać, bawić się i w ogóle być bez Cypisa, który na co dzień bez przerwy mu we wszystkim przeszkadzał. Dlatego do dziadkowego mieszkania wpadł jak szalony, informując Jakuba Muszyńskiego od progu o tym, że w klasie jest nowa uczennica. Ciekaw był, co dziadek na to powie. Czy to możliwe, żeby Marysieńka była praprawnuczką króla?

– Niemożliwe – odparł dziadek, wysłuchawszy jego opowieści.

Pokuśtykał do kuchni wsparty na ramieniu Maurycyego. Tam pokazał mu, że zupę jarzynową z mrożonki ugotował, ale ziemniaki to już wnuk musi sam obrać.

– Sam też musisz pokroić pomidory z cebulą – dodał i pokazał, że w lodówce są podrzucone przez mamę kotlety mielone.

Minęło pół godziny, gdy obaj siedzieli w dużym pokoju i jedli obiad. Maurycy był dumny z tego, jak poradził sobie w kuchni. Ziemniaki nie tylko obrał, lecz także pod czujnym okiem dziadka ugotował i co najważniejsze nie przesolił. Pomidory i cebulę też pokroił, choć nie obyło się bez płaczu. W pewnym momencie nic nie widział przez cebulowe łzy.

– Dlaczego niemożliwe? – spytał dziadka, który niezdarnie jadł zupę lewą ręką.

– Co niemożliwe? – spytał dziadek, który opowieść wnuka o koleżance utrzymującej, że jest królowną, puścił mimo uszu i teraz kompletnie nie miał pojęcia, czego dotyczy pytanie.

– No... czemu nie jest możliwe, by ta moja nowa koleżanka z klasy była praprawnuczką króla?

Dziadek popatrzył na Maurycyego z niedowierzaniem.

– Rozumiem, że masz w szkole kłopoty z matematyką, bo ja też miałem, ale myśl logicznie, proszę.

– To znaczy? – spytał Maurycy i zrobiło mu się trochę przykro. Nie wiedział, czemu dziadek uważa, że on nie myśli logicznie.

– Jeżeli twoja koleżanka twierdzi, że jest praprawnuczką polskiego króla, to nie jest to możliwe.

– Dlaczego?

– Maurycy! – Głos dziadka był karcący. – Dlatego że ostatni król Polski, czyli Stanisław August Poniatowski[1], zmarł bezdzietnie – dziadek wypowiedział to zdanie, cedząc każdy wyraz osobno. – Gdyby on nawet miał dzieci, to ona musiałaby być jego... – Tu dziadek zaczął liczyć na palcach. –

Jedno pokolenie to trzydzieści lat, więc... ona musiałaby być jego jakoś tak... siedem, a może nawet i osiem razy prawnuczką, czyli prapraprapraprapra... zgubiłem się. No, ale sam widzisz, że dużo pra. I ta twoja koleżanka nie może być jego praprawnuczką.

– Masakra – westchnął Maurycy i zamyślił się. Przez chwilę w milczeniu dłużył widelcem w kotlecie i obserwował dziadka próbującego lewą ręką pokroić swój kotlet. – Może ja ci pokroję? – Maurycy sięgnął w kierunku talerza starszego pana.

– Masakra – stwierdził dziadek, naśladowując głos Maurycyego. Po chwili obaj parsknęli śmiechem. – Tylko mnie nie karm! – zastrzegł dziadek i nadział na widelec kawałek pokrojonego kotleta.

– Dziadku, ale mnie się wydaje, że to nie chodzi o tego ostatniego króla tylko wcześniejszego, bo ona...

– Tym bardziej nie jest praprawnuczką – stwierdził dziadek, przerywając Maurycemu.

– ... nazywa się Marysienka Sobieska. – Maurycy wypowiedział jej imię i nazwisko, parodiując sposób, w jaki się przedstawiła, a dziadek ryknął takim śmiechem, że aż się posmarkał.

– Co w tym śmiesznego?

– Szczerze? – spytał dziadek, gdy wreszcie udało mu się uspokoić.

– No szczerze.

– Dowiedz się sam. Masz szansę przeprowadzić swoje pierwsze prawdziwie detektywistyczne i genealogiczne śledztwo. Pomoże ci w tym internet.

– Ale jakie śledztwo, dziadku?

– Zbadaj potomków króla Jana III Sobieskiego[2] i jego żony, słynnej Marysienki[3].

Maurycy zerwał się od stołu. Chciał od razu zająć się śledztwem. Jednak dziadek go zatrzymał.

– Hola! Mój drogi! Miałeś być poważny i odpowiedzialny. Dlatego po pierwsze: dojeżdż. Po drugie: pozmywaj, po trzecie: pomóż mi dojść do gabinetu, a po czwarte nakarm Pirata i sprzątnij mu kuwetę.

Maurycy westchnął ciężko, ale spełnił wszystkie prośby dziadka. W końcu tylko pod tym warunkiem, że będzie mu pomagał, mógł u niego mieszkać i cieszyć się własnym pokojem, bez towarzystwa wiecznie jęczącego i bałaganiącego Cypisa. Czterdzieści minut później siedział zresztą w tym pokoju przy swoim laptopie, prowadząc, tak jak powiedział dziadek, pierwsze genealogiczne śledztwo. Jego celem było zdemaskowanie koleżanki Marysienki, w której królewskie korzenie nie bardzo wierzył.

Wtorek, 1 września, g. 16:47

Messenger. Wojtek Smok i Maurycy Szymczak:

Wojtek Smok: *Elo! Jesteś tam?*

Maurycy Szymczak: *Jestem.*

Wojtek Smok: *Ta Marysienka to jakaś walnięta jest.*

Maurycy Szymczak: *Mnie to mówisz? Przecież to ja z nią siedzę, więc najlepiej to widzę.*

Wojtek Smok: *Nie ma konta na fejsie. Nic nie można sprawdzić. Myślisz, że ona naprawdę mieszkała we Francji?*

Maurycy Szymczak: *Nie wiem. Ale możesz ją jutro spytać.*

Wojtek Smok: *Ja?*

Maurycy Szymczak: *A kto? Ja?*

Wojtek Smok: *Bujaj się. Nie będę jej pytał.*

Maurycy Szymczak: *Czemu?*

Wojtek Smok: *Jeszcze sobie coś pomyśli.*

Maurycy Szymczak: *Co miałyby sobie pomyśleć?*

Wojtek Smok: *Że mi się podoba albo co...*

Maurycy Szymczak: *A nie podoba?*

Wojtek Smok: *Bujaj się!*

Maurycy Szymczak: *Aaaa, czyli coś jest na rzeczy?*

Wojtek Smok: *Bujaj się!*

Maurycy Szymczak: *Trafiałem? Ula wie?*

Wojtek Smok: *Spadaj, ciućmolcu!*

Maurycy Szymczak: *No to mam spadać czy bujać się?*

Maurycy wrócił do swojego śledztwa. Szybko okazało się, że zdemaskowanie Marysienki nie jest trudne. Do wyjaśnienia zagadki Maurycemu wystarczyła... Wikipedia. Tam szybko przeczytał, że Jan III Sobieski miał dwanaścioro dzieci, z czego czworo zmarło zaraz po narodzeniu. Wśród dzieci, które przeżyły, były cztery córki, ale ich dzieci nie miały na nazwisko Sobieski, bo córki powychodziły przecież za mąż. Natomiast z czterech synów króla: Jakuba Ludwika zwanego Fanfanikiem, Aleksandra Benedykta, Konstantego Władysława i Jana, który zmarł w wieku dwóch lat, jedynie Fanfanik obdarzył ojca wnukami. Sęk w tym, że z szóstki dzieci Fanfanika okres dziecięcy przeżyły trzy córki, których dzieci nie miały na nazwisko Sobieski. Tak więc potomkowie króla Jana III Sobieskiego, nawet jeśli żyli – nie nosili jego nazwiska.

Wtorek, 1 września, g. 18:05

Maurycy Szymczak na Facebooku (bez zdjęcia)

Coś odkryłem! Eureka!

Statystyka: Post polubiło dziesięć osób.

Wojtek Smok: *Bujaj się!*

Wtorek, 1 września, g. 18:09

Messenger. Wojtek Smok i Maurycy Szymczak:

Wojtek Smok: *Jak powiesz komuś, że ona mi się podoba, masz w ryj!*

Maurycy Szymczak: *Wyluzuj!*

Wojtek Smok: *W ryj!*

Maurycy Szymczak: *Masakra!*

Wojtek Smok: *Masakra to będzie z ciebie, ciućmolcu.*

– Wojtek to kretyn! On chyba myśli, że moje odkrycie dotyczy jego i Marysieńki. – Maurycy zaśmiał się pod nosem, a potem jego myśli poszybowały w kierunku dokonanego odkrycia, więc krzyknął głośno: – Mam cię, kłamczucho!

W tym momencie z drugiego pokoju dobiegł go śmiech dziadka i jego głośno zadane pytanie:

– Rozwiązałeś zagadkę?

– Pewnie! – odrzyknął. – To była łatwizna! Jak jutro jej to powiem, to może przestanie tak zadzierać nosa!

– Korona spadnie jej z głowy – odrzyknął z kolei dziadek, dorzucając na koniec ulubione słowo Maurycego: – Masakra!

Fragment książki:

Małgorzata Karolina Piekarska, *Drzewo Maurycego*, LTW, Łomianki, 2026

Przypisy:

Ze słownika Jakuba Muszyńskiego

Linia wstępna, czyli przodkowie:

1. rodzice (ojciec, matka),
2. dziadkowie (dziadek, babcia),
3. pradiadkowie (pradiadek, prababcia),
4. prapradiadkowie (prapradiadek, praprababcia).

Lina wstępna po ojcu = linia po mieczu (np. babcia po mieczu itd.) lub linia ojczyzna.

Wszyscy mężczyźni przodkowie po mieczu to linia męska (inaczej: patrylinearna).

Linia wstępna po matce = po kądzieli (np. dziadek po kądzieli) lub linia macierzysta.

Wszystkie kobiety po kądzieli to linia żeńska (inaczej: matrylinearna).

Linia zstępna, czyli potomkowie:

1. dzieci (syn, córka),



2. wnuki (wnuk, wnuczka),

3. prawnuki (prawnik, prawnuczka),

4. praprawnuki (praprawnik, praprawnuczka).

[1] Stanisław August Poniatowski (1732–1798) – król Polski w latach 1764–1795. Ocena jego panowania pozostaje przedmiotem sporów. Jest doceniany jako inicjator i współautor reform ustrojowych przeprowadzonych przez Sejm Czteroletni, a także jako jeden z głównych autorów Konstytucji 3 maja oraz mecenas nauki i sztuki. Jednocześnie jest krytykowany za to, że nie zdołał zapobiec rozbiorom i w konsekwencji upadkowi Rzeczypospolitej oraz że został wybrany na tron polski dzięki osobistemu poparciu Katarzyny II i na skutek wojskowej interwencji Imperium Rosyjskiego.

[2] Jan III Sobieski – (1629–1696) – król Polski od 1674. Uważany za jednego z najwybitniejszych polskich monarchów i wodzów. Bohater bitwy z Turkami pod Wiedniem w 1683 r. został później odznaczony przez papieża Innocentego XI tytułem *fidei defensor*, czyli „obrońca wiary”. Przez pokonanych w bitwie Turków zwany „lwem Lechistanu”.

[3] Maria Kazimiera de La Grange d'Arquien, zwana Marysieńką – (1641–1716) – królowa Polski, żona króla Jana III Sobieskiego.



MAREK SOŁTYSIK

UMIERANIE MĘCZYZNY PO PRZEJŚCIACH

Caffè Greco. Aleksander, zdyszany, dosiadł się do grupy polskich artystów. Wracał z Via Flaminia, więcej ostatnio przebywał w pracowni Madeyskiego niż u siebie, gdzie mu było smutno.

– Głupi Polacy – zakończyła znany mu spór Niemka, świeża mężatka, toteż od niedawna o polskim nazwisku. – Z powodu nędznego klapsa robią tyle hałasu. W Niemczech jeden z nich dostał w twarz, drugi zapłacił grzywnę w wysokości pięciu marek i znowu było cicho.

Miejsce pobytu, bo przecież nie ojczyzna. A jednak! Ta część starożytnego i starego Rzymu, która była miejscem jego pracy i wypoczynku, długie trasy, które pokonywał zazwyczaj pieszo, cienie rzucane przez kilkunastowieczne, bliskie ruiny, lecz funkcjonujące budowle – wszystko to zdawało się przekonywać, że tu jest ojczyzna.

Mężatce w Caffè Greco chodziło o spór natury etycznej, rozpatrywany przez członków kolonii polskiej już od kilku tygodni. Ktoś wścibski, kogo już na tym złapano, naplotkował, że dziecko pewnych zachodzących tam również polskich małżonków urodziło się wprawdzie zdrowiutkie, ale już w czwartym miesiącu po ślubie. No więc spoliczkowanie, groźba oddania sprawy do sądu i w końcu spokojna próba rozstrzygnięcia, która wyszła od Gierymskiego:

– Myśmy przecież cyganie, nie mieszczanie. Puśćmy w niepamięć. – Jak widać, Polacy drążyli dalej. Mitygował się, chmurny: – Paziento...

Posiedział jeszcze dwie godziny, już obrócony do siebie i tym razem w ciemną noc powędrował nie do rzeźbiarza Madeyskiego, jak to miał w zwyczaju ostatnio, lecz do swojej pracowni.

– Nic z tego, to tylko wygodne miejsce do życia – pomrukiwał w swojej obszernej komnacie o ścianach świeżo pokrytych wapnem.

W części z oknem na północny wschód – trzy sztalugi; dwie z obrazami zasłoniętymi szmatami, jedna z zaczętym, wyraźnie przebarwionym, czekającym na uspokojenie; na podłodze ustawiono licem do ściany tylko jedno płótno na nowiutkim blejtranie, większych rozmiarów niż tamte rozpoczęte. Dalej piec ze śladami historycznej urody i paka z węglem. W części z oknem na zachód – obszerne leże pokryte owczą sierścią, na nim czytane, porozkładane byle jak książki, notatnik, szkicowniki, wreszcie sam malarz. Uspokajał się po awanturze, której śladem przybywali tu od kilku dni miejscowi artyści i ciekawscy z kolonii polskiej. Bezsensowne pytania o szczegóły, wypatrywanie, jak też Aleksander wygląda po takim przejściu.

Też mi przejście. Z jednej rzeczywistości w drugą. Gdyby nie ten niedający się usunąć smród na korytarzu. Przechodzi do pracowni przez solidne dębowe drzwi

i nie pozwala zapomnieć o samotnej śmierci staruszka, malarza i rzeźbiarza Galliego, sąsiada przez ścianę. Leżał martwy w wynajmowanej pracowni przez trzy, według lekarzy, tygodnie. Czy pochówek poniewczasie ma jeszcze jakieś znaczenie?

Wygodne miejsce do życia, ale i zasadzka. Ryzyko uniemożliwienia rytuałów. Kopnął w stołek i wybudził się z półsnu. Paluszki pastelu, pinezki i młoteczek rozsypały się po posadzce, ze śladami dawnej świetności, nieustannie pokrywającej się kurzem. Primavera i te wilgotne miazmaty znad Tybru.

Poruszył się na łóżku i nieopatrznie ożywił bóle.

To nie Wisła. A pracownia Madeyskiego, w której woli przesiadywać niż tutaj, to chylący się ku ruinie pałac Papa Giulio, z pracowniami artystycznymi do wynajęcia. Stoi przy via Flaminia. To nie mansarda ekskluzywnej stołecznej kamienicy dla bogatych przy stołecznej ulicy Szpitalnej. Ach, więc to tylko pozory stabilizacji, to nie gospodarz miejsca i czasu codziennie podąża tą samą ulicą do jej początku, przy starożytnej Porta del Popolo i zjada spokojnie obiad w trattorii Al Tre Re (U Trzech Króli) w głębi dość dużej sali, gdzie jest kilka stołów nakrytych białymi obrusami – dla lepszych gości. Nie jest tedy u siebie, ale korzysta z przywilejów. Dopóki to możliwe, nie zginie. Będzie nadal spędzał wieczory w nieodległej Antico Caffè Greco przy via dei Condotti, przecinającej jego błotnistą ulicę. Przy stolikach z marmurowymi blatami i w salonowym wyposażeniu zamieni ze znajomymi parę słów lub nie zamieni i będzie godzinami siedział nad szklanką wina odbijającą się w karafce, zasłonięty włoską gazetą. Zdawał się jak najdalszy od myśli o malarstwie; to zostawiał na czas izolacji w ścianach białej pracowni; w kawiarni myślał nawet nie o polityce, lecz po prostu o Kunsthändlerach. Skończyło się dobre. Najpierw Milewski ograniczył zakupy, teraz tragedia w domu Brunona Abdank-Abakanowicza. Nie otrząśnie się, dopóki nie znajdzie nabywców na to, co malował niedawno w Weronie, gdzie się zatrzymał w drodze z Paryża do Rzymu na dłużej, niż tego pragnął, usiłując rozproszyć traumę wynikłą ze śmierci człowieka malowniczego i wartościowego, inteligentnego bogacza, który był jego przyjacielem. Potrafił ponosić trudy tej osobliwej przyjaźni Aleksandra. Jak to było?

Oprócz wytwornej rezydencji podparyskiej, w której Aleksander z upodobaniem przebywał całymi miesiącami, inżynier Abakanowicz, zamożny wynalazca i przemysłowiec, osiadły w 1881 roku we Francji, miał także własną wysepkę na morzu, w Bretanii. Zbudował sobie na niej dom, do którego od 1895 roku zjeżdżali oprócz gospodarzy Henryk Sienkiewicz; Władysław Mickiewicz, syn wieszczki; Stefan Żeromski; Leon Wyczółkowski, Przebywał tam i Aleksander przez kilka tygodni, ale, jak pisze córka Abakanowicza, Zofia Pstrokońska: „nerwy jego nie mogły znieść tragicznych momentów krajobrazu, zwłaszcza tych księżycowych nocy (dom z wieżyczkami, jak z baśni, był otoczony zewsząd olbrzymimi głazami). Potem już nie przyjeżdżał” – relacjonuje uczestniczka biesiad, wspominając wielogodzinne ojca i Konstantego Górskiego deklamacje zapamiętanych wierszy,

a z innych wieczorów – koncerty fortepianowe Abdank-Abakanowicza z repertuarem Chopina i Schumana.

Pod Paryżem było Aleksandrowi dobrze. Czuł się bezpiecznie, ale do momentu, kiedy za miłym gospodarzem przywlekły się z miasta silne grupy młodych, nowoczesnych ludzi, na marginesie przyjemnego życia próbujących zmienić świat. Zdarzało mu się – podobnie jak we Włoszech, także wśród młodych – wyjść ze skorupy odludka. Zszedł na dół i przyłączył się do toczonej w kłębach tytoniowego dymu i zapachu koniaku dyskusji o parowozach i elektryczności, o tych nabytkach cywilizacji, które ludziom pozwalają się zbliżyć do siebie. Nawet tym, którzy w poprzednich epokach nie mieliby na to szans. Aleksander przysłuchiwał się, opróżniał swój kieliszek, potakiwał, nie byłby jednak sobą, gdyby nie wypalił:

– Ja nie lubię waszej cywilizacji!

Konsternacja, żal młodego Amerykanina, któremu wcześniej Aleksander, jedyny artysta w tym gronie, bardzo przypadł do gustu; płynące odeń, także w imieniu kolegów, prośby o wyjaśnienie niespodziewanego protestu.

– Drodzy, mam w sobie trochę natury Indianina, który wracając wieczorem do siebie, by spocząć, zadaje sobie pytanie: czym to zrobił, co mogłem? Jeżeli tak, mówię sobie: dobranoc, śpij spokojnie. A w tej waszej cywilizacji coś takiego w ogóle wam na myśl nie przyjdzie. Wam chodzi tylko o to, żebyście się podobali i mieli uznanie od innych! Jeżeli jednak każdy spośród was poszuka własnej natury, to z samego siebie zrobi konkurenta w fachu. Wówczas zamiast być szanowanym i mieć zaszczyty, ma tylko wroga w sobie samym. Mówię to tylko jako malarz.

– U nas tak samo, tak samo jest i w innych zawodach – usłyszał i odpowiedział gwałtownie:

– A więc co? W malarstwie, gdy się jest znanym dzięki sukcesowi jakiegoś obrazu, nie da się iść w inną stronę, bo żeby przeżyć i nadal pozornie istnieć w sztuce, trzeba ten obraz powtarzać, z niewielkimi zmianami, bez końca, do śmierci, żeby mieć sukces u innych narodów i zarobić na tym pieniądze...

Potem, w środku tej ostatniej nocy w życiu Abakanowicza, Aleksander, jeszcze podniecony, przedstawiając gospodarzowi treść dyskusji, ubolewał nad miejscem urodzenia i ukształtowania. Kulturę zachodnią porównał do dużego bloku kamienia przez wieki pozostającego w wodzie, która mu zmyła kanty, i przeciwstawił jej kulturę wschodnią, którą porównał do świeżo oderwanej bryły skalnej.

– Na pierwszym można spokojnie spocząć, na drugiej trzeba długo szukać wygodnego miejsca, ponieważ ona jest kanciasta i może sprawić ból podczas siedzenia.

– Ty jesteś już do cna przesiąknięty kulturą zachodu – próbował się uśmiechnąć Bruno Abakanowicz. – Już się nie nabawisz odcisków na tyłku.

Musiał być bardzo zmęczony, ponieważ z trudem wy dostał się z fotela i dziwnie chwiejnym krokiem ruszył z bawialni do

swoich apartamentów.

– Przecież to ja piłem, a nie on – mruknął rozbawiony malarz.

Nalał sobie jeszcze kieliszek, znalazł na stole skrawek papieru, podłużny jak blankiet recepty. Odszukał ołówkę w górnej kieszeni bluzy. Pisał. Przerzywał pisanie i rozglądał się niespokojnie.

Ruch w ogrodzie, przyciszone głosy, kobiecy wrzask.

Abakanowicz zmarł po upadku na trawnik. Możliwe, że gdy upadł, był już martwy.

*

Późnymi wieczorami, wprost z Caffè Greco, zachodził na kolację do przyzwoitej restauracji Fiorellego. Dopiero dobrze po północy docierał z ociąganiem do domu, w którym wynajmował pracownię. Zaczęła mu natomiast przeszkadzać zła sława tego miejsca, nazywanego przez miejscowych casa dei disperati – z powodu coraz liczniejszych samobójstw popełnianych przez lokatorów, przeważnie artystów, którym powodziło się kiedyś lepiej.

Nie przeszkadzały mu natomiast zmyślne zakamarki parteru, niepostrzeżenie wiodące do piwnic dawnego pałacu letniskowego papieża Grzegorza III, gdzie miał pracownię rzeźbiarz Antoni Madeyski. Zachodził, żeby jeszcze nie wracać do siebie.

Madeyski, wielbiciel twórczości Aleksandra, młodszy od malarza o dwanaście lat, ale nowocześniejszy, świetnie zorganizowany, pomagał gwałtownie postarzałemu, wyrecał go w niezbędnych życiowych drobiazgach, ba, udostępnił mu dodatkowy tapczan, gdy czuł, że nocny powrót gościa do domu mógłby okazać się niebezpieczny. Znad półpiętra pracowni artyści opiekuna Gierymski namalował i na miejscu ukończył jeden z najbarwniejszych, niewielkich obrazów Widok z pracowni przy via Flaminia w Rzymie.

Teraz w gazowym świetle oglądał szczegół po szczególe naturalnej wielkości projekt w glinie, czekający na odlew wgipsiefigurykrólowejJadwigiAndegaweńskiej,przeznaczony do katedry wawelskiej.

– Sama subtelność... – zaczął i nagle zawył.

Nie trzeba było być bystrym, aby spostrzec, że dotknięcie chłodnej gliny wywołało w nim skojarzenie z martwą kobietą. Z Binią, której nie chciał dotknąć, ale ręka sama skłoniła się ku zwłokom. Tak dawno temu, a jakby dziś. I z Kłocią, zmarłą w Warszawie przed ośmiu laty. Tamta śmierć, gdy on był w Paryżu, pracował owocnie i właśnie wybierał się z Abakanowiczem do Lyonu, była dla niego zaskoczeniem. Przecież nie ciosem. Mniemał, że utrzymując siostrę i jej dzieci (posyłał regularnie odpowiednie kwoty), nie może się czuć w obowiązku odwiedzać ją w ciężkiej chorobie. Prośbę dogorywającej o przyjazd uznał za fanaberię; myśl o tym, że znajdzie się w jednym pokoju z małymi dziećmi, przyprawiała go o pomieszenie. Rodzina dlań to siostra, ona jedyna pozostała, a chłopiec i dziewczynka, zafascynowani wujem artystą, to jakieś dzieci spłodzone przez obcego dentystę. Nie

pożegnał siostry, to jeszcze nic, że nie obchodził go jej pogrzeb w smętnej Warszawie. Zrzucił z siebie odpowiedzialność i przestał zajmować się siostrzeńcami; sieroty przygarnęli dalsi krewni z Kuczborskich. Ci, zdaniem Gierymskiego, obcy.

– Rzeźba ożyła?

– Jest tak żywa, Antosiu, że oparzyła mnie, złodowaciącego. Żarty żartami. To nerwobóle.

*

– Dookoła znów, jak w mojej wczesnej młodości, nagromadziło się za dużo śmierci – monologował w obecności słuchaczy, Madeyskiego oraz młodych, prosto z Warszawy, Wygrzywalskiego i Okunia. – To oczywiste, że w ten sposób próbuje się sama zacisnąć pętla mojego życia. – Uniósł głowę i spojzeniem stalowych oczu przeszywał zgromadzonych przy smacznym a tanim winie z Castelli Romani. – Uprzedzam, że każde pocieszenie uznaję za próbę lekceważenia moich przeżyć wewnętrznych i przeczuc. Sytuacja jest oczywista i jasna, przeczuję wyrwę, którą mi podstępnie gotuje organizm, może nawet jestem przygotowany na przyjęcie tej niespodzianki bez walki, ale pragnę, mili, byście wiedzieli, że nawet stary artysta, znalazłszy się oko w oko z czymś, co przybywa z zapowiedzią rzeczy ostatecznej, nie opuści rąk; ma ten swój pędzel, może tylko ołówceczek, opowie do końca swoją historię. Nie po to wciąż się odrywał od rzeczywistości, żeby teraz rzucić wszystko i oddać się śmierci jak filister.

Tymczasem nielekko się zadłużył, czekając na kredyt w kwocie pięciuset franków od Zofii, córki zmarłego Abakanowicza. Teraz, tak jak dla jej ojca, malował pejzaże włoskie; tym razem wysłał do jej odziedziczonej po ojcu willi w Parc de Saint-Maur pod Paryżem drobiazgowo malowane motywy z Werony. Pozbył się błyskawicznie tych kilku płócien i odetchnął. Z jednej strony nie mógł patrzeć na te cegiełki, każda odmalowana osobno ze starannością szaleńca, na niebo z czystego kobaltu, wreszcie na tę znakomicie wprowadzie wykreśloną perspektywę, ale która wskutek gier barwnych, farb identycznie natężonych na budowach i drzewach bez względu na to, czy plan jest pierwszy, czy najdalszy, powoduje w przestrzeni niepokój bliski somnambulicznym wizjom. Drażniący. Odstawiał obrazy licem do ściany, lecz i to nie pomagało. Wysłał.

Teraz we względnym spokoju pracował nad kolejnymi motywami z cyklu nokturnów monachijskich, z myślą o ich łatwej sprzedaży nad Izarą. Wszak w Pinakotece Monachijskiej wisi od dziesięciu lat zakupiony przez rząd bawarski jego obraz Plac Wittelsbachów w Monachium w nocy, nagrodzony na wystawie latem 1890 roku złotym medalem drugiej klasy, wartym sto marek ceny kruszcu, gdyby go chciał zastawić. Teraz podniecała go trudność radykalnego przedstawiania palety z barw podstawowych oraz różów i ugrów, podobnych do tych, z jakich siedem lat temu korzystał w okresie bronowickim, na czernie przełamywane brunatem van Dycka, asfalty, indygo, sjeny, wreszcie żółcień neapolitańską, pakowaną na płótno szpachlą dla uzyskania efektu nocnego sztucznego światła.

Od kilku dni nie opuszczał go szum w prawym uchu. Dudnienie w lewym pojawiło się w momencie, w którym wcierając indygo w górną partię przeschniętej brunatnej podmalówki, uzyskał stan skupienia umożliwiający wizję obrazu, który zostanie ukończony dopiero za trzy, cztery tygodnie, i tamten szum zdawał się ucichnąć. Gdy się włączyło dudnienie, zamarł. Odłożył pędzle, nawet ich nie wytarł, nie owinał w szmatę nasyoną olejem lnianym, zostawił na noc otwarty warsztat – dotychczas nie zdarzało mu się to nawet wyjątkowo – dowlókł się do łóżka. Leżał w oczekiwaniu.

Gdy tylko w ostatnich latach miał problemy finansowe – a nie potrafił gospodarować groszem – wystarczyło, że się zwrócił do Abakanowicza. Kłopoty mijały, można się było zająć malarstwem. W czasie podróży, której zwieńczeniem było ponowne, po roku, obejrzenie wystawy z salą sztuki moderne w Luksemburgu, kiedy mu nie starczyło na powrót i brakło do rachunku hotelowego, natychmiast otrzymał od swego mecenasa z Parc de Saint-Maur czek bez pokwitowania, opiewający na niebagatelną sumę tysiąca franków. Aleksander odpisał: „cenię tym wyżej to jako duży dowód życzliwości i zaufania”. Po nagłej śmierci Abakanowicza Gierymski liczył na dalszą pomoc – już z rąk Zofii. Okazało się to niemożliwe. Nie było żadnej reakcji na prośbę o pięćset franków kredytu, skierowaną zarówno do niej, jak i do Georges’a Gallata, współpracownika Abakanowicza, zajmującego się również sprawami administracyjnymi, do którego do niedawna również – zawsze skutecznie – uderzał artysta. Panna Zofia była nieobecna w zameczku, pan Gallat natomiast odpowiedział, że sam pieniędzmi nie dysponuje, a prośbę przekazał administratorom masy spadkowej. Oczywiście dom w Saint-Maur, jak zwykle gościnny, czeka na Gierymskiego nawet wtedy, gdy panna Zofia jest w podróży. Nie wybierał się jednak do prawie pustego domu. Zrozumiał, że z tego źródła nie zaczerpnie pieniędzy już nigdy. (Po latach córki Abakanowicza dołożą się sownie do wystawienia monumentalnego nagrobka na mogile Aleksandra Gierymskiego, wyrównają także zobowiązania wobec rzeźbiarza Madeyskiego, który opiekował się Gierymskim w ostatnim półroczu życia, pokrył koszty pogrzebu, rok w rok opłacał tymczasowe miejsce pochówku kolegi w katakumbach).

Ostatnim akordem nurtu luministycznego w twórczości Aleksandra Gierymskiego jest Wnętrze bazyliki św. Marka w Wenecji – płótno powstałe w roku 1899, po próbach leczenia nerwów poszarpanych dramatycznymi zdarzeniami w Krakowie, Bronowicach i w Krynicy. Ten obraz – bezwzględne w szlachetnym wyrazie arcydzieło luminizmu – płótno jakoś tam odważne w wyborze ograniczonego, nie da się ukryć, motywu – poraża sugestywnością. Dwie kobiety w centrum obrazu żadną miarą nie mogły być umieszczone ani pół centymetra w górę, ani dwa milimetry w bok. Absolutna precyzja. Przedwczesny, choć jednak we właściwym momencie sporządzony testament artystyczny.

Rok później, po perypetiach twórczych, uczuciowych i zmaganiach z chorobą duszy, Aleksander Gierymski, ukończywszy pięćdziesiąty pierwszy rok życia, wyrwie się na zawsze z gorączki tworzenia włoskich pejzaży par excellence

hiperrealistycznych z uwzględnieniem kolorystyki już nawet nie tyle impresjonistów, ile fowistów...

Ostatnie półroczcie w Rzymie, Sjenie, Wenecji, Amalfi. Malował pejzaże. Rysowane z manią dociekliwością, pokrywał kolorami niczym niezłomny impresjonista. Jaskrawe, przykre w wyrazie – ale właśnie takie o znamionach wielkości. Najstarszy spośród polskich artystów w Rzymie, znany jako milczek, bywał nawet niegrzeczny dla zbyt wścibskich, świeżo z kraju przybyłych rodaków.

– A idź pan, do cholery! – ofuknął modnego młodziana próbującego jego, dux Gerymusa, wciągnąć do dyskusji o sztuce.

O sztuce? Przecie on do kawiarni uciekał z pracowni właśnie od sztuki, żeby będąc artystą, pozostać jednak człowiekiem! Pod koniec życia pozornie złagodniał. Czy to w Caffè Greco, czy w restauracji Fiorellego – jak zauważył świadek wydarzeń, mądry Marian Trzebiński – jednak „raziła obecność tego schorowanego starca wśród grona dwudziestokilkuletnich młodzików”.

Zachorował. Najpierw przez kilka dni był tak osłabiony, że nie silił się nawet, by wstać z łóżka. Po raz pierwszy od kilkunastu lat nie rysował, obracał głowę do okna, żeby nie widzieć obrazów. Gdy go odwiedził zaniepokojony Madeyski, malarz miał dreszcze, nie mógł utrzymać gazety w ręku. Nie gorączkował, długo nic nie jadł, ale miał wstręt na widok dwóch kromek białego chleba przedzielonych szynką. Madeyski, który je przyniósł, sam zjadł w prostracji. Tymczasem Gierymski dziwnie porykiwał. Na pytanie młodszego kolegi, czy może coś mu utkwilo w gardle, szepnął, że w jego gardle właśnie przebywa nieżyjąca matka. Głos mu się zmienił, odpowiadał monosylabami na zadawane przez kogoś pytania, wyprostował się na łóżku, stężał, po chwili narzekał, płacząc, że złapały go kurcze łydek, potem uda lewej nogi. Wrzaski zaniepokoiły żonę stróża, wspięła się na to trzecie piętro ze swojego parteru; Madeyski kazał jej iść szybko do doktora Fieriego, który ma telefon; po paru kwadransach pod dom podjechał ambulans, chorego unieruchomiono i bez ceregieli zniesiono na dół. Znalazł się w szpitalu psychiatrycznym na Zatybrzu, zobaczył z bliska bezmiar cierpienia i obojętność personelu wobec chorych nędzarzy. Okropna woń niemytych i może w niektórych miejscach bliskich rozkładu ciała, wpatrzone weń, w nowego, oczy przykuwanie wzrokiem jak zardzewiałym gwoździem, jakieś nostalgiczne kumkanie pełne grozy. Nagle ekspresja jak z teatru okrucieństwa. Suchy, piegowaty mężczyzna bez określonego wieku biegał tam i z powrotem, nie wadził mu labirynt kilkunastu łóżek, przystawał, wskazywał na człowieka, o którego mu chodziło, i mówił poważnie, wskazując powykrzywianym palcem:

– *Sei diventato il prescelto!*

On był także, zdaniem ewidentnego wariata, wybrany. Po medykamentach, łagodzących rozedrganie, pięćdziesięciodziesięcioletni, czwartego dnia wrócił do siebie, oszołomiony natrętną myślą: zarobić teraz, tyle zarobić, żeby nie umierać na sali ogólnej.

Jeszcze raz napisze do Zofii. Pośle jej osobno i osobno panu Tourtay po małym obrazku. Motyw z Werony, znad Adygi – O zachodzie słońca. Jeszcze dwa inne małe obrazy. Ani śladu odzewu. Spróbował inaczej: wskazał córce zmarłego mecenasa artykuł w petersburskim „Kraju”, gdzie ktoś bardzo dobrze i mądrze pisze o wysokich walorach umysłu świętej pamięci Brunona Abdank-Abakanowicza. „I prócz mojego zadowolenia ze względu na pamięć Ojca Pani to, że Pani może tam [...] ma załatwione obserwacje różnicy, jakie zachodzą w życiu społecznym i pojęciach pomiędzy Zachodem a Wschodem, Francją a naszym Krajem”. Między nim a ludźmi z Saint-Maur wyrósł mur.

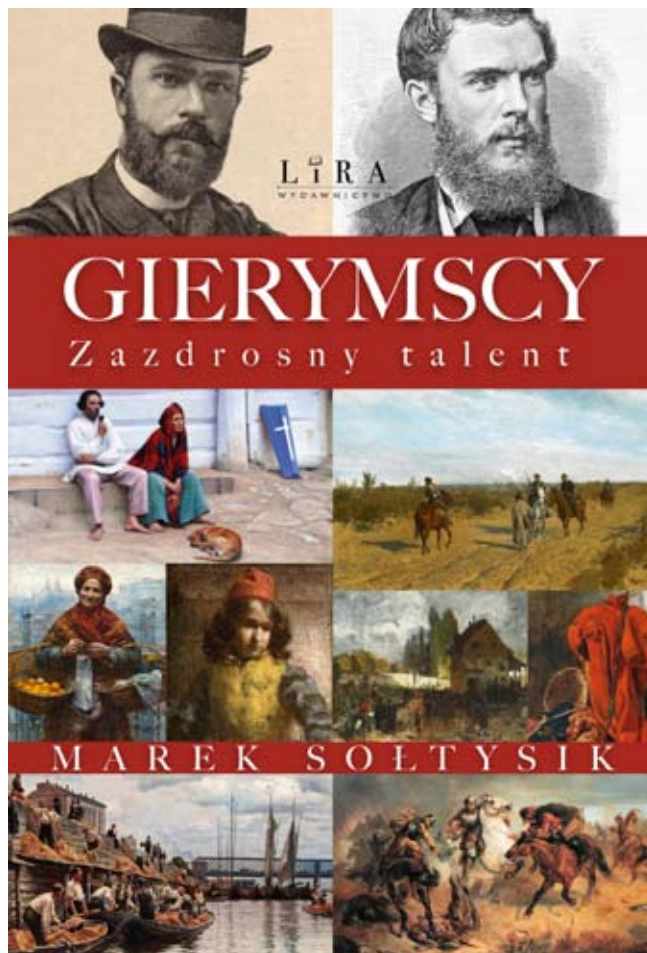
Pieniądzy już nie zdobędzie. Znajdzie przyjaciela, który mu umożliwi pobyt w separacie...

*

„Na zimowe miesiące wrócił do Rzymu” – wspominał twórcę Sjesty włoskiej, swego starszego kolegę, naoczny świadek, malarz Marian Trzebiński, wolnomularz. (Pisał to pod koniec życia, bardzo już chory i w okupowanej Warszawie, niektóre fakty nie są ściśle, ale styl wyborny i plastyczny obraz tamtego czasu każą nam czytać dalej). „Kiedyś w niedzielę wszedł do Caffè Greco. Oczy miał jakby wystraszone, prawie bez źrenic. Położył na stole srebrnego lira, zawołał cameriera, starego Numcio, i kazał mu tego lira pilnować. Paru Polaków, będących w kawiarni, pomyślało, że Gierymski jest pijany, a on zataczając się, wyszedł na ulicę, gdzie dostał ataku szału, jakiegoś ataku nerwowego. Dość, że upadł na bruk, skąd go zabrało pogotowie i odwiozło do szpitala, a ze szpitala już było niedaleko na cmentarz. Przed śmiercią Gierymski odzyskał przytomność i parokrotnie powtórzył: «to dobrze, że ja umrę...»”.

Separatkę w szpitalu psychiatrycznym Santa Maria della Pietà przy via Lungara na Zatybrzu zapewnił mu jednak dopiero rzeźbiarz Antoni Madeyski, który opiekował się chorym do końca – właśnie po tym, jak malarz wskutek nagłego ataku w konwulsjach upadł na bruk. Madeyski przygotowywał w tamtych dniach gipsowy odlew posągu królowej Jadwigi Andegaweńskiej, przeznaczonego na Wawel; to ciężka fizyczna i odpowiedzialna praca. Ufał personelowi szpitala, sam zamierzał odwiedzić chorego w niedzielę. Tymczasem przez dwa dni nikt nie zaglądał do separatki Gierymskiego w poważnym zakładzie leczniczym. Dopiero w sobotę 9 marca 1901 roku skonstatowano śmierć pacjenta. Nazajutrz, choć to niedziela, był już najwyższy czas i Aleksander Gierymski został pochowany na cmentarzu Campo Verano w koszuli rzeźbiarza Antoniego Madeyskiego.

Fragment powieści Marka Sołtysika „Gierymscy. Zazdrosny talent”. Książka ukazała się właśnie nakładem Wydawnictwa LIRA, Warszawa 2025.



MIROŚLAW G. MAJEWSKI



EVERYMAN

Moja mama jeździła co piątek do szkoły, kończyła jakieś zaoczne technikum czy coś takiego. Nie pamiętam dokładnie.

– W takim przedziale urodziłam cię, synku.

Malowałem sobie właśnie kopiowym ołówkiem zegarek na przegubie lewej ręki.

Zawsze chciałem mieć taki zegarek jak tata. Tata miał Rakietę. Zegarek taty miał dwadzieścia jeden kamieni. Nie wiedziałem co to znaczy dwadzieścia jeden kamieni. Ale wiedziałem, że im więcej ma kamieni, tym jest lepszy. Wiedziałem też, że tata jest dumny ze swojego zegarka. To była jego nagroda za działalność związkową, albo za wygraną w powiatowym turnieju brydża.

– Przestań się mazać!

Spojrzałem na mamę i ściągnąłem rękaw sweterka, spod którego teraz wystawał jedynie ten malutki trybik do nakręcania, namalowany z taką pieczołowitością.

Później zacząłem gapić się w okno. Było to poza pisaniem powieści jedno z moich ulubionych zajęć.

Ciemno, chociaż to jeszcze nie noc.

Pada deszcz.

Pociąg miarowo wystukiwał rytm.

Mama przeglądała swoje notatki w grubym brulionie formatu A4.

Odkąd tylko pamiętam, czyli od urodzenia, mama zawsze miała ten brulion. Przeglądała go w mdłym świetle przedziału. I była wtedy jakaś taka nieobecna. Czasem odrywała wzrok od treści w nim zawartych i patrzyła gdzieś w sufit, zawieszając na jakiś czas swój wzrok w jego najciemniejszym kącie.

– Mamo.

– Tak?

– Czy ja się urodziłem w tym przedziale?

– Nie wiem. Być może w tym, Makary.

– Tak, chyba w tym – zdecydowałem. To był dobry przedział. Mama wzruszyła tylko ramionami i uwalniając sufit od swojego wzroku, wróciła do swoich notatek.

Zresztą wszystkie przedziały były bliźniacze. Cztery na jeden

wagon. Do przedziału wchodziło się bezpośrednio z peronu. I największym ich mankamentem był brak możliwości zwiedzania wagonu i co za tym idzie – całego pociągu. Ktoś mógłby powiedzieć, że te przedziały były więziennymi celami, krępowały ruchy, naginały prawo do swobodnego przemieszczania się i wiele innych przywilejów człowieka i obywatela. Ale dla mnie miały coś z łona matki, przedział przyjął mnie przecież tak łagodnie z matczynego na swoje łono. Zamknięty w jego bryle ani na chwilę nie straciłem poczucia bezpieczeństwa i tego przyjemnego, miarowego kołysania.

Tak. Mój, być może klaustrofobiczny dla innych świat, dawał mi poczucie bezpieczeństwa.

I o ile czułem się dobrze w pędzącym przed siebie pociągu, o tyle byłem zaniepokojony jego postojami na wielkich, oświetlonych trupim światłem dworcach.

Pociąg stojący w bezruchu miał w sobie jakąś grozę. Symbolizował śmierć. I te ostre światła dworców. Były niczym lampy w prosektorium.

Wieczność nie jest niczym innym, jak tylko ostatnim kadrem.

– Mamo.

– Co znowu?

– Dlaczego nie urodziłem się w szpitalu?

– Już ci to przecież mówiłam. Urodziłeś się przed terminem. Jesteś wcześniakiem. Wcześniakiem.

Stałem w otwartym oknie i siłą woli próbowałem przesunąć czarne wskazówki wielkich dworcowych zegarów. Podciągnąłem rękaw sweterka, aby sprawdzić godzinę na moim namalowanym zegarku. Trochę się spóźniał, więc go nastawiłem zgodnie z tym, co było na peronie. Tak to już jest, pewne sytuacje się opóźniają, inne, jak moje narodziny, przyspieszają. Myślę, że to wszystko ma związek z moją naturalną niecierpliwością. Wskazówki zegara ruszają się tak bardzo powoli, a ja z natury jestem niecierpliwy. Niecierpliwy? Tak! Ale tylko w pewnych okolicznościach, tak jak w tamtej chwili, kiedy pociąg stał i stał, i stał. Nie spieszył się. Odpoczywał zmęczony dotychczasową jazdą. Dokładnie jak ci ludzie na peronie, którzy bez pośpiechu zajadali swoje kanapki z masłem i jajkiem na twardo. A gryząc pomidora, czasem plamili swoje koszule jego czerwonym sokiem. Dlatego

mama nigdy nie brała pomidorów na drogę? Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle.

Pociąg ruszył. Cóż za ulga. Jechaliśmy. Uciekaliśmy trupioblady światłom dworca.

– Zamknij już okno.

Zamknąłem, ale nie odszedłem. Z przyklepionym do szyby nosem wpatrywałem się w mijane budynki, obskurne kamienice, jakieś kolejowe warsztaty, złomowiska. Czasem wyłapywałem jakąś postać. Być może robotnika, który szedł do, lub wracał z pracy. Tak, to kolejarz, poznałem po specyficznej firmowej czapce na głowie. Kolejarz ze swoim nikogo nieobchodzącym życiem. Ciekawe, jak miał na imię. Być może Józef albo Ryszard. Mieszkał w kamienicy, której właścicielem był jego zakład pracy. Miał żonę Janinę albo Patrycję. Mieszkał na trzecim piętrze i musiał wchodzić po drewnianych, skrzypiących schodach. Klatka schodowa, jak i cała kamienica, była obskurna. Kogo obchodziło życie jakichś tam kolejarskich rodzin? Czyż elity nie układały właśnie w ten sposób społecznego ładu? Na tych, którym się służy, i tych, którzy służyć muszą. Na tych, którzy od urodzenia są edukowani na panów, i tych, którzy rodzą się w przedziale pędzącego pociągu.

– Nie chce ci się jeszcze spać, synku?

Usiadłem. Moja mama była już staruszką. Miała siwe włosy i okulary z grubymi szklami. Jej dłonie drżały, kiedy trzymała ten już nie tak wielki, jak kiedyś mi się zdawało, brulion formatu A4.

– Mamo, dlaczego nie bierzemy nigdy na drogę pomidorów?

– Kiedyś braliśmy, ale ty zawsze plamiłeś swoje ubranka ich sokiem. Może chcesz jabłuszko?

– Tak.

– Obrac ci?

– Nie, nie trzeba, mamo. Jestem już dużym chłopcem.

– Chcesz herbaty?

– Proszę?

– Nalać ci herbaty?!

– Nie. Dziękuję, mamo.

– Ja się napiję.

Mama drżącymi rękami otworzyła termos i wlała do kubeczka parujący jeszcze napój. A nie było to bynajmniej łatwe w rozpedzonym pociągu. Teraz wagony były już inne, nowoczesne. Do przedziałów wchodziło się z długiego korytarza. Można było chodzić od przedziału do przedziału, zwiedzając cały pociąg. Można było przeciskając się przez ludzką ciżbę zagnieżdżoną od wieków korytarzach wagonów, dojść do Warszawy, aby spotkać się z kimś, kto chce sprzedać pozłacaną zapalniczkę firmy Ronson. Z tym że w tamtych starych wagonikach miałem tę niezachwianą pewność, że nikt w czasie jazdy nie zajrzy do nas, tak jak teraz.

– Czy jest tu wolne miejsce?

Co to za idiotyczne pytanie. Siedzieliśmy tylko we dwójkę, ja i mama. Nie odezwałem się. Mama przytaknęła, zaprosiła do środka nieznanego z jarmużką na czubku głowy. Mama była bardzo otwarta na ludzi. Urodziła się w domu, w łóżku swojej matki, gdzieś w zapadłej wsi na północy kraju. Była wojna

– Dziękuję. – Mężczyzna wniósł ze sobą jakiś świeży powiew. Pachniał markową wodą kolońską. Był w wieku mojej mamy. A więc też musiał urodzić się w czasie wojny.

„Widocznie miał szczęście, cholerne szczęście – pomyślałem sobie, dyskretnie zerkając na jego nakrycie głowy. – Farciarz!”

– Aaron. Aaron Sznajderman – Nie wiem dlaczego, ale najzwyczajniej w świecie przedstawił się, podnosząc dłoń mojej mamy do swoich ust. – Tak jak mój ojciec – wyjaśnił niepytany.

– A pan... – przywitał się teraz ze mną nie tylko uściskiem dłoni, ale również tajemniczą przepowiednią. Proroctwem. – ...kiedyś o tym wszystkim napisze.

– Dzięki Aaronie – poruszyłem brwiami. – Zawsze chciałem być pisarzem.

W nagrodę podzieliłem się z nim jabłkiem. „Ciekawe, czy to mógłby być brat Marty?”, dumałem sobie po latach ślęcząc nad powieścią, w której fikcja mieszała się z rzeczywistością.

Kiedy po kilku godzinach podróży wysiadł w Łodzi, na odchodne wręczył mi jarmużkę. Była podobna do tej, którą sam miał na głowie.

– Musisz poznać swoje korzenie, Karl. – I już go nie było.

Cóż było robić? Nieco zdezorientowany nałożyłem to specyficzne nakrycie na czubek głowy i stanąłem przed lustrem. Moje blond włosy i zimne, niebieskie oczy jakoś nie pasowały.

Fragment powieści Mirosława G. Majewskiego

Mirosław G. Majewski, olkuszaniek urodzony na Pomorzu Zachodnim. Debiutował w 1995 na łamach „Wiadomości Kulturalnych”. Autor trzech książek „Performance” LSW 2009, „Asymetria” Ridero 2018, „Człowiek, którego nie było” Piarze pl. 2024. Autor sztuki teatralnej „Upside down”, oraz współautor sztuki „Gdybyś ty był, brat mój by nie umarł”. Swoją prozę, recenzje, wywiady i poezję publikował w „Migotaniach”, „Akancie”, „Afronie” (był stałym współpracownikiem), „Śląsku”, „Dzienniku Polskim”, „Almanachu krakowskiej nocy poetów”, „Gazecie Kulturalnej”, „Rzeczpospolitej Kulturalnej”, „Latarni Morskiej”, „Barwach”. Jego prace wielokrotnie były nagradzane na ogólnopolskich konkursach różnej rangi. Uważa się za twórcę undergroundowego.

MAŁGORZATA FELICKA

ZADOŚĆUCZYNIENIE



Mam ochotę zawyć. Przede mną skurczona babinka godzinami wysupłuje dziesięciogroszówki ze starej, zniszczonej portmonetki. Takiej przedpotopowej, zamykanej na zatraskujące się dwa metalowe ramiona zakończone kulkami, które muszą na siebie zejść. Ukrainka w kasie jest bardzo cierpliwa. Oczywiście. Jej się nie spieszy. Wszystko jej jedno czy obsłuży jednego klienta czy dziesięciu. Siedzi w tej kasie, czy tak czy siak.

– Ja pani pomogę – deklaruje. Nie z uprzejmości tylko, żeby przyspieszyć, żeby już nie musieć patrzeć na te drżące, powyginane palce.

Kobieta patrzy na mnie z wdzięcznością, przepraszająco.

– Dziękuję – mówi – słabo widzę. Wszystko jest teraz takie trudne – narzeka.

Kurczę, to moja nauczycielka od polskiego. Nie do wiary. Była taka elegancka. Wydawała mi się niedościgną piękną. Polską Lolo Brigidą. Zaraz, zaraz, była przecież wysoka, a tu tutaj jest malutka. Na szczęście ona mnie nie poznaje.

– Nie ma za co. O, tu jest dziesięć groszy. Proszę zobaczyć – mówię z nadaną głosowi łagodnością, chwytam w palce brakującą monetę i pokazuję byłej piękności, a potem podaję ją kasjerce.

– Tak, dziękuję bardzo – jest wdzięczna. Uśmiecha się. Odchodzi pomalutku.

Kolej na mnie. Wyciągam telefon. W nim mam kartę. Płacę. Czuję wyższość. „Jeszcze nie odstaję” – myślę z satysfakcją.

Nie mogę patrzeć na starych ludzi. Pełno tu ich. To osiedle wybudowano w latach 50., czyli siedemdziesiąt lat temu. Ci, którzy tu zamieszkali jako pierwsi, już nie straszą na ulicach, ale ich dzieci, które się wtedy rodziły, snują się popychając chodziki, albo drepczą małymi kroczkami z laseczką. Wystające brzuchy. Sapanie. Na wpół otwarte usta, z nosa zwisa strużka i żeby nie wiem ile razy go wycierać i tak będzie ściekać. To zdegenerowana służówka. Nic jej nie pomoże. Nie mogę na nich patrzeć, bo sama jestem stara. Jeszcze chodzę sprężystym krokiem, jeszcze jeżdżę na nartach. No i co z tego? Prędzej czy później, a właściwie prędzej niż później, będę wyglądała i ruszała się tak jak oni. Dlatego mnie denerwują. Przypominają mi, co mnie czeka. Ciekawe, czy stanę się bezkrytyczna, czy moje własne rozdziawione usta umkną mojej uwadze? Czy będę sarkać na młodych, że wszystko robią za szybko i że niewyraźnie mówią? I pomyśleć, że wszyscy oni byli kiedyś urodziwi. A teraz?

Z przyzwyczajenia, wyobrażam sobie tych ludzi rozebranych. Zawsze tak miałam: wyobrażałam sobie nagich, w łóżku,

najlepiej – kopulujących. Teraz muszę się siłą powstrzymywać, bo robi mi się niedobrze. Mam na to sposób: odwracam wzrok i patrzę na drzewa. Rosną tu piękne lipy i klony. Od czasu do czasu w przydomowym – chyba nielegalnie wygradzonym – ogródku jakieś tuje, których zresztą nie cierpię. Albo nawet świerki. Niektóre są olbrzymie. Sięgają dachu domu. Nie jest to żaden rekord, bo domy są dwu, rzadko trzypiętrowe.

Gdy tak idę obserwując drzewa, zatrzymuje mnie ktoś puknięciem w ramię.

– A cześć, dawno cię nie widziałam. Co robisz tutaj? – mówię spłoszona, bo nie mam pojęcia, kto to jest.

– No, jak to? Przecież mam tu pracownię. Właśnie wracam z warsztatów.

Z warsztatów? Pracownia? Matko święta! Kto to? Dobrze go znam, ale skąd? Nie mam czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo znajomy przechodzi do natarcia.

– Słuchaj Romko, dobrze, że cię spotkałem. Dostałem nowy telefon od syna i nie wiem, jak zatelefonować do niego, a umówiliśmy się, że po mnie przyjedzie, tylko żeby mi dał znać, gdzie będę czekał – jest zdenerwowany.

Spoglądam na niego z niedowierzaniem. Facet i to młodszy ode mnie i nie wie, jak zadzwonić?

W tym momencie przypominam sobie. To psychoterapeuta, Piotrek. Mój kolega po fachu. Oczywiście. Ma swój gabinet zaraz za rogiem. Ciekawe, że nazywa go pracownią. Ale może dlatego, że składa się z dużej sali na zajęcia grupowe i małego pokoju do przyjmowania pacjentów indywidualnych. Piotrek był zawsze bardzo bystry. Musiało mu się coś stać. Przypatruję się uważnie. Niedogolone policzki, ziemista cera, siwe włoski sterczące z nosa i uszu, pochylona głowa. Postarzał się.

– Cześć Piotruku, miło cię widzieć. To masz jeszcze pacjentów? – dziwię się, bo ja jestem od lat na emeryturze.

– Tak, dawnych, którzy trzymają się mnie. Nie chcą zmieniać na kogoś, komu musieliby od początku tłumaczyć jak to było z tatusem i z mamusią. A mnie wpada parę groszy i mam cel, żeby się ubrać i wyjść z domu. Wiesz, odkąd zostałem sam, wielu rzeczy przestało mi się chcieć.

Ok, myślę. Może nie wie, jak obsługiwać telefon, ale nie stracił dystansu. Nie jest źle. Czyżby Ala od niego odeszła? Potem zapytam.

– Usiądźmy tu na chwilę – wskazuję na najbliższą ławkę pamiętającą czasy młodości naszych rodziców. – Zobaczę.

Chociaż nie znam się na telefonach, oprócz mojego – uśmiecham się.

Siadamy. Siedzi już tam młoda kobieta z dzieckiem, ale ławka jest długa, nie przeszkadzamy sobie.

– Popatrz. Mam ten telefon od paru dni. Wydawało mi się, że wiem, jak dzwonić – w jego głosie wyczuwam bezradność.

Biorę telefon do ręki. Faktycznie. Na ekranie ukazują się wielkie pojedyncze litery.

– Acha! Coś dziwnego! – zaczynam majstrować, ale nic nie pomaga. – Może trzeba zresetować – mówię po chwili zastanowienia. – Znasz pin?

– Pin?

W tym momencie jak spod ziemi zjawia się Adaś. Znałam go jak miał kilka lat. Nie poznałabym, nie wiedziałabym, że to on, ale Piotrek wykrzykuje na jego widok: "O jesteś", więc domyślam się, że to Adaś.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? Jeździłem w kółko. Dobrze, że cię wypatrzyłem. Tu nie ma gdzie zaparkować. Pośpiesz się. Stanąłem tak, że zaraz zaczną na mnie trąbić – karci.

– Adasiu, coś stało się z telefonem, przepraszam.

– Co mogło się stać? Dobrze tato, chodźmy! – Poznaję ten ton. Zwalisty, wielki Adaś mówi pozornie spokojnie, ale wiem, że kryje się za tym spokojem pełna dezaprobaty wściekłość na starego. Na jego nieporadność.

– Romka też próbowała – usprawiedliwia się.

Wkładam mu telefon w wyciągniętą dłoń.

– To ciocia Romka, pamiętasz, jak przychodziła odbierać cię z przedszkola? Tego właśnie, przed którym teraz siedzimy?

– Dzień dobry – mówi grzecznie Adaś nie szczyjąc mnie spojrzeniem. – Nie, nie pamiętam. Chodźmy. Szybko.

– Ale spójrz, że coś jest nie tak z telefonem.

– Nie ma czasu. Wszystko jedno – ale zerka. Ma zdziwioną minę. – Faktycznie. Dziwne.

Słyszemy trąbienie

– O, widzicie. Już się piekła.

– Musisz odblokować telefon, bo nie zadzwonimy do notariusza. Musimy uprzedzić, że się spóźnimy. Ty nie masz jego numeru, prawda? Poza tym, nie pamiętam adresu.

– Nie mam – odburkuje Adaś. Waha się. Zaczyna naciskać na różne przyciski.

Trąbienie ustaje.

– Prose pana, ten samochód, który trąbił, psejechał, chociaż było ciasno – mówi dzieciak, może pięcioletni. – Zastawił pan nas samochód, – Troszkę zmiękcza i troszkę sepleni. Jak to dzieciak.

– Mareczku, siadaj – mówi do niego kobieta. – Tak, faktycznie, to nasz samochód. Nic się nie stanie, jak pan jeszcze postoi. Na razie czekam na koleżankę.

– Dziękuję bardzo – mówi Adaś – to się szczęśliwie składa. – Przygląda się kobiecie z zainteresowaniem.

Rzeczywiście, myślę. Ją warto obdarzyć spojrzeniem. Nie to co taką pomarszczoną babę jak ja. Wzbiera we mnie gniew. Nie, nie na pieprzonego Adasia, którego energia, niezadowolenie z Piotrka i pewność siebie działa mi na nerwy. Na kolej rzeczy. Na starość. Na przemijanie.

– To daj mi ten telefon – mówi do Piotrka. – Nie masz zapisanego numeru notariusza w notesie? A jak się nazywa?

– To koleżanka z młodości, kobieta. Znam tylko jej panieńskie nazwisko. Obecnie nie pamiętam.

– No to kicha. Musimy odblokować ten telefon. – Jutro wyjeżdżam na kilka tygodni, nie zdążymy przed świętami. A wiesz, że musimy, bo przekroczymy termin. Mama, gdyby żyła, nie wybaczyłaby ci tego.

A więc Ala nie żyje, orientuję się. Odeszła, ale inaczej, niż myślałam. To dlatego Piotrek taki zaniedbany.

Adaś nadal bezskutecznie majstruje.

– Trzeba spróbować zresetować. Zmieniałeś pin?

O! Ma taki sam pomysł jak ja.

– Ja? Coś ty – mówi zdziwiony Piotrek

– Acha, więc jest ten sam. Dobra wyłączam.

Niestety nic to nie daje i Adaś zaczyna się nie na żarty denerwować.

– Co ty zrobiłeś? Na co naciskałeś? – jest wściekły i szuka winnego. Oczywiście najłatwiej wyżyć się na ojcu.

– Czy pani naciskała na jakieś przyciski? – to do mnie. Zatyka mnie. Mam ochotę go trzepnąć.

– Nie – odpowiadam ponuro i obmyślam zemstę.

Tymczasem Mareczek zagląda Adasiowi przez ramię.

– Prose pana, ja wiem, jak to zlobic.

Adaś patrzy na brzdąca z niedowierzaniem. Jego mama potakująco kiwa blond głową.

– Mareczek jest bardzo sprawny – potwierdza z dumą.

Adaś z wahaniem podaje małemu telefon

– Tseba stuknąć dwoma paluszkami – mówi Mareczek i stuka.

Telefon budzi się i normalnieje. Adaś jest w siódmym niebie. Wydaje mi się, że jeszcze chwila, a weźmie się do całowania mamy Mareczka.

– Bardzo, bardzo pani dziękuję. Ma pani genialnego synka! – wykrzykuje uszczęśliwiony.

– Proszę podziękować Mareczkowi – zwraca uwagę dumna mama.

– A tak, oczywiście. – Adaś ściska rączkę Mareczka i potrząsa nią odrobinę za mocno – Brawo, kolego! Ja nie umiałem! Skąd wiedziałeś jak to naprawić?

– Bo jestem młodszy. Wszyscy moi koledzy wiedzą. I pomagamy rodzicom – mówi Mareczek zachwycony swoim wyczynem.

Przypatuje się uważnie Adasiowi i dodaje{

– I oczywiście dziadkom też.

BARBARA KORTA-WYRZYCKA



DROGA DO SAN LUCAR

– Masz trzy dni żeby się spakować i dać sąsiadce kwiatki pod opiekę. Dasz radę.

– Ale Haniu, zgodziłam się tylko tak, niezobowiązująco....

– Mamo, rozmawialiśmy już tyle razy. Zawsze chciałaś zobaczyć Atlantyck. No i masz. Wynajęliśmy dom w San Lucar na cztery miesiące, zanim Diego pójdzie do szkoły. Alejandro dopiero od przyszłego miesiąca będzie mógł pracować zdalnie. Na razie przyjeżdża na weekendy. Siedzimy sami. Mały tęskni za babcią. Chcesz, żeby zapomniał jak wyglądasz? Kupiłam bilet i posłałam ci screen na telefon.

– Stosujesz metodę faktów dokonanych. A ja nie wiem czy dam radę.

– Z tobą inaczej się nie da. Tylko jak coś musisz, to się sprężasz i idealnie ogarniasz. No, rozchmurz się. Zostaniesz z nami ile będziesz chciała.

Lniana spódnica, trzy bawełniane bluzeczki, spodnie sukienka, bielizna, sandały i kapcie. Saszetka z lekami. To najważniejsze. Ciepłe rzeczy będzie mieć na sobie, bo przecież to dopiero koniec kwietnia. Tylko багаж podręczny. Minimum jak w harcerstwie.

Zadowolona z siebie Irena usiadła z kubkiem kawy. „Tak się wzdragałam, a wystarczył jeden dzień” – dziwiła się sama sobie. Teraz musiała sobie odpowiedzieć na to, czego naprawdę chce. „Po pierwsze zostawia puste mieszkanie. Tylko ściany i przedmioty. Nawet kot nie chciał jej towarzyszyć w dalszym życiu i umarł niecały miesiąc po panu”. Czas zrobił swoje. Zrozumiała, że wspomnienia nosi się w sobie i choć jest ich sporo, nie stanowią dodatkowego obciążenia. Nie zapłaci za nadbagaż. Może pozwolić sobie na spełnienie swoich pragnień, póki jeszcze ciało pozwala. „Przecież chcę choć raz w życiu zanurzyć stopy w Atlantyku i pobyc z wnukiem, który za parę lat wyrośnie na kolczastego nastolatka” – podsumowała przemyślenia.

„Dobrze, że wcześniej kupiłam Elementarz Falskiego i Jasia i Małgosię. Dieguito ma tę bajkę po hiszpańsku, a jak przywiezie mu po polsku łatwiej się połapie. Dwujęzyczność wyniesiona z domu, to dobry posag” – udzieliła sobie pochwały.

Przed wyjazdem na lotnisko zjadła lekkie śniadanie, ale i tak czuła jak żołądek podchodzi jej do gardła przy starcie. „Jakbym miała dwadzieścia lat, to nic by mi nie przeszkadzało” – pomyślała. Tyle, że w młodości leciała zaledwie trzy razy samolotem. Szczególny był jeden krótki lot lokalnymi liniami na trasie Burgas– Sofia. W niewielkim samolocie kabinę pilota od pasażerów oddzielał szary wojskowy koc. Siedzenia i ściany obite były niebieską skórą, którą dobrze znała z autobusów miejskich we wczesnych latach siedemdziesiątych. Stewardesa oprócz landrynek do ssania częstowała każdego pięćdziesiątką czystej wódki. Dla kurażu. „Teraz by się też tak przydało, ale standardy się zmieniły”.

Oczywiście wszystkie miejsca przy okienkach były zarezerwowane. Ulokowała się na swoim siedzeniu między szczupłą dziewczyną i zażywnym jegomościem w garniturze, który od razu zaznaczył, że bardzo lubi być przy przejściu, bo szybciej można wysiąść. Zdziwiło ją to trochę, bo jakoś nie rozumiała, jak można szybko wysiąść z samolotu. No i dokąd? W chmury?

Niezwłocznie schroniła się przed niechcianą konwersacją za kolorowym pismem. Jednostajny szum silników okazał się doskonałym katalizatorem dla zażytego przed startem Diazepamu.

– Niechże pani przestanie! Zasuwa pani jak stara lokomotywa!

– Przepraszam, bardzo państwu przepraszam... – szeptała Irena, wyrwana z drzemki bezpardonowym potrząśnięciem.

– Krzepki chłop mógłby pani pozazdrościć siły głosu! – nie dawał za wygraną jegomość.

Spojrzała w bok. Młoda, odseparowana od otoczenia słuchawkami, wpatrywała się w otwartą książkę. Nie mrugała powiekami.

Irena poprawiła okulary i zamknęła oczy. Do końca lotu została niepełna godzina.

Sewilla. Już tutaj była. Wiedziała, co ma robić. Miała przygotowane sześć euro do automatu biletowego. Musi tylko uważnie patrzeć żeby wsiąść do autobusu jadącego na stację. Zadowolona, że sobie poradziła, obserwowała przez okno mijaną okolicę. „Będą na nią czekać Hania i mały Diego. Nie musi się niczym martwić.” Gdy wjeżdżali na dworzec zadzwonił telefon. Dzwoniła Hania. Nie odebrała. Oddzwonił jak wysiadzie. „Może nawet prędzej ich zobaczę?”

Autobusy przyjeżdżające z lotniska zatrzymywały się przed wejściem na dworzec. Wygramoliła się i sprawdziła, czy ma wszystkie rzeczy. Podeszła bliżej wejścia i zaczęła się rozglądać. Ludzi sporo, ale swoich nie wypatrzyła. W torebce znowu hałasowała komórka.

– Tak, Haniu, dotarłam. Gdzie jesteście, nie widzę was?

– Mamo, nie przyjedziemy. Nie denerwuj się. Poradzisz sobie, a ja ci pomogę zdalnie przez telefon.

– Ale co się stało?

– Przedwczoraj Diego dostał wietrznej ospy. Nie chciałam blokować twojego przylotu. Dziecku szybko przejdzie. W końcu też chorowałeś, a na prawdziwą ospę jesteś zaszczepiona. Nie mogłam go zostawić samego.

Irena poczuła, że powietrze zmieniło konsystencję. Stało się gęste. Nie mogła oddychać. „Uspokój się. To panika. Oddychaj równo. Licz do dziesięciu.” – przekonywała siebie.

– Mamo, jesteś tam? Coś się stało? Nie rozłączaj się!

– Tak jestem – odpowiedziała zduszonym głosem.

– Poprowadzę cię. Wejdz do budynku dworca. Musimy zrobić dwie rzeczy. Kupić bilet na autobus do San Lucar i znaleźć stanowisko, z którego odjeżdża.

– Weszłaś?

– Tak.

– Trzymaj się prawej strony. Będzie przewężenie. Po lewej są automaty biletowe, a po prawej małe biura. Nie wiem jak się kupuje pojedynczy bilet, bo zawsze kupowałam

kilkuprzjazdowy, ekonomiczny. Ty też taki kupisz. Będzie prościej.

– Widzę automaty.

– Teraz wyobraź sobie, że kupujesz bilet MPK u siebie na górcie. Na ekranie dotykowym wybierz z listy San Lucar, potem kliknij jak najmniejszą krotkość przejazdów i Mastercard.

– Wybrałam. Wszystko kliknęłam.

– Teraz przybliź kartę tam gdzie mruga zielone światełko. Tak jak u nas.

Urządzenie zaburkotało.

– Wyszedł bilet! – wrzasnęła Irena purpurowa z emocji.

– Świetnie. Teraz popatrz w prawo i znajdź, na którymś szklanym boksie, napis Informazione . Idź tam i daj telefon pracownikowi.

Autobus miał odjechać za pół godziny z 7 stanowiska.

Irena poczuła, że cała ocieka potem. „ Po kiego czorta włożyłam kurtkę? Tu jest o wiele cieplej”. Niezwłocznie postawiła bagaże na ziemi i sprawnie wyłuskała się z pikowanej kurtki. Bilet przezornie zagryzła w zębach. „Nie, nie da się nabrać na wkładanie biletu do jakiejś kieszeni. Po co? Żeby zapomnieć, do jakiej. Będzie go trzymać na wierzchu w ręce.” Dumna ze swej pomysłowości zabrała się za szukanie stanowiska nr 7. Niby prosta sprawa, ale zajęło jej to chwilę.

Oczekująca na autobus grupka wydała jej się całkiem swojska. Upewniła ją w tym przekonaniu dwójka podchmielonych młodzieńców, w dżinsach z obniżonym krokiem, którzy podniesionymi głosami wymieniali między sobą uwagi, dopijając piwo z puszek. Dla pewności podeszła do kobiety we wzorzystej spódnicy i czarnej bawełnianej bluzeczce. Pokazała bilet i wyartykułowała pytająco:

– Bus. San Lukar aki?

– Si, si.

Otarła ręką pot z czoła. „Trzeba się było się uczyć hiszpańskiego, a nie rozgrzeszać słabą pamięcią. Gdybyś, babo, słuchała codziennie przez godzinę tych samych lekcji, to na pewno coś by ci w głowie zostało.”

Znow zajązgotała komórka. Hania radziła zająć miejsce z przodu, blisko kierowcy.

Kierowca zaczął wpuszczać pasażerów. Nie spieszyła się. Dostrzegła, że młodzieńcy z żalem rozstawali się z pośpiesznie opróżnianymi puszkami po piwie, które zgniecione cisnęli nie szukając kosza. Usadowili się na końcu pojazdu.

Usiadła tuż przy wejściu obok zażywej czterdziestolatki. Przez przednią szybę mogła swobodnie obserwować drogę. Emocje opadły i poczuła ból zdrętwiałych stóp, uwieczonych w tenisówkach. Próba poluzowania sznurówek szybko zamieniła się w zacieklą walkę. Rozwścieczona wyszarpała najpierw jedną, a po chwili drugą. Efektem wygranego starcia było pojawienie się w uzyskanej wolnej przestrzeni dwóch okazałych bułek obleczonych beżowymi skarpetami. Ulga

była niewielka, ale zawsze jakaś.

Znużyło ją obserwowanie dość monotonnego krajobrazu. Suchy pofałdowany teren i połacie poskręcanych drzew oliwkowych. Rzadko jakaś inna uprawa.

Musiała się zdrzemnąć, bo aż podskoczyła na wielokrotnie wykrzykiwane słowo. „To chyba jest ichnie kur...a” – pomyślała. Obróciła się. W przejściu stał dość młody facet i wymachiwał w stronę podchmielonych młodzieńców mokrym, a nawet kapiącym przy potrząsaniu plecakiem. Siedzący z tyłu pasażerowie przyłączyli się chórem do właściciela zalanego plecaka. Wyrażnie go wspierali wymachując rękami w stronę chłopców. Ledwie zdążyła pomyśleć, że któremuś wylało się piwo, gdy zerwała się jak oparzona elegancka czterdziestolatka. Wymachiwała mokrą teczką z dokumentami i z marsową miną przedzierała w stronę kierowcy.

„Que abla la mujer?” – zwróciła się do siedzącej obok pasażerki, która zaczęła wyrzucać z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

„Ale z ciebie stara idiotka. No i co z tego, że wydukałaś pytanie, jak nie rozumiesz odpowiedzi”. Mózg zmuszony przez okoliczności zadziałał. „Przecież mam aplikację tłumacza w telefonie. Hania mi zainstalowała”. Teraz poszło. Podsunęła telefon rozemocjonowanej współpasażerce. Ta wyjaśniła, że ściekający z plecaka płyn to nie piwo, ale siki jednego z chłopaków, który przysnął i nie kontrolował pęcherza. Kobieta objęła się o siedzenia, ale wytrwale parła ku przodowi. Co chwilę powtarzała dobitnie ten sam zwrot, patrząc groźnie na mijane siedzenia z pasażerami. „Proszę mówić, co się dzieje!” „Kobieta grozi, że wszystkich pozwie. Jedzie na spotkanie. To ważna umowa. I co pokaże? Obsikane papiery!” Rozsiedziona dotarła do kierowcy i zażądała wezwania policji. „Grozi, że jak kierowca nie wezwie to jego też pozwie, bo wiezie nietrzeźwych, którzy niszczą mienie pasażerów”.

Kierowca wezwał służby przez radiotelefon. Musieliśmy dojechać do najbliższego miasteczka. W pojeździe zapadła cisza. Nie na długo. Tuż nad głową Irena usłyszała przeciągłe zawodzenie. Chuda staruszka siedząca za nią niespodziewanie podniosła się. Oburącz obłąpiła zagłówek Ireny. Kiwała się i zawodziła. Z pobladłej twarzy można było wywnioskować, że jest jej niedobrze. „A jak zwymiotuje?” – przeraziła się Irena.

„Niech jej pani powie, żeby patrzyła przed siebie na drogę” – zadysponowała przez tłumacza. Staruszka po chwili usiadła. Przy kolejnym nawrocie kiwania i zawodzenia kościstej babki Irena nie wytrzymała i stanęła bokiem w przejściu. Kierowca rzucał w jej stronę groźne spojrzenia odbite w lusterku. Na szczęście zobaczyła w oddali parkujący na poboczu radiowóz.

Uśmiechnięta policjantka wraz z chmurnym kolegą wkroczyli do autobusu. Irena usiadła odblokowując przejście. W momencie poszkodowani i sekundujący im pasażerowie zaczęli wszyscy na raz głośno objaśniać sytuację. Tyłu decybeli Irena się nie spodziewała. Policjantka nie przestając się uśmiechać przeszła na tył pojazdu. Nagle otrzeźwieni

młodzieńcy gestykulowali, coś tłumaczyli, wzbraniali się przed opuszczeniem autobusu, ale funkcjonariuszka była nieugięta. Stojący za nią kolega wyjął kajdanki i uniósł wysoko w górę. Wszyscy czworo sprawnie opuścili pojazd. Na nic zdały się tłumaczenia, bo mokre spodnie świadczyły dobitnie o wykroczeniu. Za nimi podążyli poszkodowani. Sprawnie poszło podanie policjantom danych i krótkich zeznań. Autobus mógł ruszyć do celu.

San Lucar przywitało ich ciepłym delikatnym wiatrem. Irena wybrała numer Hani:

– Haniu, już jestem.

– Cudownie. Jeszcze parę kroków. Teraz idź prosto i skręć w trzecią uliczkę w prawo. Potem.....

Nie dowiedziała się, co ma zrobić potem, bo wyeksploatowany telefon padł. Doszła na coraz bardziej dokucających jej stopach do trzeciej uliczki i zabrała się za przeszukiwanie kieszeni kurtki. „Gdzie miałam zapisany adres. Jest”.

Rozejrzała się. Sami turyści. Cholera, gdzie się podzieli tubylcy? Za sobą usłyszała uprzejme „Hola!”. Niewysoki emeryt w kapeluszu i wygniecionej bawełnianej koszuli wyraźnie chciał jej pomóc. Patrzył jej w oczy, ale co chwilę jego wzrok spływał w dół na spuchnięte buły sterczące z tenisówek. Podsunęła mu kartkę z adresem.

Mowa gestów okazała się uniwersalna. Machnął ręką, więc powlokła się za nim. Poczula zapach oplatających balkony i ściany domów liliowych glicynii. U wylotu jednej z uliczek zobaczyła złocącą się w słońcu palmę. Urokliwe miejsce.

Po przejściu płataniny kolejnych krótkich uliczek uprzejmy senior wskazał ręką na tabliczkę. Nazwa ulicy się zgadzała. Wystarczyło znaleźć numer. Podziękowała. Przy jednej z bramek zobaczyła machającą do niej kobietę w długiej sukience okutaną chustą. „Czego ode mnie chce ta Arabka?” Nie było co myśleć. Ruszyła ku niej.

– Hania?! Dziecko, czemu się tak zamotałaś w chustę? O nie! Ty też masz ospę!

– Dzisiaj mnie obsypało. Dzwoniłam, ale telefon nie łączył.

– Telefon mi się rozładował. Dobrze, że przyjechałam. Zaraz się wami zaopiekuję tylko się ogarnę. Najpierw daj mi nożyczki.

– Nożyczki. Po co?

– Do butów.

Muszę rozciąć je nożyczkami, bo po dobroci nie puszczą moich słoniowych stóp.



VOJISLAV KARANOVIĆ

PRZEKŁAD Z JĘZYKA SERBSKIEGO:

OLGA LALIĆ-KROWICKA

MYCIE

Iskrzące się tygrysie oczy
Szybko znikają
W gęstych zaroślach. Gasną,
Toną we własnym zmęczeniu.

Mowa paproci
(wydaje się)
Stała się niewyraźna

Być tutaj i nie czuć
Tarcia futra
O zimny kamień!

Język to muzyka, którą
Zaklinamy węże
Które strzegą cudzych skarbów.*

Barwy w mgnieniu oka ślizgają się po ścianie.
Albo głaszczemy po włosach
Burzę, gdy się kołysze
W skorupce orzecha.

Jak jest pięknie
Myć twarz
Czarną wodą!

Nadaremno jest
Ugniatać powietrze dłońmi.

Zaczarowane linie
Wywijają się po naszych twarzach.

W BARZE

Chciałbym być kretem,
By chrupać larwy owadów
Schowany
Głęboko pod ziemią.

Obserwuję swoje ciało. Ogarnięte
Mgłą, jego skóra jest
Przezroczystą i drżącą
Zasłoną z deszczu.

Coraz mniej wierzę w to, że noc
Gasi dzień, słowo milczenie,
A śmierć życie.

Pewne jest tylko to, że alkohol
Gasi pragnienie,
Chociaż roznieca żar
W piersiach tłący się.

Ale jak zgasić płomienistą igłę
Która ślizga się poprzez kręgosłup?

Złoty uśmiech nadziei ślizga się po kolanach
Pięknej kelnerki. Dużo,
Dużo głosów. Nasze głowy tutaj unoszą się
Jak dojrzała ukołysana kiść winogron.

A ciebie dym tytoniowy,
I ta przestrzeń, barowa,
Nadal uciska. Tak samo jak mnie
Niegdyś dawno, spięta
Trzeźwieniem, dusza uciskała.

Wtedy gdy jeszcze wierzyłem, że życie
Gasi śmierć, milczenie słowo,
A dzień noc.

* Ambrose Bierce: Słownik diabła

NOC

Kromka chleba na stole.
Żmija zwinięta w szafie.
Kojot, który wył pod oknem
Przez całą noc, teraz ucichł.
Krajobraz obrósł w kaktusy i
Niskie, karłowate rośliny.
Pustynia. Cisza. Piasek
Czuję jednak pomiędzy zębami.
Śpisz zwinięta przy mnie.
Twój sypiący się oddech opada na moją klatkę.
Bicia zegarka pełzają po podłodze,
Żeby się w końcu zakraść do szafy.
Czuję ślinę w gardle niczym szkło.
Na stole kromka ciszy.
Łamię ją. Na pół.

Nic, nic nie powiedziałem. Śpij.

OBRAZ

Jak zdeptana żaba na rozżarzonym asfalcie,
Tak akurat się poczułem,
Gdy spojrzałaś na mnie
Tymi ciemnozłotymi oczami,
Oczami
Jakie prawdopodobnie miała nawet ta żaba.

I teraz, gdy kochamy się,
Gdy się łączymy,
I ja wchodzę w ciebie,
(teren podmokły)
I tętno moje jest przyspieszone,
(strzela jak z serii)
Ten obraz mnie nie opuszcza.

Przeskakuje po mojej świadomości,
Tak jakby był żywy.

LIST

Nie, nie otrzymałem żadnego listu.
Tak, przestałem spodziewać się odpowiedzi.

Wiatr nadal unosi się porywiście.
Słońce odbija się od wieżowca.
Oczy powoli zatapiają się
W skórze twarzy.

Trawa posiada blask mentalny.
Powtarzam: blask mentalny.
Nie, nic mi nie jest.

Tak jak wieloryb Jonasza
List połknąłby sens.

Dlatego nie piszę do ciebie. Więcej.

Skrzynka pocztowa mi przypomina
Martwą rybę: opustoszałe ciało
Wyrzucone na wybrzeże.

Tak, nie otrzymałem żadnego listu.
Nie, przestałem spodziewać się odpowiedzi.

OLGA LALIĆ KROWICKA

WIERSZE

Podczas gdy się zbliżasz Jung wierzy w aspekty

Wszystkie aspekty przebrały się za radość

podczas gdy rzeczywistego nazywam ja i ty

ten się nie przebrał ten się zdarzył

stał się my we wszystkich aspektach

Nigdy nie będziesz wiedział

że tylko ty mieszkasz w wierszach

Nigdy w nich nie rozpoznasz siebie

możesz tylko się przegłądać

Schowałam cię w nich i wyrzuciłam klucz

Nie, nie wypuszczę cię żeby wiersze nie umarły

A martwe wiersze nie potrafią żyć

One tylko wystają z bólu

One tylko narzekają i płaczą

Schowałam cię w wierszach

Tutaj jesteś bezpieczny

POMIARY NADZIEI

Jesteś w mojej cząstce

a z cząstek

składa się ciało

przepływa energia

wszedłeś do mojego

nadzieja przepłynęła

Tesla nad Niagarą

nadal mieszka

ROSNĄCE CZĄSTKI

Moje cząstki nie żyją krótko

w zderzeniu ze sobą

rosną jak drzewo na dłoni mistyka

ukrywająca się w oczach fala świetlna

w katakumbie przepowiedni

uwierz w oczy w których mieszkasz

metaanaliza miłości

wymaga pretekstu śmiałości

nie wyjdiesz

bo zostaniesz

dwie istoty odczuwają powstanie

tego co zakorzenione

w człowieku

czasami kwiat nie jest ślepy

lecz są to opuszki palców

ślizgające się po powiekach

przekleństwo rozbiera się do skóry

ślizgają się gwiazdy po piersiach nieba

wszechświat drży w nich

pokrewieństwo w metafizyce

nie mieszka tylko za bramą duszy

lecz w opuszkach palców

iskry w ciałach

zmieniają koloru oczu

- podczas gdy aniołowie (nie) mówią

trzępot oczu we śnie

szepcze o tym

że aniołowie nawzajem się śnią

nikt tak pięknych wierszy nie pisał we mnie

twoja ręka wiedziała

jak rozpocząć każdy wers

Olga Lalić-Krowicka ur. w 1980 r. w Šibeniku w Chorwacji.

Ukończyła serbistykę w Instytucie Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Stypendystka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2007, 2011). Honorowa obywatelka cesarskiego miasta Sirmium od 2014 roku. Tłumaczy z języka serbskiego, chorwackiego, macedońskiego i słoweńskiego na polski oraz z polskiego na serbski i chorwacki. Publikowała w wielu czasopismach i antologiach w Chorwacji, Polsce, Serbii, Słowenii, Białorusi, Rosji, Litwie, Malty, Anglii, Bośni i Hercegowinie, USA, Rumunii, Niemczech, Albanii, Libanie, Macedonii itd. Wydała 27 tomów poezji, bajek i dramatów, m.in.: Niepokoje niepokoju (2009), Iskra i faza (2018, książka dwujęzyczna), Sznycel i filozofia róży (2023) itd. Wielokrotnie nagradzana w ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach.

AGATA STAWSKA



PIĘĆ Z SZEŚCIU

Podniosła głowę znad umywalki. W lustrze zobaczyła swoją twarz. Mokry kosmyk kołysał się nad czołem, wokół ust pieniał się wianuszek pasty do zębów. Zastygła na chwilę bez ruchu, patrzyła ze zdumieniem. Po raz pierwszy w życiu wydała się sobie samej niepokojąco zmysłowa, odważna, gotowa na dotyk. Po raz pierwszy od tego pamiętnego dnia nie skrzywiła się boleśnie do swojego odbicia. Przez chwilę smakowała to uczucie mieszając je z miętą i aloesem. Potem opłukała twarz zimną wodą, wysuszyła ręcznikiem i wyszła z łazienki. Jakby nic i nigdy, bo tylko ona wie i tylko ona widziała, choćby nie wiem co, nie zobaczy. Zresztą to nie ma znaczenia.

Usiadła na fotelu naprzeciw mężczyzny. Jego ciemne okulary zdawały się zupełnie niepotrzebne w pokoju o zmierzchu, a jednak nigdy się z nimi nie rozstawał. Sięgnęła po czasopismo leżące na stole grzbietem do góry.

– Gdzie skończyliśmy? Przepraszam, musiałam na chwilę skoczyć do łazienki, mam nadzieję, że jeszcze nie wiesz „kto zabił” – zaśmiała się lekko, to miał być żart. Czytała mu artykuł o ostatnich odkryciach genetyki. Był taki jak ona sama, tak siebie widziała – zestaw danych statystycznych plus trochę wniosków. Żarty to intelektualna nadwyżka, bonus od wydawcy. Choć miała wrażenie, że w tych ich czytanych spotkaniach płynie jakiś ukryty, wartki nurt, nie chciała się nad tym zastanawiać. Taka jak teraz była potrzebna sobie. To rozwija. To inspiruje. To wystarczy.

Czasem żałowała, że Adam nie może zobaczyć choćby jej nowej bluzki czy kolczyków, ale przeważnie czuła ulgę, kiedy podnosząc głowę znad książki napotykała wzrokiem jego ciemne okulary zwrócone w drugą stronę. Teraz żałowała. Adam uśmiechnął się na dźwięk jej głosu. Nie odpowiedział na pytanie.

- Pachniesz. Teraz jakoś inaczej.
- Pastą do zębów? – zaśmiała się
- Nie!
- To nie wiem. Słuchaj, czytamy? Co z tym eksperymentem? Nie chcesz wiedzieć?
- Nie – uciął i zawiesił głos. Najwyraźniej miał dość genetyki. Milczeli przez chwilę, Julia cierpliwie czekała na nowy temat.
- Nie pozwoliłaś mi nigdy zobaczyć twojej twarzy...
- Przecież ty nie widzisz – powiedziała i natychmiast ugryzła się w język.
- Widzę. Jak dotknę to widzę, patrzę też nosem i uchem... teraz widzę kogoś innego
- Daj spokój... – mruknęła, wracając do przerwanej lektury.

Zamierzała zlekceważyć zaczepkę, lecz niespodziewanie przemknęło jej przez myśl własne miętowe odbicie w lustrze. Gorący dreszcz przeszył jej ciało, prostując zastygłe gesty. Julia

bez słowa podniosła się z fotela. Podeszła do Adama, stanęła przed sofą, na której siedział. Nie zawahała się kładąc jego ręce na swoich biodrach.

On dał się prowadzić. Wyczuł delikatną fakturę jedwabnej sukienki, pod nią wyraźniejsze krawędzie bielizny, niżej nierówności koronki pończoch, jeszcze niżej gładką jedwabną powierzchnię, która poprowadziła go delikatnym poślizgiem znów w górę, aż do aksamitu skóry. Gesty powoli przechodziły jeden w drugi bez żadnego planu. Adam wiedział, że prosił o mniej, nie zatrzymał się jednak.

I nie było słów. Słowa to myśli. Myśli rozrzedziły się jak powietrze na sześciu tysiącach. Pod palcami zostało ciało, ciało powoli pozbawiane zbędnych okryć. Szybował dłońmi nad pachnącymi polanami jej skóry. Widział gładkie zaśnieżone lodowce, czuł wilgoć i przeczuwał miejsca, które spotnieją lada moment, zanurzał się tam, gdzie pachniało mchem i rosą. Julia mieniła się barwami w tej nieskończonej przestrzeni między jego skórą a swoją. Wędrował dłońmi w górę powoli ciesząc się każdym nowym kolorem. Kiedy dotarł do szyi chłodnej jak marcowy łącha śniegu po północnej stronie zbocza, Julia zamknęła oczy. Poprowadziła go tam, gdzie chciała, tam gdzie nigdy się już nie odważy.

Palce Adama położyła sobie na lewej skroni i powoli wędrowała z nimi w dół. Zgrubienie na twarzy zdawało się gorące, jednak nie cofnęła ręki. W dwie dłonie dotarli do szyi i Julia szepnęła:

– Teraz mnie widzisz, teraz możesz dotknąć.

– Teraz i ty mnie widzisz – odpowiedział, zdejmując okulary

Prawda. Oczy Adama zapadały się w głąb, a przekreślona blizną twarz Anny przestała być tajemnicą. Adam widział ją wyraźnie jak nic do tej pory, widział ją błękitną. Była piękna.

– Jesteś stubarwna, wiesz o tym?

– Widzisz kolory?

- Nie wiem, może pamiętam, a ty jesteś kolorowa, różno-ciepła, różno-gładka...

Julia zamknęła oczy. Pod powiekami leniwie płynęła szara rzeka. Wystarczyło unieść powieki, aby wpuścić światło. Czemu tak długo obywatela się bez niego.

BARBARA BORKOWSKA

KLEPSYDRA

Nie pamiętała, kiedy to się zaczęło. Przy kościołach, cmentarzach czytała nekrologi nowe i wysuszone, zagięte na rogach przez wiatr, słońce. Umierały matki świętej pamięci synów, żony profesorów, kochani wujowie, prawi ludzie. Żegnani przez Adasia z Elą, żonę na końcu listy, nikogo. Żałobnicy pytali zmarłego, jak mógł im to zrobić, wołali- To nieprawda, że Cię nie ma. Do zobaczenia. Mawiał też głos stamtąd- Nie czekajcie, nie wróćcie. Nie śpieszcie się, poczekam. Nekrologi zawiadamiły o śmierci, a ona widziała w nich życie.

Powoli zaczęła też podglądać grobowce, tablice epitafijne i tęskniła za porządkiem świata, gdzie babka sprzed stu lat, publicznie wyznawała, że jest nieutulona w żalu po tragicznej śmierci wnuczki, a ktoś prosił w epitafium o westchnienie dla Emilki.

Tego dnia była bliżej życia i kiedy wybiegła z pracy po pierogi, hejnalista grał nie tylko w radio, a jesień płała się na złoto. W okolicach Mikołajskiej z oddali zobaczyła szary kucyk Karola . Pobiegnęła za nim, ale zniknął jak zjawą, zresztą nie pierwszy raz, odkąd odleciał na perskim dywanie w nieznanne. Pewnie jest tam naprawdę aniołem ze zdjęcia z jasełek. Kiedyś go złapie i znów pogadają o podróży na Wschód, jak dwa lata temu na Plantach, oby tylko już tak nie palił. Teraz kiedy niosła przed sobą w pudełku ruskie, jak Kasia jego urnę wiosną, poczuła, że on znów wrócił. W majowym nekrologu, prosiła- Jeśliś przyjaciel zabołej.

Przed zmierzchem wróciła na Rakowice i zapaliła świecę na pustym miejscu po nim.

Do zobaczenia kumplu z pracy!



JAKUB CIEĆKIEWICZ

UCIECZKA DO TANGERU W KRÓLESTWIE MAROKA

(FRAGMENT)

Oddech Afryki

Za Algeciras autobus jest pusty. Został kierowca Marokańczyk, smutny żołnierz i ja. Tymczasowi. Bez stałego miejsca. Domu, żony, dzieci, obowiązków. Zakleszczeni w podróży. A może wolni? Wystawieni na pokusy chwili. Zamyśleni, ale skłonni do szczerości, bo przecież więcej się już nie spotkamy.

Kierowca marzy o rodzinnej wiosce w Górach Rif. Wypełnionej owcami, kozami, rozwrzeszczanymi dziećmi i starcami. Mahomed siedzi sobie na przyzbie kamiennego domku, pali marihuanę, pogryza aromatycznymi oliwkami z białym chlebkiem. Czeka aż żona wróci z targu i ugotuje tadżin. Patrzy na zatokę. Powoli zapada w nieistnienie. Taki stan nazywa się szczęściem. Czasem nudą. Albo głęboką uwagą. Jak można było z niego zrezygnować?

Żołnierz jest zły, bo kazali mu bronić świata w czasie pokoju. Kiepska to praca, choć rycerze wykonywali ją od czasów średniowiecza. Wylewali z murów miast wrzącą smołę i odpychali bosakami drabiny. A przeciwnicy leźli, leźli, więc ich zabijali. Teraz bronią migrantów stały się łzy kobiet, krzyki dzieci, wystraszone oczy i błagalne gesty. Dla wrażliwca dramat!

Żołnierz napisał pracę maturalną z Cervantesa i kazano mu walczyć z wiatrakami. Marzy o andaluzyjskiej narzeczonej z dużym biustem i czarnym, lśniącym warkoczem. O flamenco. Dźwięcznych balladach. Czerwonym winie. O ciepłych wieczorach na Albacinie.

I jeszcze jestem ja. Bezrobotny publicysta. Na tropach hrabiego Jana Potockiego, który był pierwszym Polakiem w Maroku. Wyjechał w 1791 roku z tajną misją od Stanisława Augusta Poniatowskiego do cesarza Jezida. Wręczył mu «wspaniałą» karabelę. Otrzymał w darze czarnego ogiera. A po drodze wymyślił powieść: «Rękopis znaleziony w Saragossie.»

Kierowca kręci kołem jak robot. Za oknami o skały uderzają żółte bałwany piany. Liżą szosę i cofają się, jak pies uskakujący przed kopniakiem. Wzdłuż plaż stoją pordzewiałe kontenery, wzdłuż dróg wysmarowane sprayami budki przystanków. Na polach śmierdzące przetwórnice ryb i krabów. Wewnątrz czarni mężczyźni w ogrodniczkach i ciemnych gumowcach. Filetują, wkładają do słoików, taśma rusza... Tu kontynent się wyczerpuje.

Wszystko, co było wcześniej zwarte ulega wypaczeniu, zmienia się w nieład i brzydotę. Rozpada w entropii. To prawdziwy świat – Ultima Thule.

W knajpie „Tanger”, wyłożonej białą–zieloną terakotą, panuje chłód i mrok. Przy barze siedzi kilka smagłych prostytutek w połyskliwych sukienkach. Uśmiechają się. Kokietują.

- Ej, Romeo, chcesz poigrać za 100 euro?
- Jaki tam ze mnie Romeo? Mam 20 kilo nadwagi.
- Chodź, chodź, już ja cię odchudzę...
- Dziękuję, ale nie skorzystam. Mogę ci postawić drinka.

Z głębi sali dziwne typy wysyłają ciemne spojrzenia. Ktoś podaje pod stolikiem pakunek i odbiera zwitek banknotów. Broń? Narkotyki? Forse? Paszporty? W takich miejscach handluje się wszystkim.

– Właściciel knajpy powiesił się na tym żyrandolu – pokazuje palcem Halima, przed którą stawiam kieliszek z parasolką. – Bank go docisnął.

- I co dalej?
- Córka przejęła interes. Ma bar, nas i skutery.
- Robi w rozrywce?
- Można powiedzieć. Na pewno nie dasz się skusić? Może 50 euro za francuza?

Stojąca przy szynkwasiu kobieta się uśmiecha. Robi wrażenie, jakby miała wszystko za nic. Pewnie chroni ją komendant policji, wąsaty psychopata. W „Tangerze” Czuć już oddech Afryki. Prawdziwego życia. Piękna i okrucieństwa. To nie jest „opowieść egzotyczna, w której ona i on przemierzają niebezpieczne, choć urzekające przestrzenie, odnajdując miłość” – jak piszą redaktorzy na okładkach książek.

Wiem coś o tym. Przez dwadzieścia lat redagowałem losy fikcyjnych postaci.

W tym czasie mogłem wyjść na Mount Everest. Zdobyć piękną kobietę. Upolować lwa. Odnaleźć Atlantyde. Poprzestałem na krótkich trekkingach do Afryki i pisaniu egzotycznych reportaży.

Mało? Dużo?

– Proszę whisky z lodem. Nie, nie 20, od razu 80 mililitrów. No to zdrowie. Salud! Chin chin! Brindemos por Halima.

Do knajpy wbiega para dzieci. Ona, smągła, w podkoszulku i krótkiej spódniczce, on czarny z szerokim nosem, w płóciennych spodniach i koszulce polo. Siadają obok. Zamawiają kurę z frytkami. Chłopiec je jak zwierzę. Pożera oliwki i chlebek maczany w oliwie. Dziewczyna pije Sprite. Na pierwszy rzut oka: wolontariuszka i uciekinier.

– Pierre, a może chcesz jeszcze kotleta? Najedz się do syta...

– Merci, merci...

Pierre. Przypomina chłopca, którego kiedyś spotkałem w Oranie. Miał szaro–czarną gliniastą twarz, czerwone oczy, a we włosach kilka garści pustynnego piachu. Przemierzył osiemset kilometrów ciężarówką w zapachu potu, moczu, kału, spermy, w saharyjskim upale. A potem przykuśtykał na medynę, bo pragnienie życia i głód były silniejsze od zmęczenia. Jedną rękę oparł na ladzie, drugą szukał pieniędzy. Sprzedawca sięgnął po chlebek, przeciął go, wrzucił sardynki w oleju. Migrant żarł zachłannie. Kiedy dałem mu flaszkę wody Sidi Ali wystękał – „Merci” i spróbował się uśmiechnąć. Coś nas teraz łączyło – Araba, Polaka i Afrykańczyka. Wyznawcę islamu, katolika, animistę? Zapamiętałem tę chwilę i noszę ją w sercu. Bo czasem ludziom udaje się być po prostu ludźmi. Nie pytają – skąd, po co, dlaczego. Nie osądzają. Nie mają uprzedzeń. Dają z serca.

– Skąd migrujesz? – pytam Pierre’a.

Chłopak patrzy przez chwilę nieprzytomnym wzrokiem. A potem wyrzuca jakby wyczone zdania.

– Jechałem „szlakiem Marlboro”. W Oranie zarabiałem nosząc kobietom zakupy z targu do domu. Poznałem kolegę, Errola z Mali. Zamieszkaliśmy w tanim hotelu. Czekaliśmy na pieniądze od krewnych. W barze spotkaliśmy przemytnika, który przewiózł nas łodzią do Maroka i zaprowadził do leśnego obozu. Żyliśmy w górach, w szałasie krytym folią. Tam było mnóstwo osób. Mieli kuchnię. Wystawiali warty. Zbijali drabiny do pokonania muru.

– I co dalej?

– Popłynęliśmy pontonem. W łódce siedziało pięćdziesiąt osób. Kiedy podniosła się fala, rękami wylewaliśmy wodę. Tylko raz przecięliśmy kurs tankowca i zachybotali na fali dziobowej. Wtedy Errol wyleciał za burtę. Reszta dotarła na plażę. W fundacji dostaliśmy koce, materace, buty. Teraz jedziemy z Camilą wyrobić czterdziestodniowe prawo pobytu w Hiszpanii.

– Nie jesteś uchodźcą politycznym. Pewnie dasz drapaka do Niemiec? I co dalej?

– Chcę zostać lekarzem.

– Masz chociaż maturę?

– Nie. Ale mam kuzyna, który pisał, że w Europie jest przyszłość.

– Człowieku, wiesz ile trzeba umieć, żeby zostać lekarzem? To są lata siedzenia nad książkami. Macham ręką.

– Może byś go nie dobijał? – syczy wolontariuszka.

Ciekawe, czy mu się dzisiaj odda?

Wychodzę z piwem Barbieri na podwórkę. Wokoło rozkład, złom, tektura, plastikowe torby. Dyskretna atmosfera schyłku. Kocham entropię. Kozy skaczące po zaułkach, osły skubiące liście akacji, miejsca, w których świat jest wypełniony potem, krwią i dramatem. W miasteczku portowym wszystkie nieszczęścia się kumulują.

To miejsce zostało powołane do życia przez Boga przypadkiem. Pan rzucił na piachy zbieraninę klocków, które mu zostały z układanki. Po okolicy łązą chude psy i koty. Po ulicach krążą busy Carawana Funebre. Mężczyźni w czarnych ferszalunkach i ciemnych okularach zwożą z plaży zwłoki, żeby turyści mogli wygodnie surfować, bo fala w tym miejscu jest wysoka. Nie uśmiechają się. Robią w trupach. Migranci podróżują w szarych workach – z morza wprost do piachu. To ostatnia i najkrótsza droga.

Brnę w stronę portu pokonując opór upału. Czuję falowanie cząstek piasku, wirowanie atomów, podskakiwanie słupków termometrów. Miasteczko Portowe to dziwne miejsce, gdzie na ulicę spada deszcz ryb, a dach kościoła rozwalił rosyjski satelita szpiegowski. To punkt końcowy cywilizacji europejskiej. I równocześnie początkowy czegoś odmiennego. Punkt obserwacyjny na świat, który wciąż migruje. Wszyscy wędrują, podróżują, bo nie są szczęśliwi w korpokulturach. Więc idą. Jadą. Lecą. Płyną. Jako migranci, turyści, expatrianci. Próbuje zająć czyjeś miejsce, ale nie mogą być szczęśliwi, póki go nie oswoją. A to wymaga wysiłku. Na rumowisku świata człowiek musi się wcielić w rolę Boga.

Jakub Ciećkiewicz, krakowski pisarz. W młodości zajmował się krytyką literacką i reportażem, pracował w różnych gazetach, na różnych stanowiskach, z różnym skutkiem. Publikował m.in. w „Polityce”, „Tygodniku Powszechnym”, „Dużym Formacie.”

Debiutował mikropowieścią „Koniec świata na mojej ulicy”, za którą otrzymał nagrodę Krakowska Książka Miesiąca (Austeria, marzec 2021) i wyróżnienie w Literackiej Nagrodzie Motyli (2022, dwa wydania). Rok później, również nakładem Austerii, wyszła jego kolejna powieść: „Nocny maraton tańca”, napisana podczas rocznej kuracji w Szpitalu Uniwersyteckim. Cudownie uzdrowiony zmartwychwstał. Zredagował. Wydał.

„Ucieczka do Tangeru w Królestwie Maroka” to opowieść awanturnicza, historyczna i współczesna, z elementami eseju i reportażu, podsumowująca wieloletnie zainteresowania oraz przygody autora na Czarnym Łądzie. W podróży towarzyszy mu hrabia Jan Potocki, którego losy znajdują zaskakujące, nowe zakończenie. To także książka o zagubieniu współczesnego człowieka i eksplorowaniu sensu w niepewnym świecie. O uciekinierach, uchodźcach, migrantach i poszukiwaczach szczęścia.

Autor jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i prestiżowego Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego.

KRYSTYNA HABRAT



ZA WIELKI STOLIK NA WIGILIĘ

– Mamo, po co zamieściłaś to zdjęcie na Facebooku?

Milczała, szukając gorączkowo wyjaśnień. Telefon wyrwał ją ze snu, bo zasiedziała się wczoraj z książką do późna. Teraz milczy zbita z tropu. Myślała, że to zdjęcie go rozbawi. Nie chciała, by tam daleko się o nią martwił. Tymczasem on kontynuuje:

– Żeby wszyscy wiedzieli, że ci źle? Musiałaś?

Tysiące kilometrów, morza i oceany, których nazw by w tej chwili nie potrafiła wymienić, nie zdławiły nabydzonego tonu, jakim Maciek to mówi. A mówi tak do niej coraz częściej. Jak zwykle w takiej chwili Agata gubi wszystkie słowa, jakie dla niego długo przygotowywała. Strapiona, że naprawdę głupio zrobiła stoi z telefonem mocno przyciśniętym do ucha i nie wie, co powiedzieć.

Syn zadzwonił aż z Nowej Zelandii i drogo zapłaci za każdą minutę połączenia. Wreszcie przygniecione telefonem ucho zabolowało ją i krzyknęła rozpaczliwie:

– To zdjęcie z restauracji czy też baru „Konwalia”. Dałam je po to, żebyś zobaczył, że nie płacę... Tak dla hecy! Wiesz, że lubię takie figielki.

Wierzył, nie wierzył, ale znowu zapadło milczenie. Najpewniej delikatna nazwa owej restauracji go rozbroiła. „Konwalia” - właśnie teraz w mróz, śnieg i ciemności zapadające w Polsce już przy obiedzie.

Agata pomyślała, że chyba rwie się połączenie z odległym światem, ale wreszcie usłyszała:

– Mamo, życzę ci Wesołych Świąt... - tu zawahał się, lecz szybko dokończył – razem z Marysią i Jasiem.

Przez chwilę czekała, co więcej powie, ale milczał. Przestraszyła się, że rozmowa na tym się kończy, więc krzyknęła:

– I ja życzę wam szczęścia na Nowy Rok! – nagle przerwała. „Stuknij się kobieto w czoło! Czy to się mówi w Wigilię?!”

Zastanowiła się: „Jakże ona teraz żyje? Byłe jak. Nie jak normalni ludzie według kalendarza dni powszednich, wypisanych na szaro i świąt na czerwono. Nie według wschodów i zachodów słońca. Tylko według terminów kolejnych wystaw, plenerów. Czasem w nocy zaczyta się w powieści, a w dzień śpi. Cały rok chodziłaby w jednych spodniach. I nie mówi już

ludzkim językiem, bo niewiele ma do tego okazji”.

Po dłuższej przerwie usłyszała w słuchawce słowa syna:

– Czy to naprawdę było wszystko, co miałaś na Wigilię?

– Ach, chciałam to szybko mieć za sobą. I tak ten stolik był za wielki...

– A na święta masz, co potrzeba?

– No pewnie! – zawołała z przesadnym entuzjazmem, wcale nie pamiętając, co ma w lodówce.

– A co masz dobrego? – wykrzyknął syn i urwał, jakby coś zatkało mu usta. Może dłoń żony? Marysia, jak to lekarka, nie ceniła jej malarstwa, bo dla niej liczył się jedynie świat lekarzy. Wszyscy inni byli poniżej.

Agata nie śmiała nic więcej dorzucić. Zapomniała wszystkich słów, jakie tak długo dla syna szykowała. To już musiało wystarczyć. Rozmowa była skończona.

Spojrzała w monitor komputera, gdzie w barze „Konwalia” na małym, okrągłym stoliku, blisko wyjścia stała niedopita jeszcze kawa, niedojedzone ciastko i ona w czarnym golfie, trochę nieprzytomna, potargana. A poniżej tryumfalnie obwieszczenie: „Ja już po Wigilii”.

Wyszło to spontanicznie. Gdy jacyś ludzie pospiesznie opuszczali bar przestraszyła się, że zaraz zamkną, bo dziś kończą wcześniej. W popłochu zatrzymała ich, by pstryknęli jej fotkę. Napis: „Ja już po Wigilii” dodała już w domu.

Wydało się jej to dowcipne. Od dawna potrafiła udawać, że jest lepiej niż w rzeczywistości. Że nie dba o to i tamto. Bo ma duszę artystki. Wprawdzie czasem od robienia dobrej miny do złej gry, cierpły jej zęby, ale się nie poddawała. Roześmiała się teraz głośno, na co w ciszy samotności rzadko sobie pozwalała, za to powiedziała głośno sama do siebie, co akurat coraz częściej jej się zdarzało:

– Cóż, naprawdę taka Wigilia wystarczy. Zdecydowanie ten stolik był za wielki.

Na odchodne kelner wręczył jej litościwie paczuszkę od firmy „dla najmilszego bywalca”. Jeszcze ładnie coś powiedziała, gdy ona znowu zapomniała języka ze wzruszenia. Na zapleczu powoli gasili światła. Wtedy na gwałt odważyła się zamówić coś na wynos. Co tam jeszcze mają. Co zechcą...

I w parę minut później obarczona wielką torbą w srebrne gwiazdki z rozmachem otworzyła drzwi lokalu, a wiatr trzasnął nimi przyległą ścianę i odepchnął ją. Ale wyszła. Kelner jeszcze coś mówił za nią roześmiany, czego nie dosłyszała, i zaryglował za nią wejście. Skrzypnęły metalowe żaluzje. Od progu przeniknął ją chłód. Kolejny podmuch przychylił ku ziemi. Na szczęście mieszkała nieopodal.

Cóż z tego, że jest sama?! Syn, jak to lekarz, jest bardzo zapracowany, jego żona również, a tak długo marzyli o tej Zelandii. Tego roku wypada więcej dni wolnych i łatwiej było wyrwać się im z dyżurów w szpitalu, skąd na czas świąt pacjenci i tak uciekają do domu. No i łatwiej wyjechać tak daleko, bo w ten czas większość ludzi woli zostać przy domowym stole i choince i śpiewać kolędy.

Tylko ona się wygłupiła z tym zdjęciem w barze i Maćkowi wstyd. A to ni bar, ni kawiarnia, czy restauracja, bo i obiad można zjeść i ciastko, ale wszyscy mówią, tak jak widnieje na szyldzie, „Konwalia”. Zresztą i ta nazwa ni przypiął, ni przyłatał, dobra wiosną, ale nie w zimie. Już by jakaś "Gwiazdka Śniegu" lepiej pasowała, ale znów nie latem.

Właściwie czemu wczoraj poszła do „Konwalii” ?

Jadała tam czasem obiad, wstępowała na kawę i znali ją. Wiedzieli, że jest sama. Gdzie indziej nie chciała się z tym afiszować. Dziś głupio zapragnęła być wśród ludzi, choć nie wiedziała, jak tam będzie. Pomimo rozświetlonej wszystkimi kolorami choinki na środku, w kątach czaił się mrok. Senne kolędy z głośnia wpędzały ją w melancholię, jako coś jej nienależne, jak z innego świata, już nie jej i wbrew niej. Straciła przytulny świat rodzinności nie ze swej woli. Stworzyła sobie inny, z większą możliwością pięcia się w górę, ale zimny i okrutny, gdzie przytulność i łądność jest kiczem. Tylko samotność warunkiem nieodzownym.

A w barze jakieś pary siedziały przy stolikach nieruchomo, potem śpiesznie wychodziły. Podejrzewała, że to bezdomni kochankowie, a w domu czeka na któregoś z nich żona albo mąż. Poniosła ją wyobraźnia, podsycana czytowanymi nieustannie powieściami, i zaraz się zgaśniła, że prawda może być zwyczajniejsza. Ot, dwoje znajomych z sąsiednich biurów w biurze zmarzło na przystanku tramwajowym i przyszło ogrzać się kawą. Albo omówić niedokończony problem z pracy. Przepuścili kilka tramwajów i gadali, gadali. Teraz rozjadą się w przeciwne strony różnymi tramwajami. A może nie?

Tylko ona dopatruje się wszędzie uczuciowych wątków, bo to ją mąż przed laty porzucił dla innej. Po prostu chciała malować i z trudem przychodziło jej wkładać serce w domowe obowiązki. Wykonywała wszystko, co musiała: gotowała, prała, sprzątała, ale towarzyszyło temu zniecierpliwienie, że marnuje czas. I talent. Czasu wciąż jej brakowało. A talent? Któż to naprawdę wie?

W domu wybuchały kłótnie o byle co. Najczęściej o to, czego nie zdołała zrobić, bo malowała. I o to, co zrobiła źle, bo w pośpiechu. To mleko wykopiało. To do białych rzeczy w pralce zaplątała się czerwona skarpetka dziecka i całe pranie zaróżowiło się. Pamiętała, jak Andrzej się wściekł, gdy zobaczył swój biały kitel lekarski zafarbowany. Zanuciła mu piosenkę Edith Piaf „Świat na różowo”, ale on wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Nie było go do późnej nocy. Wtedy po raz pierwszy.

Potem coraz częściej.

Ale, jak się wyprowadzał, zabrał obraz, jaki mu kiedyś podarowała. Patrzyła przez okno zza firanki ich dawnego mieszkania na parterze, jak upycha go do bagażnika. Miała nadzieję, że skoro zabiera obraz, jaki mu namalowała, to nie odjedzie. Ale siadł za kierownicą, zamknął drzwi i ... ruszył. Może zawróci? Nie zawrócił. Czekala kilka lat. Wyprowadziła się stamtąd, gdy Maciek się ożenił.

Od tej pory martwiła się, czy Andrzej odnajdzie ją na nowym osiedlu i aż na piętnastym piętrze, a właściwie poddaszu, gdzie były tylko pracownie artystów? Zaraz jednak szczypała się w rękę dla opamiętania. Na tym piętrze wszyscy żyli podobnie. Mieszkali tu sami artyści. Była im życzliwa, ale trzymała dystans. Żaden inny mężczyzna jej nie zainteresował oprócz Andrzeja. Żaden brodaty i kudłaty kolega po fachu. Andrzej był higienicznie zadbany, pachnący wodą po goleniu, pedant w układaniu koszul w szafie. Sam sobie prasował spodnie.

Czasem jednak należało opić czyjeś smutki, lub nagrodę, a czasami sprzedaż obrazu. Ktoś wystawiał wtedy stół na korytarz i z dala od pocziwców z niższych pięter, można było pobiesiadować, popić i pośpiewać. Jej jedna kolejka wystarczała, potem szła do siebie. Roześmiała się teraz, ogrzewając przyniesiony z baru barszcz z uszkami, i znowu powiedziała sama do siebie:

– Na szczęście Maciek nie zrobił mi dziś takiej awantury jak poprzednio za tamto zdjęcie na Facebooku, gdzie z kielichami w dłoniach pijemy szampana, bo sprzedałam intratnie obraz. Stropiła się, czy poprawnie użyła słowa „intratnie”, choć samo się jej nasunęło. Maciek ciągle ją poprawia. Powinna sprawdzić, ale czuła obezwładniający opór całego ciała, by iść do pokoju i wyciągnąć z półki słownik. Przecież już rzadko rozmawia z kimkolwiek. Zapomina słów. Gubi je. Przekręca.

– Zjem najpierw ten barszczyk.

Od lat nie płakała. Oczy jej dawno wyschły. Na drzwiach wejściowych w przedpokoju wymalowała staroegipski aforyzm: „Szczęście przychodzi do domu, gdzie słychać śmiech.” Ale śmiechu tu za dużo nie ma. Ciszy też nie słyszy, bo cały dzień maluje albo czyta. Zapomina nawet włączyć radio, choć dawniej Andrzej ustawiał je w każdym pokoju. On lubił muzykę, hałas, ruch, podczas gdy ona wołała stać godzinami w ciszy przy sztalugach. Andrzej to wszystko zostawił. Aż popsuły się te radia po kolei.

Nie zawsze na wszystko wystarcza jej pieniędzy. Musi sobie dorabiać w różnych kółkach dla seniorów, którzy na starość odnaleźli artystyczne powołanie. Podsycą ich wiarę w siebie, żeby jakoś sama mogła wiązać koniec z końcem. Dobrze, że syn z synową rzadko tu zagląдают, bo mieliby co krytykować. Nie tylko jej zwariowane zdjęcia na Facebooku czy przekręcane słowa.

Ciekawe, czy Andrzej widział dziś w internecie jej samotne świętowanie? Podobno żałuje, że się tak potoczyło. Uszczypnęła się w rękę. Znowu czepia się głupiej nadziei. Wie przecież dobrze, że nie wróci do niej, ale wciąż o tym zapomina.

Ojej, przegapiła moment. Barszcz czerwony nie powinien się powtórnie zagotować, bo straci kolor.



Z KRYSTYNĄ MILEWSKĄ ROZMAWIA IRENA KACZMARCZYK

Z panią Krystyną Milewską umówiłam się w maju 2025 roku. O godzinie 11.30.

Pod witrażem Henryka Uziębły wita mnie przystojna, zadbana starsza pani. Zapraszam ją do zarezerwowanego stolika, który sąsiaduje z kominkiem zaprojektowanym przez Karola Frycza. To jedno z najważniejszych miejsc w secesyjnej kawiarni, gdyż tutaj w 1911 roku rodził się projekt wystroju dzisiejszej Sali Frycza. Nad naszymi głowami wisi podświetlony obraz Kazimierza Sichulskiego „Kabaret Zielonego Balonika”.

Na twarzy Pani Krystyny zauważam delikatne, uśmiechnięte zakłopotanie. Pytam:

– Pani Krystyno, jak Pani czuje się dzisiaj w Jamie Michalika, w miejscu, którego właścicielką w latach 1935-1956 była Pani mama – Stefania Maturowa?

– Krystyna Milewska: Trochę nieswojo. I bardzo rzadko tu bywam. Ostatni raz byłam kilka lat temu z siostrzeńcem mieszkającym w Wiedniu, który w dzieciństwie przychodził do Jamy Michalika na lody i bawiliśmy się razem na przyległym do kawiarni podwórku.

– Dlaczego nieswojo?

– Czuję w sobie jakąś przykrość. Zadrę. Że to już nie jest „nasze”..., że nie obsługuje klientów moja mama, nie ma już kantorka, w którym mój tata, z zawodu nauczyciel, zajmował się księgowością a ja przy drugim biurku odrabiałam lekcje. Jama Michalika była moim drugim domem w szkole podstawowej i w gimnazjum. Ocalała mi fotografia na której z koleżankami: Martą Wyką (dziś profesorką na UJ), Krystyną Żabińską (lekarzką) idziemy ulicą Floriańską na lody i ciastka do Jamy Michalika. Moja mama z okazji pierwszej Komunii św. zaprosiła nas na słodki poczęstunek.

– Pani Krystyno, właśnie nasze dzisiejsze spotkanie zawdzięczam dr Krystynie Żabińskiej, która jest również posiadaczką wspomnianego przez Panią zdjęcia.

– Przyjaźniłam się z Martą Wyką i Krystyną Żabińską, chodziłyśmy do tej samej Szkoły Podstawowej nr 13 im. A. Mickiewicza w Krakowie. Wykorzystywałyśmy każdą wolną chwilę na rozmowy, spacer, zabawy. To była taka dziewczęca beztroska.

– Wróćmy do drogi edukacyjnej...

Po ukończeniu szkoły średniej, marzyłam o studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim. Interesowałam się historią sztuki, ale rodzice zdecydowali o bardziej praktycznym zawodzie i ukończyłam farmację na Wydziale Farmacji na Akademii Medycznej. Przyznam, że pokochałam ten zawód i byłam wdzięczna właścicielowi apteki, panu mgr. Tadeuszowi Pankiewiczowi za to, iż przekonał moich rodziców, bym wybrała właśnie ten zawód.

– Ile lat miała Pani w roku 1935, gdy Mama została właścicielką Jamy Michalika?

– Jeszcze nie było mnie na świecie...(uśmiecha się Pani Krystyna). Urodziłam się tuż przed wojną. Znam czasy okupacji. Pamiętam moje dzieciństwo, gdy rodzice rano wychodzili z domu i wracali późnym wieczorem. Po zakończeniu zajęć szkolnych przychodziłam do Jamy. Przy bufecie był maleńki kantorek, w którym odrabiałam lekcje. Kuchnia gotowała

obiady dla całej naszej rodziny. Obok kawiarni było małe podwóreczko, tam bawiłam się z koleżankami i siostrzeńcem, który jak wspomniałam, mieszka w Wiedniu. Dużo wiem z opowiadań rodziców.

– Gdzie Państwo mieszkali?

– Mieszkaliśmy przy ulicy Krowoderskiej. Nasz dom był otwarty. Po zamknięciu kawiarni, przychodzili do nas artyści: Kazimierz Sichulski, Karol Frycz i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Dom zamieniał się w salon sztuki. Rozbrzmiewał śmiechem, żartami. Pewnego razu Kazimierz Sichulski zaproponował ojcu wykonanie portretu-karykatury. Ojciec nie chciał się zgodzić, gdyż był po całym dniu pracy bardzo zmęczony. Pan Kazimierz jednak przekonał go i dzisiaj mój syn jest w posiadaniu wykonanego w żółtej sepii wizerunku ojca Stanisława Matury. Kazimierz Sichulski był bardzo wesołym, dowcipnym, zabawowym człowiekiem. Było dużo radości i śmiechu podczas tych spotkań.

– A Karol Frycz? Jak go Pani zapamiętała?

– Karol Frycz był stałym bywalcem w naszym domu. Zapamiętałam jego elegancki, wytworny wygląd i maniery. Zawsze kulturalny, stonowany, miły. Przedwojenny wzór. Z ojcem rozmawiali przeważnie o polityce. Karol Frycz był wtedy dyrektorem Teatru im. J. Słowackiego i obdarzał rodziców biletami na spektakle, więc korzystaliśmy z tej okazji. Poznałam zatem wielu aktorów: Irenę Solską, prawie 100-letniego Ludwika Solskiego, który nigdy nie przychodził do Jamy, Eugeniusza Fulde, Ludwikę Castori, Jerzego Woźniaka, Helenę Chaniecką, Jana Kurnakowicza. Aktorzy ci byli stałymi bywalcami Jamy Michalika.

– Kto jeszcze gościł w Jamie Michalika?

– Częstym gościem w kawiarni był mgr farmacji Tadeusz Pankiewicz. To on poradził ojcu, abym podjęła studia na farmacji, które miały zapewnić mi byt materialny. Niestety, podczas moich studiów, apteki się znacjonalizowały. Ale nie żałuję...

– Stefania Maturowa została właścicielką Jamy Michalika w roku 1935. Zabezpieczyła ocalałe po licytacji dzieła sztuki. Było ich ponoć niewiele ponad dwadzieścia pięć procent stanu sprzed 1930 roku. Zdołała jeszcze przed drugą wojną światową dokonać gruntownego remontu. Dzięki niej Jama przetrwała w ówczesnym kształcie do lat pięćdziesiątych. Z nienaruszonymi ścianami, z wytartymi kanapami lokal przekazano wówczas Krakowskiemu Zakładowi Gastronomicznym.

– Mama kochała to miejsce?

– Mama była kobietą przedsiębiorczą, optymistką, nie bała się wyzwań, więc pomimo sprzeciwu mojego ojca, który twierdził że na artystach nie da się zarobić, rodzice zakupili Jamę Michalika. Wcześniej prowadzili dwa lokale sezonowe: Okrągłak „Jordanówkę” w Parku Jordana i „Zakopiankę” na Plantach. Mama była silną psychicznie kobietą. Jej pierwszy mąż (zmarł na gruźlicę zostawiając dwóch synów) był kierownikiem Sali Gastronomicznej w Grand Hotelu. Tam mama stawiała pierwsze kroki w zarządzaniu restauracją. Przed nabyciem Jamy Michalika zdawała egzamin czeladniczy i mistrzowski z cukiernictwa.

– Pamięta Pani wystrój Jamy Michalika z tamtych lat? Czy coś się tutaj zmieniło?

– Według mnie wystrój kawiarni niewiele się zmienił. Te same świetliki, witraże, kominek... Może stoliki mają inny kolor blatów. W latach urzędowania mojej mamy miały czarny kolor. Przedwojenne czasy były bardzo trudne. To były lata kryzysu. Artyści najczęściej jedli i pili „na kredyt”. Mój ojciec miał specjalny zeszyt, w którym zapisywał długi stałych bywalców kawiarni. Bardzo się tym denerwował. Pamiętam, jak w chwilach zwątpień mama go przekonywała: *Stasiu, to że nie mamy pieniędzy, to nie wszystko. Każdy ma swoją „kalwarię”. A to jest sławny lokal. Nie rezygnujmy.* Mama kochała Jamę ponad wszystko.

– Pani Krystyno, wiemy że brak pieniędzy w kieszeniach artystów był stałym problemem właścicieli krakowskich kawiarni. Pozwoli Pani, że przytoczę tu fragment piosenki Boya Żeleńskiego, która wybrzmiała w Jamie Michalika w szopce z 1911 roku:

Miał se Michalik cukiernię,
Kupczył w niej trzeźwo i wiernie,
Kawusia, ciastka i pączki
Zapłata z rączki do rączki.

Kredytu śmiertelny on był wróg,
Toteż mu za to poszczęścił Bóg,
Że serce dla gołców miał z głazu,
Nie zrobił berkele ni razu.

– Czy coś wyjątkowego utkwilo w Pani pamięci z tamtych lat?

– W pamięci utkwil mi duży, piękny obraz, który stał w przejściu pomiędzy Salą Zieloną i Salą Fryczowską. Na jego płótnie śliczna, młoda kobieta z koszem róż i papierosami witała gości w Jamie. Obraz był podziękowaniem dla mojego ojca, co zostało uwiecznione na odwrocie dzieła w słowach: „Panu Stanisławowi Maturze za niepłacone kawy”. Nie wiem, gdzie jest aktualnie ten obraz, gdyż rodzice „tak jak stali” w 1956 roku zmuszeni zostali przez władze do natychmiastowego opuszczenia Jamy Michalika, a lokal przekazano wówczas PSS „Społem”.

Mama odbyła kilkumiesięczną karę więzienia, bo nie posiadała pokwitowania na zakupiony worek mąki i kilogram cukru, który podczas rewizji znaleziono w naszym domu. Przypląciła to zdrowiem i w wieku 69 lat zmarła. Pięć lat potem zmarł ojciec, zostawiając długi i zobowiązania. Po śmierci rodziców, w latach siedemdziesiątych, musiałam te długi spłacać.

Muszę powiedzieć, że Jama Michalika była lokalem trudnym do utrzymania. Rodziców wykańczały „domiary” ze skarbówki. W szkole musiałam pisać, że jestem córką nauczyciela emeryta. Nie mogłam się przyznać, że jestem „michalikówna”. Takie to były, jak Pani wie, czasy...

Co jeszcze pamiętam?

Kawiarnię odwiedzali sami starsi ludzie. Podawało się wiedeńskie śniadania. Artyści żywili się „na kredyt”. Pamiętam też pana Millera – pianistę, który grał w Jamie Michalika podczas wieczorów tanecznych w okresie okupacji. Uczestniczyli w tych wieczorach stali bywalcy kawiarni. Pan Miller grał później w Filharmonii Krakowskiej.



Kazimierz Sichulski, Portret Stanisława Matury, 1937

– Pani Krystyno, czytam w Pani oczach zadowolenie z dzisiejszego spotkania w Jamie Michalika, która kiedyś była dla Pani drugim domem.

– Nie ukrywam, że gdy Pani do mnie zadzwoniła, prosząc o rozmowę, byłam pełna obaw... jak odnajdę się po wielu latach w tak bliskim mi miejscu? Jestem szczęśliwa, że zastaję Jamę Michalika w dobrej kondycji. Zapamiętane z dzieciństwa dzieła sztuki są zadbane, ich patynowe piękno nie poddaje się czasowi, nastrój zachęca do ponownej wizyty w jej progach. Zaproszę tu moich wnuków na dobrą kawę w Sali Frycza i przypomnę im historię Jamy Michalika z lat 1935-1956, kiedy o jej wizerunek dbali moi Rodzice – Stefania i Stanisław Maturowie. Serdecznie Pani dziękuję za zaproszenie.

– A ja życzę Państwu pięknie spędzonych chwil w tym kultowym miejscu, przypominającym Pani dzieciństwo i młodość.

Krystyna Milewska. Krakowianka od wielu pokoleń. Urodziła się w 1938 w Krakowie, gdzie ukończyła Szkołę Podstawową nr 13 im. Adama Mickiewicza, prestiżowe Liceum Ogólnokształcące nr 10 im. Józefa Joteyko i Wydział Farmacji na Akademii Medycznej. Pracowała na stanowisku kierowniczym w wielu krakowskich aptekach. Zainteresowanie historią sztuki zrealizowała kończąc Uniwersytet Trzeciego Wieku na UJ.

Kraków, 29.08.2025

ANNA MARIA MICKIEWICZ

WIERSZE

CZEREŚNIE

Lato. Szara dróżka pośród starych czereśni. Białe soczyste owoce spadają bogato zasypując świeżą trawę. Zawsze tak jest o tej porze roku. Owoce wabią stada brzęczących os.

Słodki zapach rozkładających się kulek przyciąga robactwo. To najpiękniejszy widok.

Babcia jednak nie lubiła tych starych, garbatych drzew. Za każdym razem w czerwcu powtarzała stanowczo, tylko kłopot, przyciągają osy, jeszcze pogryzą dzieci.

Owady urastały w naszych oczach, stawały się monstrualnymi, dzikimi zwierzętami.

Tak, odpowiadał sąsiad, w zeszłym roku ukąsiły moją wnuczkę w powiekę, pojechaliśmy do szpitala.

Po co to wszystko, te opowieści groźnie lęgące się w umysłach, napychające wyobraźnię słuchaczy, tworzące kolejne mity.

A to tylko niewinne czereśnie. Białe, niespotykanej urody, o delikatnych różowych policzkach.

Zgarniałam garściami, połykam łączywie jedną, drugą, trzecią i kolejną.

Uważaj na osy!

Babcia, pani na włościach, szlachcianka na podlaskich łąkach i bagniskach. Stwardniała jak ta stara czereśnia.

Zetnie pewnego dnia powykręcany, korowaty pień i czerwiec nie zacznie się już nigdy.

Londyn 14.04.2003

FORTY HALL

w cieniu starego cedru
myśli biegną spokojnie
platońska dusza otwiera przestrzenie

oceaniczna bryza
czule głodzi powietrze
niemrawe słońce stąpa po fali
czas zbiera sekundami
żniwo przemijania

ROZMARZONY CZERWONY AUTOBUS

zjechał z góry
zatoczył ramieniem
Enfield potem Haringey

dziura w drodze
zatrzęsło
zapachniało smarem

rozpryskał kałużę
błotnistą wodą
ochlapał przechodniów

a słońce powtarza
już wiem że wróciłaś
marzysz w swoim Londynie

2012/2024

JULIUSZ BOLEK

ANNA MARIA MICKIEWICZ 40.LAT PRACY TWÓRCZEJ



Anna Maria Mickiewicz

Anna Maria Mickiewicz – polska pisarka, od lat mieszkająca w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, uczestniczyła w uroczystej gali, z okazji 40- lecia pracy twórczej, na które przyjechała prosto z Londynu, w którym mieszka od wielu lat. Wydarzenie odbyło się w legendarnej auli Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, w maju 2025 roku.

Jak wyglądają ważne wydarzenia literackie w Polsce mniej więcej wiadomo. Publiczność łaskawa i zmanierowana, dumna ze swej łaski zaszczytowania autorów, jednak bywa roszczeniowa. Zupełnie inaczej sytuacja wygląda na tak zwanym Zachodzie, gdzie każde wydarzenie literackie budzi zainteresowanie i szacunek. Wstęp przeważnie jest płatny, podobnie jak książki. Jednym słowem, jak zwykle, między „zachodem” i wschodem” – przepaść.

Przykro to przyznać Polacy mało wiedzą o współczesnej, światowej literaturze, jeszcze mniej o współczesnych pisarzach, jeśli ich posty nie biją rekordów „klikalności” w Internecie, książki nie znajdują się na czołówkach list rankingowych, a jeszcze mniej wiedzą, jeśli chodzi o polskich pisarzy, mieszkających za granicą państwa. Wśród mało znanych opinii publicznej autorek w kraju jest wybitna poetka Anna Maria Mickiewicz. Dzieje się tak, mimo tego, że pisarka publikuje również książki w Polsce. Jej poezja jest delikatna wzruszająca, bardzo osobista, wręcz intymna. Z okazji 40-lecia pracy twórczej Anny Marii Mickiewicz, o jej istnieniu i wyjątkową twórczość upomniało się Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Żywię głęboką nadzieję, że jubileusz Anny Marii Mickiewicz, celebrowany w Domu Literatury w Warszawie, sprawił, że więcej osób zainteresuje się tą oryginalną twórczością, z korzyścią dla nich samych.

Galę Anny Marii Mickiewicz zorganizował Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Bardzo interesujące laudacje na rzecz twórczości pisarki wygłosiły prof. Halina Rarot (filozofka) i prof. Ewa Lewandowska-Tarasiuk (filozofka, polonistka, profesor i członkini Senatu Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) w Londynie).

Spotkanie poprowadziła prof. Anna Krystyna Nasiłowska-Rek – pisarka, poetka, krytyk literacki, historyk literatury współczesnej, profesor nauk humanistycznych, profesor zwyczajny Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk i prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Wiersze Anny Marii Mickiewicz w rewelacyjny sposób przedstawił Andrzej Ferenc. Na zakończenie części oficjalnej odbył się wspaniały koncert Akademickiego Kwartetu Smyczkowego Ucho Beethovena pod kierunkiem Adama Pietruszki.

Uroczystość stała się przeżyciem zarówno duchowym jak i intelektualnym. Sprawiała to twórczość pisarki, świetna interpretacja poezji w wykonaniu Andrzeja Ferenc, bardzo ciekawe wypowiedzi na temat pisarstwa autorki, wygłoszone przez prof. Halinę Rarot i prof. Ewę Lewandowską -Tarasiuk oraz ucztą dla słuchu w wykonaniu Akademickiego Kwartetu Smyczkowego. Całość stanowiła świetną kompozycję.

Po zakończeniu części oficjalnej goście zaproszeni zostali na bankiet, podczas którego poza pysznymi przekąskami i napojami, królowała bardzo miła, serdeczna i bezpretensjonalna atmosfera; rzadko spotykana w warszawskich salonach.

MICHAŁ PIĘTNIEWICZ

IRONIA I GRUZY

O TOMIKU SYLWII JAWORSKIEJ PT. „PUSTYNIA”

Tomik Sylwii Jaworskiej pt. „Pustynia” jest pełen pasji – za Jaspersem moglibyśmy powiedzieć o „pasji nocy i normie dnia”. Można również ową pasję nazwać analitycznym zamiłowaniem do badania siebie oraz otaczającego świata. W tomiku „Pustynia” mamy bowiem do czynienia jakby z dwiema pustyniami: pustynią własnego „ja” oraz pustynią rzeczywistości, która na owo „ja”, możemy mniemać, pośrednio bądź bezpośrednio wpływa. „Pasja nocy” lokuje się jakby w wewnętrznej sferze „pustynnej” podmiotu mówiącego, zaś nieprzyjazna, wroga „norma dnia”, byłaby stroną „pustyni” zewnętrznej i społecznej.

Jednak te dwie pustynie – zewnętrzna oraz wewnętrzna, jakoś ze sobą rozmawiają, tworząc jednak świat, w którym daje się żyć, co nie znaczy, że bez kolizji – z samą sobą czy z rzeczywistością. Przestrzeń, która jest opisana w tomiku jest przestrzenią można powiedzieć ciepłą ciepłym wewnętrznym, bez sztucznego nadymania się, puszenia się, czy udawania.

W tym sensie poezja Jaworskiej jest bezpretensjonalna, nie siląca się, nie udająca niczego, a jednocześnie nie jest pozbawiona artystycznego wyrafinowania i komplikacji poetyckiej frazy. W swym jednak powikłaniu i jednocześnie prostocie, zaprasza ona jakgdyby czytelnika do czegoś, co można byłoby określić mianem przyjaźni, czy też zaprzyjaźnienia się z autorką. Ośmielę się w tym miejscu powiedzieć, że podmiot mówiący w tomiku „Pustynia” jest dobrym przyjacielem, który jednocześnie nie boi się protestować, kiedy widzi i czuje słuszność sprawy o którą walczy – jak np. protest przeciwko budowie obwodnicy Kluczach.

Albowiem miejscem na ziemi poetki są Klucze, do których jednak autorka ma stosunek ambiwalentny, jak przyznała mi się podczas spotkania w Antykwariacie Abecadło w Krakowie, 13.01.2023 roku. Z jednej strony dom swój kocha, z drugiej jego domownicy doprowadzają ją niekiedy do wściekłości i podejmowania działań buntowniczych w celu zachowania swojego skrawka na ziemi.

Jaworska czuje język poetycki. Z tego języka wysnuwa przekonującą oraz konsekwentną opowieść o świecie i samej sobie. Zwraca uwagę przywiązanie poetki do znaczących detali – np. pszczoł garnących się do plastra miodu. Te detale – również kot, czy zagubione spodenki na wuef synka, tworzą jakby ciepły, familiarny oraz familijny nastrój tego tomiku.

Jaworska pisze również w mądry sposób o rzeczach, które dotyczą nas wszystkich. Co to za sprawy? Z pewnością pisze o miłości, często nieudanej do drugiej osoby, jakiegoś „ty, do swoich dzieci, córki oraz syna. W tomiku wybrzmiewa

również dyskretnie miłość do Boga, choć z religią chrześcijańską podmiot mówiący jest często w jawnym bądź zakamuflowanym konflikcie. Z tego tomiku wybrzmiewa również miłość do języka poetyckiego, jako nośnika rozmaitych stanów emocjonalnych oraz ufność, że może on pełnić funkcję kompensacyjną oraz terapeutyczną. Owa funkcja terapeutyczna języka przekłada się również na miłość do świata, który posiada jakby dwie płaszczyzny czasowe – płaszczyznę dzieciństwa („najlepsze w moim życiu lody Bambino na patyku”) oraz płaszczyznę terażniejszą, obecną, z której czerpiemy informacje np. o najlepszym „przyjacielu” podmiotu mówiącego, kocie Witkacym, czy zagubionych a potem odnalezionych spodenkach na wuef syna.

Wydaje się, że jedną z osi, która przebiega przez ten tomik jest oś wiary, wiary trudnej, zmagającej się, wiary nieoczywistej. Bo od życia do śmierci biegnie też linia nieoczywista, której ślad znaczą poszczególne wiersze pomieszczone w tomie. Przyjrzyjmy się wierszowi pt. „Najlepsze”:

Najlepsze w moim życiu.
Lody Bambino na patyku
obok pijanych ojców dzieci.
Zimna cola w szklanej butelce
przy białym stoliku
z ciężkiego metalu.
Za ladą kotlet mielony i wódka.
Lato nie tak upalne.

Wieczorami w gryzącym sweterku
z czerwonej wełny.
Palcami wyrobiłam większą
dziurkę na guzik.

W niedzielę białe rajstopy.
Błoto po kolana
i zabawa w Indian
Nóż pod łóżkiem -
na wypadek ducha.

Najgorsze przyszło,
kiedy zaczęła się miłość

To mądry, głęboki wiersz. Głównie przez to, że świadomie używa języka poetyckiego. Widać w nim rozmaite, poetyckie detale, które nadają temu wierszowi ciepły klimat. Nóż, który ma przebić ducha wydaje się tutaj niebanalnym, poetyckim konceptem, bo zestawia to, co niematerialne z tym, co materialne. Ponadto dziecięce zabawy w Indian zestawione są ironicznie z miłością, zapewne również dziecięcą i pierwszą, która ma dopiero nadejść. To wiersz bardzo ironiczny, tak jak zresztą cały tomik Jaworskiej. Podmiot mówiący co rusz puszcza lub mruży oczy, uśmiecha się, dystansuje od opisywanych sytuacji. Jest to podmiot jednocześnie silnie wpisany w określone sytuacje liryczne, co zdecydowanie, przy pomocy ironii i czasem nieco gorzkiego, choć również ciepłego humoru, do nich zdystansowany.

Jak choćby w wierszu o samobójstwie pt. „Kobieta samotna”, które wzięło w „diabli”, kiedy osoba mówiąca w wierszu „zaczęła myć podłogę”... Tego rodzaju gesty dystansu do siebie samej oraz do opisywanej rzeczywistości, są jakimiś osiami, mogące posłużyć za interpretacyjne, które biegną przez ten tomik. Takimi osiami byłaby ironia z jednej strony, a z drugiej swego rodzaju pogodność a nawet rodzaj czułości dla opisywanych przez poetkę sytuacji.

To, co natomiast łączy ironię, czułość i przyjaźń i czyni je spójnym światem poetyckim, to dar do analizy poszczególnych zdarzeń lirycznych. Zatem liryzm łączy się u Jaworskiej z anatomicznym badaniem świata oraz przyczyn, nie bójmy się tego powiedzieć, jego rozkładu, gdyż z gruzowiska wartości, pozostała tytułowa pustynia. Ta pustynia ma przynajmniej kilka znaczeń: jest to pustynia aksjologiczna, duchowa, pustynia jakiegoś społecznego „my” oraz pustynia relacji międzyludzkich. Ciekawe, że na tej pustyni, czy gruzie, czy pobojuwisku, znajduje się jakaś oaza indywidualnego „ja”, które się przed owym napierającym i niedobrym światem jakoś broni poprzez ukazanie bezpiecznego, ale jednocześnie silnego mikrokosmosu własnego „ja”. Nie mamy tutaj do czynienia jednak z prostym, egocentrycznym zabiegiem, przypominającym choćby rodzaj ułatwionego solipsyzmu. Sytuacja liryczna jest o tyle skomplikowana, że owo „ja” liryczne jest bardzo dumne, wręcz powiedzielibyśmy arystokratyczne, a świat wokół jakby nie zasługuje do końca, by wdzięcznie się w nim rozgościć i wdzięcznie w nim zamieszkać. Dlatego mieszkanie własnego „ja”, swój dom liryczny, z dziećmi oraz kotem Witkacym, jak i piłą rano kawę, jest nie tylko azylem, ale staje się wręcz fortecą przed tym, co jest na zewnątrz. Przypomnijmy w tym miejscu słynną książkę Franka Herberta pt. „Diuna”, zresztą świetnie współcześnie zekranizowaną, w której pustynia była miejscem niebywale niebezpiecznym – choćby przez to, że często pojawiał się na niej ogromny Czerw, który niszczył dookoła wszystko i siał spustoszenie. Owo spustoszenie w tomiku Jaworskiej ma rzecz jasna również wymiar społeczny – jak już wspomniałem i o tym zresztą autorka opowiadała mi na spotkaniu, które prowadziłem z nią w zimie, że mieszkańcy jej rodzinnej miejscowości Klucze, często nie do końca są świadomi podejmowanych przez siebie wyborów, ergo świat zamieniają w gruz. Tytuł tomiku ma bowiem realne zakotwiczenie w akcji mającej na celu ratowanie pustyni Błędowskiej

poprzez protest przeciwko budowie obwodnicy w Kluczach. Wskutek niezbyt odpowiedzialnej decyzji lokalnych władz, miejsce, które było dla wszystkich mieszkańców czymś w rodzaju misteryjnej świątyni filozoficznego dojrzewania, jak również wielu, dorosłych inicjacji, zostaje zagrożone wskutek machinacji rozmaitych grup interesów, które widzą jedynie doraźną korzyść biznesową, nie zważając na wymiar pustyni, jako miejsca szczególnego spotkania, szczególnej pamięci i szczególnej ciszy także. Jak czytamy na skrzydełku okładki:

„Niektórzy sądzą, że chodzi tylko o jakieś ideologiczne zmanifestowanie ekologicznych poglądów i spór o fragment betonu. Tu idzie o coś więcej – pustynia to dla nas miejsce, które pamiętamy z dzieciństwa, to wyprawy na wielką przestrzeń labiryntami, które znali tylko mieszkańcy, to zbieranie grzybów z ojcem, to była wszechobecna cisza pośrodku tej wielkiej piaskownicy”.

Dlatego, paradoksalnie, pustyni należy bronić, ale we właściwym znaczeniu: jako miejsca dojrzewania własnego „ja” do podjęcia odpowiednich ról oraz zadań w świecie, jako wtajemniczenie w mikrokosmos własny i bliźniego, jako przestrzeń dojrzewania wielu, najistotniejszych relacji, które potem będą promieniować przez całe, późniejsze życie. Zatem zabranie pustyni albo też okaleczenie jej w jakiś sposób, byłoby również zabraniem bardzo ważnej części duchowej i psychicznej wielu ludzi, dla których to miejsce w jakiś sposób uświęcone. „Czerw” tego świata takie miejsca chce niestety niszczyć, miejsca szczególnie ważne dla naszej pamięci. Wniosek jaki można wysnuć z tych, krótkich rozważań, może brzmieć następująco: należy bronić pustynię prawdziwą przed pustynią barbarzyńską. Jedną z tych pustyni jest w jakiś sposób święta, druga pochodzi od Złego. Zbawieniem, ale tylko do pewnego stopnia, jest, jak miemam, własny mikrokosmos liryczny, którego „ja” liryczne zastaną rzeczywistość komentuje, ale również, analizuje, bada, wysnuwa wnioski, ale nie daje jednocześnie łatwych i uproszczonych recept – miast deklaracji woli poetka rzecz jasna metaforę, jak w wierszu pt. „Zbawienna stacja w Łaziskach”. Przytaczam fragment wiersza:

Doskonale gram w tym filmie.

Nikt nie pozna, że nie piję.

Ani żadnych używek

Ani imienia twego nadaremno

W nocy zastanawiam się,

czy na pewno na tym kawałku płótka

zostało twoje odbicie

Aluzja poetycka do słynnego wizerunku z Manopello jest tutaj wyraźnie widoczna, a liryczne „ja” wciela się jakby w postać św. Weroniki. Jest to jeden z piękniejszych wierszy w tomiku, w którym znakomicie został wygrany kontrast między tym, co jest „grą”, a tym, co jest odbiciem, śladem,

znakiem, które przynależą do sfery tego, co prawdziwe. To bardzo subtelna gra poetycka, którą Jaworska znakomicie prowadzi przez cały tomik: gra ze światem społecznym, gra z bliźnimi, między innymi ze znajomymi i matką, jak w świetnym wierszu pt. „Obieg zamknięty”, w końcu gra, ale jakby bardziej na serio i mniej ironicznie z tym, co religijne. Owe gry mógłbym nazwać grami pustynnymi – zabawą dzieciinną Indian, które jednak, teraz, obecnie, przypominają jakieś wcielone widma, z rozpaczą wypatrujące ocalenia w tym, co jest nie tylko zachowanym wizerunkiem Boga, ale również szansą na przywrócenie pierwotnego, mitycznego ładu, jeszcze sprzed upadku w sensie społecznym oraz indywidualnym. Bo też „Pustynia” to tomik będący również, a może przede wszystkim zapisem indywidualnego zmagania się z życiem i własną historią, będący świadectwem przegranej z jednej strony a z drugiej nadziei, że ową klęskę będzie można przekuć w jakąś lekkość, o czym mówi ostatni z wierszy pomieszczony w tomie, jednocześnie smutny, co ironiczny pt. „Martwe morze”:

Może jestem już martwa
Bo to niemożliwe,
żeby tak lekko chodzić po ziemi

Lekko chodzą po ziemi widma, cienie, zjawy, przypominające trochę wydrążonych, Elliotowskich ludzi. „Pustynia” nie jest tomikiem wesołym, jest raczej przepelnionym smutkiem, który jednak bardzo często równoważony jest przez ironię. Prawdopodobnie ludziom z poczuciem humoru łatwiej jest stąpać nawet po najbardziej zagruzowanych pobojuwiskach, a niewątpliwie poczuciem humoru i talentem poetyckim Sylwia Jaworska jest obdarzona, dlatego warto wiele razy powracać do jej „Pustyni”.



MICHAŁ PIĘTNIIEWICZ



KARTOGRAF TAJEMNICY O TOMIKU „MILCZENIE” JANA STRZĄDAŁY

Jan Strządała w swoim najnowszym tomiku pt. „Milczenie” (Biblioteka Śląska, Katowice 2021), dokonuje swoistej wiwisekcji tego, co można określić mianem dialektyki poetyckiej mowy i milczenia. Ten trop interpretacyjny odsyła rzecz jasna do Norwidowej poetyki przemilczenia, jednak poetyka Strządały jest inna od Norwidowej. Strządała nie chodzi o jedynie bowiem o samą filozofię milczenia, czym ono jest, jakie są jego motywacje, do czego w efekcie prowadzi, ale również o to, co można nazwać aktualiami czy też okolicznościami owego milczenia, czyli cały, rozkwitający przyrodą i życiem, zewnętrzny świat. Zewnętrzny świat przyrody u Strządały jest jednak jednocześnie wewnętrznym kosmosem duszy. Tak jak dialektyka mowy i milczenia jest ze sobą sprzęgnięta na korzyść zdecydowanej przewagi tego, co przemilczane, czy też niewypowiedziane, tak też dialektyka zewnętrznego i wewnętrznego charakteryzuje się zdecydowaną dominacją tego, co określiłbym mianem bardzo silnego uwewnętrznienia w przeżyciu świata widzialnego i niewidzialnego. Albowiem kolejną parą przeciwieństw jest bowiem gra tego, co widzialne u Strządały i niewidzialne i znów mocniejsze jest w tej poezji występowanie niewidzialnego, tego, co trudne do wytopienia, wysłowienia oraz nazwania.

Innymi słowy poezję Strządały określiłbym jako silnie nacechowaną milczeniem, uwewnętrznieniem swoich przeżyć oraz tropieniem w świecie śladów niewidzialnego. W dwóch sformułowaniach poezję Strządały można określić mianem apofatycznej oraz gnostycznej. Apofatyczną, albowiem więcej o danych zjawiskach nie mówi, aniżeli mówi, a najsilniej milczy o Bogu, gnostyczną, ponieważ słowo gnoza pochodzi od słowa gnosis, które oznacza poznanie, a poezja Strządały jest z jednej strony nastawiona na milczenie o świecie, o zjawiskach, a z drugiej usilnie chce różne zjawiska poznawać, nazywać, określać, przy pomocy specjalnie na tę okazję skonstruowanego poetyckiego języka filozoficznego. Więc dialektyka tego, co nienazwane i nazwane jest kolejną, osiową parą przeciwieństw, którą można zauważyć na przestrzeni tomu pt. „Milczenie” Strządały.

Zatem pytania, które mogą jakoś interpretacyjnie nakierować na dookreślenie specyfiki tego tomu to po pierwsze pytanie,

o czym milczy podmiot mówiący Strządała a po drugie o czym mówi? I czy przypadkiem tego, co wymówione i to, co przemilczane, dwa te moduły, mowy i milczenia, nie są ze sobą w tym tomie silnie sprzęgnięte? Wszak milczenie wynika z mowy u Strządały, tak jak obecność z nieobecności.

Ważnym elementem budującym strukturę wiersza Strządały jest coś, co nazwałbym dążeniem archeologicznym w sensie dokopywania się do pierwotnego arche, albo dążeniem w głąb. Archeologia ta jest równocześnie rodzajem kosmogonii, stworzeniem pierwotnego świata od początku, demiurgicznym powtórzeniem gestu Stwórcy. Jest to świat powołany jakby ex nihilo, w poetyckim geście, od samego początku – jest on niejako stworzony przez autonomiczną świadomość poetycką, która działa głównie przy pomocy intuicji. Nie znaczy to, że ów świat poetyckiej jest prostym odbiciem świadomości poety – został on bowiem powołany do życia od samych pierwocin przy pomocy poetyckiej intuicji. Podmiot mówiący wierszy Strządały jakby wmyśla się w samego siebie, ale przede wszystkim głęboko bada jakąś pra zasadę, za którą stoi wszelkie życie we Wszechświecie, chce zgłębić chyba to, co najtajniejsze, niewidzialne i najbardziej przed ludzkimi oczami zakryte. Chce dokopać się do jakiegoś pierwotnego eidos świata, albowiem widzenie poetyckie Strządały jest widzeniem ejdetycznym.

Świat poetycki tomiku „Milczenie” dzieli się na to, co wymówione i przynależne kategoriom świata zewnętrznego oraz to, co niewymówione, zakryte albo przemilczane, co z kolei przynależy do świata wewnętrznego. W tomie „Milczenie” ma miejsce zdecydowana przewaga tego, co intuicyjne oraz wewnętrzne – jest to rodzaj układania mapy wewnętrznego kosmosu poety.

Można powiedzieć, za Karlem Jaspersem, że poezja Strządały zawieszona jest między Pasję nocy i Normę dnia, między światło i ciemność, między sacrum a profanum. Poza tym poezji Strządały wydaje się towarzyszyć Jungowski cień, który światło od mroku oddziela i sam jakby (ów cień), nie poddaje się definicji, jest poza ujęciem schematycznym, poza kategoriami. Przyjrzyjmy się na przykład wierszowi pt. „Cień”:

Cień

dzwonu we mgle
kołysze
na koniuszku igły
ciemność

modlitwa
unoszą ramię
i połyka
ból

covid tańczy na skrzydłach
nietoperzy

przez chwilę rośnie
w milczeniu
drapieżne

dotyka
tajemnicy

ostatnia noc
zamienia cień
w oddech
za chwilę wszędzie słońce

Ten wiersz, jak wiele zresztą innych, pomieszczonych w tomie, wygrany jest na szlachetnych opozycjach oraz antynomiach, o których już wspomniałem. Zastanawia jednak tytuł. Czy mamy do czynienia tutaj z chęcią zintegrowania się podmiotu mówiącego z samym sobą? Wszak u Junga cień pełnił właśnie taką funkcję: integrującą psychikę. Był koniecznym pomostem scalającym dwie z pozoru antynomiczne przestrzenie: duszy i ciała, materii i pneumy. W wierszu Strządały cień pełni funkcję stabilizującą oraz osławiającą bardzo duży dyskomfort duchowy i psychiczny podmiotu mówiącego, wywołany przez pandemię koronawirusa. Dlatego krajobraz tego wiersza, krajobraz przez cień wywołany, jest pełen smutku, zgrozy oraz przerażenia, ale jednocześnie widać w nim pewien pomost do innej rzeczywistości, rzeczywistości światła, kiedy cień zostanie zamieniony w oddech, kiedy podmiot mówiący, oswojony już z grozą świata, będzie mógł oddychać i mówić

swobodnie – swobodnie mówić w słońcu.

Krajobraz liryczny tomiku „Milczenie” przepołowiony jakby jest na ruiny i zgłiszcza, wywołane przez pandemię oraz na uparte dążenie do światła, nadziei oraz miłości. Weźmy pod lupę wiersz pt. „Od roku”.

Od roku

idę przed siebie
w milczeniu
przez cienie

w tę niewidzialną
między bielą i czernią

poezję poranków
i zmierzchów

ciszę
dudniącą

jak potok w sercu

przez roziskrzzone w słońcu
pocałunki

przez pól zielonych
wstęgi niebosiężne

idę przez łąki
kwiatem posypane
biegnę przez przełęcz

do Ciebie
przez błękit
pod górę

bo przecież
jesteś w chmurach.

To niewątpliwie wiersz, który został wygrany po pierwsze na żarliwej melodii serca, a po drugie na intuicyjnym pragnieniu zespolenia się z jakąś siłą, którą biegnie przez świat i Wszechświat – możemy domyślać się jedynie, że owa siła upostaciowiona jest w wymarzonej, wyśnionej, upragnionej oraz ukochanej kobiecie – Jungowskiej animie, do której dąży męski animus, dzięki czemu, dzięki zespoleniu tych dwóch, z pozoru opozycyjnych sił, świat działa w harmonii, równowadze, jest zbalansowany. Dodać trzeba, że do tego zjednoczenia potrzebne jest przedzieranie się poprzez krajobraz spustoszenia, poprzez pogorzelsko cieni. Co ciekawe, o ile cień w liczbie pojedynczej zespałał dwa, z pozoru opozycyjne wymiary: Pasji nocy i Normy dnia, o tyle cienie w liczbie mnogiej mogą być konotowane z marami albo widmami, które utrudniają albo wręcz uniemożliwiają dojście do światła i miłości. Droga do chmur, innymi słowy, w poezji Strządały wiedzie przez cierpienie, krajobraz cierniowy i w pewnym sensie pustynny, krajobraz spustoszony oraz ascetyczny, w którym występuje minimalna ilość rekwizytów poetyckich. Słowo asceza pochodzi od słowa askezis, które oznacza ćwiczenie – tak jakby podmiot mówiący wierszy Strządały nieustająco wprawiał się w trudnej i bolesnej sztuce cierpienia, aby tym bardziej intensywne oraz radosne było doznanie światła i miłości. W tym kontekście przypomina się słynna fraza z wiersza Miłosa pt. „Wiara”, która brzmi: „co nie ma cienia, istnieć nie ma siły”. Cierpienia, ruiny i zgłiszcza, jak również aksjologiczne pobożowisko wartości w świecie dzisiejszym, w którym Prawda, Dobro i Piękno uległy silnej degradacji i odchodzą pomału do lamusa, wydaje się jakoś potrzebne w planie, którego my, szarzy i przeciętni ludzie, nie do końca rozumiemy – ale do którego intuicyjny wgląd ma poeta i staje się dzięki temu niestrudzonym poszukiwaczem sensu w świecie.

Ostatnim wierszem, któremu pragnę się przyjrzeć, jest wiersz pt. „O świecie”

O świecie

za szybami
w popękanych ścianach
domów szpitali

odizolowani
w czarnych maskach

w milczeniu
odprowadzamy
siebie
wzajemnie do ostatniego ogrodu

nawet korony drzew
wirują

na polnej drodze
wiatr
płoszy motyle i kwiaty

słońce
rozmawia z ptakami

kosy
sikorki wróble szpaki
i drozdy
nawet bażanty

odwiedzają ogrody
zaglądają pod liście

w wiosennym
słońcu odnajdują te miejsca

czułe
w naszych sercach

żeby nie umarły.

Świt w tym wierszu jest równocześnie miejscem światła i nadziei, co Apokalipsy, wejściem do „ostatniego ogrodu”, w którym jednak buszują kosy, sikorki, wróble, szpaki, drozdy, czy bażanty. Świat wewnętrzny podmiotu mówiącego – ciemny i zakamuflowany, wręcz niedostępny, z którego wieje groza nicości, zostaje przeciwstawiony światu zewnętrznemu, w którym jest nadzieja na słońce, będące zwiastunem tego, że śmierć można w jakiś sposób przewyciężyć, że nie jest ona końcem, ale jak przyzna poeta w innym wierszu, jakimś początkiem, z którego dopiero rodzi się nowe życie. Antropologia kulturowa widoczna w wierszach Strządały jest jednocześnie jakąś antropologią metafizyczną, snuciem filozoficznego rozważania przy pomocy poetyckiego języka, nad przeznaczeniem i losem pojedynczego człowieka, zanurzonego w kosmicznym Universum, w którym rzeczy nie są beładnym chaosem, nie stoi za nimi przypadek oraz umowność, ale precyzyjny plan, plan duszy, który zgłębia niestrudzony kartograf poetyckiego Wszechświata – poeta światła i cienia, śmierci oraz zmartwychwstania, początku i końca, który staje się nowym początkiem i pretekstem do snucia nowej opowieści o skomplikowanych, powikłanych dziejach duszy – Jan Strządała.



Wojciech A. Sobczynski, *Old man and Odalisque*

WOJCIECH ANTONI SOBCZYŃSKI

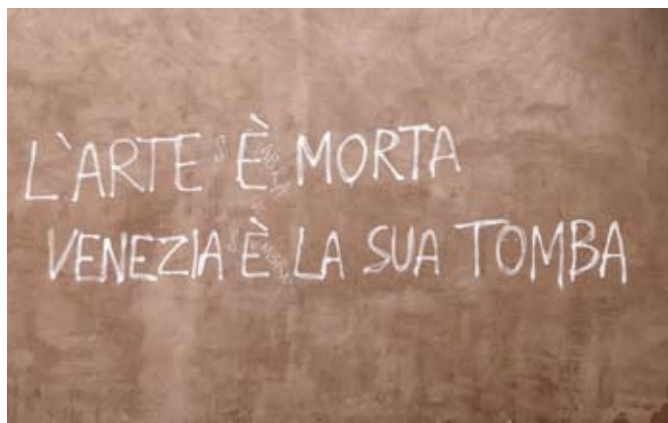
KRAKÓW - LONDYN, ALE ZACZYNAJĄC OD WENECJI



Marek Batorski, *Convergence in Black*"

Byłem w Wenecji niedawno. Omijałem to piękne miejsce przez wiele dekad nauczony doświadczeniami z młodości. Pamiętam nieznośne komary na odległym polu campingowym i uczucie morskiej choroby podczas każdego rejsu wodnym tramwajem do odległego centrum. Byłem turystą ze wschodniego bloku. Bez pieniędzy i z pełnym portfelem kompleksów. Świadomy historii tego unikatowego miejsca, które swoim zasłużonym, a jednocześnie przytłaczającym przepychem podkreślało moją odrębność. Widok zbliżającego się miasta, znanego nam wszystkim z ilustracji książkowych, przewodników, obrazów wielkich artystów wywoływał zachwyt. Najpierw na odległym horyzoncie, nadrealna, a z każdą przemijającą minutą rozkołysana na falach Wenecja nabierała swoje kształty. Tak teraz, jak i dawniej odliczam - Pałac Dożów, wielka wieża na placu św. Marka, kanały, mosty, kościoły i białe chmury wędrujące po lazurowym niebie. Pozornie nic się tam nie zmieniło przez pół stulecia mojej nieobecności. To miejsce jest bezczasowe. Zmieniłem się tylko ja. Przystałem być obcy. Przynależę.

Bezpośrednim pretekstem podróży do Wenecji było minione biennale architektury. Lubię i doceniam budowle, które od zarania ludzkości wyznaczają stylistyczny rozwój poszczególnych cywilizacji. Idą one w parze z rozwojem rzeźby, dzieląc wspólne korzenie od początku. Drewno, kamień, ceramika, cegła, brąz a obecnie stal i inne konstrukcyjne materiały wiążą obydwie dziedziny działalności. Można by zaryzykować twierdzenie, że nowa architektura stała się rzeźbą na skalę dotychczas nieosiągalną, została królową twórczości w trzech wymiarach. Jestem przekonany, że każdy rzeźbiarz w skrytości swojej wyobraźni widzi monumentalne zadania na wielką skalę. Przykładem był na pewno zmarły niedawno Frank Gehry, bezsprzecznie gigant nowej rzeźbiarskiej architektury, o którym poeta powiedziała, "mierzył siły na zamiary". W związku z jego śmiercią usłyszałem archiwalny wywiad radiowy, w którym dziennikarz BBC zapytał, jak doszło do powstania słynnego projektu Muzeum Guggenheim w Bilbao. Frank Gehry odpowiedział: „poproszono mnie o stworzenie jeszcze piękniejszej budowli niż Sydney Opera House”. Dzieło wykonane według projektu duńskiego architekta Jorna Utzona. Było to niepowtarzalne wyzwanie. Artyści – architekci marzą o takim zadaniu dostępnym tylko dla gwiazd swojej profesji. Piękne dzieło Utzona zamknęło w zasadzie okres wybitnych konstrukcji cementowych. Frank Gehry w gronie kilku innych architektów przełomu XX i XXI wieku otworzył kształtowanie budowli przypomoć nowej technologii – konstrukcji stalowych wspomaganych obliczeniami komputerów. Szkielet stalowy i zewnętrzne powłoki tytanowe stały się głównymi elementami twórczej żonglerki Gehrego, sygnalizując początek architektury, której charakter przypomina prototypy stacji kosmicznych, kiedy ludzkość naszej ery sięga wyobraźnią w przestrzeń dalekich konstelacji.



Biennale Architektury w Wenecji było ciekawe, ale nie sięgało wyobraźnią we wzniosłą przestrzeń, nawet nie po wspomniane już obłoki na firmamencie. Poszczególne pawilony koncentrowały swą uwagę głównie nad licznymi problemami ocalenia naszej cywilizacji przed zagładą. Na pytanie jak przetrwać można zapytać Wenecjan i w odpowiedzi nauczyć się wiele z ich historii.

Współcześni Wenecjanie miewają odmienne poglądy. Na jednym z domów w centrum, w pobliżu muzeum, zobaczyłem grafficiarski napis – „L'Arte E Morta. Venezia E La Sua Tomba” (Sztuka Umarła a Wenecja jest jej grobem). Ten pozorny banał sprowokował jednak zawirowanie wielu moich myśli.

Zrobiłem zdjęcie wszędobylskim telefonem. Wysłałem do kilku osób. Dostałem błyskawiczne odpowiedzi. Jak przypało w naszych czasach – natychmiast. Chwilę wcześniej oglądałem obrazy Tintoretto i Veronese. Potem podziwiałem nowoczesną kolekcję Peggy Guggenheim. Tak, to jest prawdą, co myślał anonimowy ‘filozof’. Wiem, że w każdym z sąsiadujących zabytkowych domów znajdują się dzieła nieżyjących już artystów. A jednak ich obrazy i rzeźby służą nam swoim pięknem do dzisiaj. Ich historia, wyznacza szlak rozwoju zarówno twórców, jak i naszej świadomości. Być może autor sloganu na murze był radykałem gardzącym sztuką przeszłości. Rewolucjonistą? Opozycjonistą? Nie pierwszy i nie ostatni raz mamy przykłady ostrzeżeń malkontentów, że sztuka umiera, albo że wszystko już kiedyś było i nie ma nic nowego. A jednak, jak żywotny organizm sztuka w swoich wielorakich inkarnacjach odradza się nieustannie, poszukuje nowych źródeł, inspiracji lub coraz to nowych środków wyrazu. Wenecka wycieczka przechodzi do przeszłości. Na odpowiedniej stronie telefonicznych dialogów zauważam komentarz zaprzyjaźnionego historyka sztuki – odpowiada na temat weneckiego grafficiarza – „Wenecja? Grobowiec? Ale tam jest Magia!

Wracam do Londynu. Wracam do wystaw, do sztuki tutaj. Pozostają myśli i kolejne wyzwania. Świat współczesny oddycha konfrontacją. Wczorajsze przemijają. Dzisiejsze walczą o przebicie. Niektórzy uciekają się do ciekawych pośrednich rozwiązań w swoich poszukiwaniach, a do nich należy krakowski artysta

malarz i instrumentalista Marek Batorski. Intrygująca kombinacja polegająca na współdziałaniu barw jego malarstwa i dźwięku, który wspomaga, uzupełnia i jednocześnie inspiruje malarstwo Batorskiego. Czy także w skali chromatycznej?

Nie miałem przyjemności usłyszeć jego występu na żywo. A szkoda. Mógłbym może napisać coś więcej na temat tzw performansu. Po niedawnej wystawie w Galerii POSK usłyszałem od widzów same pozytywy. Wśród zgromadzonych widzów/słuchaczy znaleźli się właściciele Galerii MAGAN – Państwo Pacakowie, którzy na fali ogólnego entuzjazmu zaprosili Marka Batorskiego na podobny występ do swojej Galerii. Tak więc, wkrótce obrazy Marka Batorskiego powędrowały do południowego Londynu. Dzięki swojemu doskonałemu położeniu, tuż obok stacji metra Tooting Bec, Galeria jest w zasięgu londyńczyków z całego miasta i od wielu lat działa i prosperuje.

Państwo Pacakowie są doświadczonymi kuratorami swojej przestrzeni wystawienniczej i od razu zauważyli, że płótna Marka Batorskiego potrzebują przeciwstawnego wątku. W Galerii jest cały rząd pięknie zaprojektowanych przestrzeni oszklonych, gdzie na co dzień wystawia się nowoczesną biżuterię i inne obiekty artystyczne. Wyjście z trudnej sytuacji zaproponowała Joanna Ciechanowska, dyrektor Galerii POSK, która zna moją pracownię i kalejdoskop jej zawartości. Wiedziała, że są tam koncepcyjne szkice, mini rzeźby, intymne inscenizacje, sceny tańca i seria szkicowych postaci p.t. Catwalk Figures z domniemanego wybiegu modelek na pokazach mody. Wkrótce Państwo Pacakowie zastukali do drzwi pracowni i oczarowani całym szeregiem prac podjęli plan działania.

Tak powstała koncepcja wystawy p.t. „Between form and sound”, kontrastująca dwóch artystów mających krakowskie korzenie. Marek Batorskiego, który tworzy, gra i uczy w Krakowie i Wojciecha Sobczyńskiego, wychowanka krakowskiej ASP, który żyje i tworzy w Londynie, ale nigdy nie utracił swojego związku z miastem „zaczarowanej dorożki”.

Galeria zorganizowała już dwa wernisaże. Według widzów – podobała się bardzo. Ja, jako jeden z autorów powstrzymuję się od komentarzy i koncentruję się nad pozytywnym i radosnym faktem – wystawa jest przedłużona już po raz drugi i trwać będzie nadal po Nowym Roku.

A ja, korzystając z okazji życzę czytelnikom magazynu Hybryda wszelkiej pomyślności w 2026.

KONCERT IN MEMORIAM PROFESOR JÓZEF LIPIEC



Prof. Józef Lipiec i dr. Teresa Weber - NCK 2010r.

**MALWINA LIPIEC-ROZMYŚŁOWICZ
HARFA**

JACEK ROMAŃSKI - PROWADZENIE

23 listopada 2025

w Willi Decjusza w Krakowie

głos zabrali:

dr Teresa Weber-Lipiec

Grzegorz Lipiec

prof. Wojciech Ligęza

**Redaktor Naczelna:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
 e– mail: joanna.kt@poczta.fm
 tel. 12 429-70-40

**Sekretarz Redakcji:**

Barbara Korta-Wyrzycka
 e– mail: barbarawyrzycka@gmail.com

**Sekretarz Redakcji:**

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
 e– mail: trzebiatowska.izabela@poczta.fm

Wydawca:

Janusz Trzebiatowski
 Stowarzyszenie Twórcze POLART
<http://polart-stowarzyszenie.pl/>

ISSN 1731– 9668

ISBN: 83– 8664855 –11– 6



Józef Baran



Bolesław Faron



Ignacy S. Fiut



Wacław Krupiński

Kolegium Redakcyjne

Irena Kaczmarczyk



Ferdynand Nawratil



Tadeusz Skoczek



Marek Sołtysik

Redakcja:

30-250 Kraków, ul. Gajówka 25
 tel. 12 429-70-40

Korekta:

Barbara Korta-Wyrzycka

Okładka:

Janusz Trzebiatowski, obrazy olejne

Zdjęcia:

Katarzyna Dróżdż
 Bolesław Faron
 Andrzej Głuc
 Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
 Andrzej Makuch
 Konrad Pollesch
 Wojciech A. Sobczyński
 Kaja Solecka
 Jan Zych
 Andrzej Ziębliński

Druk:

Drukarnia Cyfrowa Eikon

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński
 prof. dr hab. Stefan Dousa
 prof. dr hab. Bolesław Faron
 prof. dr hab. Ignacy St.Fiut
 prof. dr hab. Ewa Okoń-Horodyńska
 prof. dr hab. Jerzy Nowakowski
 prof. dr hab. Elżbieta Stefańska-Kłysz
 prof. dr hab. Zdzisława Tołłoczko
 prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
 30– 250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
 40 1240 4533 1111 0010 3142 4771



Katarzyna Zawierucha, „Paź”, olej na płótnie 100x100 cm

HYBRIDA